

Przedstawiając Świątecznego

Leslie Charteris



calibre 0.9.27

LESLIE CHARTERIS

PRZEDSTAWIAJĄC ŚWIĘTEGO

FEATURING THE SAINT

EWA PANASIUK

CZEŚĆ I

PRZYGODA LOGICZNA

ROZDZIAŁ I

Jeżeli miałbym przedstawić przygody Świętego, wolałbym wybrać je spośród tych późniejszych, pochodzących z czasów, gdy w zasadzie pracował samotnie — chociaż Patrycja Holm zawsze była w pobliżu, a Roger Conway chętnie służył pomocą w razie potrzeby. Często myślę, że do szczególnego usposobienia Świętego najbardziej pasowała samotność. Był on tak samodzielny i tak bardzo ufał swoim możliwościom, że irytowała go konieczność powierzania najdrobniejszego szczegółu swoich planów rękóm, które mogłyby coś zepsuć. Był zrozpaczony, kiedy musiał tłumaczyć, omawiać i spierać się o swoje pomysły z umysłami mniej lotnymi i podejmującymi decyzje wolniej, mniej pewnie niż on. Przez takie próby przechodził okazując charakterystyczny dla niego dobry humor. Nie ma najmniejszej wątpliwości, że czasem cierpiał z tego powodu. To prawda, że kiedyś Święty utworzył coś w rodzaju bandy; razem z nim działała grupa niespokojnych młodych ludzi, którzy podążali ochoczo drogą przestępstwa, jaką ich wiódł z pogodą i bezprzykładnym zuchwalstwem, czyniącym imię Świętego sławne, czy raczej niesławne, na całym świecie. Ale nawet te przygody były niczym innym jak tylko epizodami w życiu Świętego. Stanowiły etap jego rozwoju, ale nie były jego uwieńczeniem. Ostateczne przeznaczenie nadal znajdowało się przed nim. Wiedział, że jest przed nim, lecz go nie znał. Kiedyś nazywano go „ostatnim bohaterem”, ale historia jego bohaterstwa jeszcze się nie rozpoczęła, nie mógł jej przewidzieć nawet w snach.

Historia ta jest więc jedną z wielu, jakie odnalazłem w swoich notatkach o czasach przejściowych, kiedy Święty czekał na Los. Były to czasy, gdy wydawało się, że on zabija czas, lecz, jak można było oczekiwać od człowieka jego pokroju, skracał sobie ten czas na swój niezrównany sposób, z niespotykaną werwą. Nie mógł jednak uniknąć wyciśnięcia swojego piętna na historiach, które były wyłącznie jego. Opowiadania te powinny przedstawić to, co czuł w danej

chwili. Nie byty one naprawdę ważne, niemniej stanowią fantastycznie rozkoszne interludium. Simon Templar był niezdolny do brania czegokolwiek w życiu bez entuzjazmu — nawet okresu przejściowego. Być może z wyżej wymienionych powodów oraz dlatego, że miał żywe poczucie miłego braku znaczenia tych przygód, duch roześmianej, zuchwałej donkiszoterii, którą uznano za jego największy urok, przebija przez te opowiadania i nieliczne opowieści.

Myślę tu przede wszystkim o historii, która znajduje się na początku mojej listy — niepozornej historii, lecz jednak historii. A zaczęła się praktycznie od niczego — jest to charakterystyczne dla najlepszych przygód Świętego. Mówi się, że Simon Templar ma więcej szczęścia w wyszukiwaniu ciekawych przygód, niż dziesięciu facetów razem wziętych. Nie ma nic bardziej nieprawdziwego. To niezawodny, niesamowity geniusz Świętego, jego naturalne wyczucie przygody kazały mu podawać w wątpliwość rzeczy, jakie normalny człowiek uznałby za oczywiste, i wysyłały go na szerokie, pewne szlaki, których śladu normalny człowiek nawet nie zauważał, zaś drzemiąca w nim energia nadawała gwałtowny bieg wypadkom w sytuacji, która komuś innemu wydawałaby się nieobiecująca.

Przygoda, doskonale obrazująca ten punkt widzenia, zaczyna się całkiem zwyczajnie, w Barze Amerykańskim hotelu Piccadilly, od dwóch manhattanów* i egzemplarza gazety „Evening Record”.

* Manhattan — cocktail alkoholowy

— Osiem do jednego — powiedział półgłosem Święty z niezadowoleniem — i doszedł w podskokach, wychodząc na dwie długości do przodu! To następne 40 funtów szterlingów do starego dębowego kufierka. Gdzie to uczymy, kochanie?

Patrycja Holm uśmiechnęła się.

— Czy kiedykolwiek przestaniesz interesować się wyłącznie sprawozdaniami z wyścigów? — spytała. — Z pewnością nie wiesz nawet, jaki teraz mamy rząd: konserwatywny czy

labourzystowski?

— Nie mam najmniejszego pojęcia — przyznał Święty ochoczo. — Poza faktem, że koń, którego nigdy nie widzieliśmy, zarobił dla nas na najlepszy w Londynie obiad, nic się dzisiaj ważnego w Anglii nie wydarzyło. Na przykład — przewrócił strony gazety — nie interesuje mnie doniesienie, że „Dowody wyjątkowego charakteru Henry Stobbsa, mechanika, który został znaleziony nieżywy w garażu w Balham w dniu wczorajszym, ujawni śledztwo”. Nie wierzę, że ten człowiek miał w ogóle wyjątkowy charakter. Człowieka tak niezwykłego nie można znaleźć nieżywego w garażu w Balham... Nie ekscytuje nas również wiadomość, że „Ciało Marty Danby, służącej, która była nieobecna w domu w South Norwood od stycznia, zostało znalezione w nieczynnej kopalni koło Tavistock, wczesnym rankiem, przez włóczęgę w stanie daleko posuniętego rozkładu”. Nawet nie żał mi tego włóczęgi, chociaż wędrowanie po tym świecie w stanie daleko posuniętego rozkładu musi być dla niego wyjątkowo przykre. Uważam jednak, że...

— Wystarczy — powiedziała Patrycja.

— W porządku — zgodził się Święty uprzejmie. — Jak długo, rozumiesz, dlaczego jestem tak... Hallo, a co to?

Składał właśnie gazetę, by wrzucić ją do najbliższego kosza na śmieci, gdy w oko wpadło mu znane nazwisko.

Z nagłym zainteresowaniem przeczytał fragmenty artykułu pt.: „Tu i tam”, zamieszczone w zachwycającym dziale, firmowanym przez „Podśluchiwacza” — niestrudzonego i wszędobylskiego plotkarza.

— Doskonale — wycedził Święty z tak szczególną intonacją, że Patrycja spojrzała na niego wyczekująco.

— O co chodzi?

— To tylko towarzyskie wystąpienie — rzekł Simon. — Nasz przyjaciel pieje hymny na temat

postępu w lotnictwie cywilnym; pisze, że wydarzyło się kilka poważnych wypadków, od kiedy kluby awionetek zaczęły powstawać w całym kraju, oraz jak każdy wzbija się w powietrze z przekonaniem, że jest to jego właściwy żywioł. Potem stwierdza: „Są oczywiście wyjątki. I tak np. pan Francis Lemuel, doskonale znany impresario kabaretowy, jeden z założycieli Thames Valley Flying Club, czynił doskonałe postępy w trakcie zdobywania licencji pilota. Przeżył jednak ogromny wstrząs w czasie katastrofy, jaka mu się ostatnio przydarzyła, i na polecenie lekarza zrezygnował z dalszego szkolenia się na pilota”. Reszta artykułu to zwykły komentarz na temat błyskotliwej działalności zawodowej Lemuela. A teraz rzecz najważniejsza: nasz drogi Francis marzy o skrzydłach Ćmy*.

— Ale dlaczego?

Święty uśmiechnął się błogo i złożył „Evening Record”.

— Jest wiele epizodów w moim młodym życiu — powiedział cicho — o których nic nie wiesz, najdroższa. Mały Francis jest jednym z nich. Nie zdawałem sobie jednak sprawy z tego, że był on odważnym, choć złym człowiekiem. Oczywiście, po godzinach urzędowania... A teraz, staruszeko, zjemy obiad tutaj czy przeniesiemy się do Berkeley–Arms?

* Moth (ang.) — Ćma; model awionetki

To było wszystko, co powiedział o Francisie Lamuelu tej nocy, jak również w trakcie następnych dziesięciu dni, w ciągu których, ulegając prośbom Patrycji, usiłował prowadzić praworządny tryb życia. Jednak znając go Patrycja była lekko zdziwiona, że tak szybko porzucił ten temat. Znajomość jego charakteru spowodowała, że westchnęła cicho z pełną smutku rezygnacją, spotkawszy go przy lunchu dziesięć dni później. Ujrzała bowiem na jego twarzy oznaki zwiastujące początek kłopotów. Ożywienie zawsze ekscytującej osobowości Świętego, w połączeniu z pogodną beztróską uśmiechu, który nigdy tak naprawdę nie opuszczał jego błękitnych oczu, były wyraźnymi znakami ostrzegawczymi. Gładkie uczesanie błyszczących włosów

wydawało się jeszcze bardziej nieskazitelne niż zwykle, jego żywa, opalona twarz wyglądała jeszcze bystrzej, zaś rysy twarzy były jeszcze zgrabniej cyzelowane niż zazwyczaj. Znała te oznaki z przeszłości, więc zapytała go, nim dokonał wyboru *hors d'oeuvre**.

— O co tym razem chodzi, Święty? Simon upił z wdziękiem sherry.

— Dostałem pracę.

— Co takiego?

— Przecież wiesz, pracę. *Dramatis persona**: Simon Templar, pracowity syn tej ziemi.

— Idiota! Co to za praca?

— Osobisty pilot do specjalnych poruczeń pana Francisa Lemuela — odpowiedział Święty z uśmiechem w oczach. — Z tego nie możesz się śmiać.

— Czy to z tego powodu byłeś ostatnio taki tajemniczy?

— Tak. I powiem ci, że to nie było łatwe. Pan Lemuel ma specyficzny gust w kwestii doboru pilotów. Ubawiłem się nieźle przekonując go, że jestem dość podejrzanym typem. — Święty uśmiechnął się na to wspomnienie. — Ale jako oficer RAF, usunięty ze służby z powodu zwinienia trzech lotek, czterech podłużnie i kłamry kątów ślizgowych, miałem obiecujący start.

— Czego od ciebie oczekuje?

— Mam wynieść go w przejrzyste, niebieskie przestworza.

— Dokąd?

Święty przeciął sardynkę z precyzją i wprawą. — W tym rzecz — stwierdził. — Zgodnie z plotką, Francis zamierza rozszerzyć swoją kabaretową działalność również i na inne stolice europejskie. Ale dlaczego samolotem? Osoba inteligentna odpowiedziałaby, że jest to najnowszy i najszybszy środek transportu. To prawda. Jednak cała cywilizowana Europa obsługiwana jest przez bardzo wygodne linie lotnicze, naprawdę komfortowe, zaś badania nad charakterem pana Lemuela nigdy nie nasunęły mi myśli, że jest on człowiekiem gotowym poświęcić fotel w solidnie

zbudowanym, latającym pulmanie, by dać się wytrząść w otwartej, dwumiejscowej awionetce, a wszystko po to, by zaoszczędzić godzinę tu czy tam. Tajemnica numer 1. To właśnie z tego powodu zaciekała mnie wzmianka o solowych próbach pilotażu w wykonaniu brata Francisa.

Przypominasz to sobie?

Patrycja przytaknęła.

— Zastanawiam się...

— Nigdy nie wypowiadaj się, zanim nie chwycisz byka za rogi — rzekł Święty. — To moje motto. Zawsze byłem wyznawcą „drugiego spojrzenia”, rzucanego na wszystko, co choć trochę odbiega od normalności. Dotyczy to przede wszystkim ludzi pokroju Francisa Lemuela.

Wydawało mi się, że jest on zbyt szacowny, by stać poza wszelkim podejrzeniem. Teraz być może dowiemy się czegoś nowego.

* *Hors d'oeuvre* (fr.) — poza pracą; tu: ekstra danie podawane jako przekąska przed lub (wyjątkowo) w trakcie

posiłku

* *Dramatis persona* (łac.) — osoba dramatu; często stosowane jako wyszczególnienie bohaterów sztuki

Usiłowała dowiedzieć się, w jaki sposób odkrył, że pan Lemuel poszukuje pilota o niezbyt dobrej reputacji. Ciekawiło ją również, w jaki sposób Święty zaprezentował się w roli poszukującego pracy. Ale Simon miał swoje własne małe tajemnice. W kwestii niektórych szczegółów swoich przygód był bardzo małomówny.

— Po prostu usłyszałem o tym — powiedział — a facet napotkany w pubie w Aldgate dostawił mnie do drzwi frontowych, mówiąc obrazowo... Tajemnica numer 2: dlaczego pilot nie powinien posiadać nieskalanej reputacji...

Z werwą omawiał sprawę, pozostawiając jej pierwsze pytanie bez odpowiedzi. Musiała się tym zadowolić, bo nagle porzucił temat całkowicie i do końca dnia nie powiedział ani słowa w kwestii,

jak to nazwał, sprawy państwowej.

Wkrótce nastąpiły dalsze wydarzenia. Do opowiadania wkroczyło kilka osób, pewne wątki wymagały wyjaśnienia, a nad tym wszystkim były widoczne „działania maskujące”. Jednak istota sprawy została już przedstawiona i można by wątpić, czy którekolwiek z poniżej opisanych wydarzeń miałyby miejsce, gdyby Simon Templar nie zauważył niewinnego artykułu w „Evening Record”. Takie właśnie wydarzenia stanowiły treść jego przygód. Możemy być całkowicie pewni, że gdyby Święty nie był człowiekiem o tak szczególnych zdolnościach i niezwykłych zainteresowaniach, nie nosiłby do dnia dzisiejszego ośmiocalowej blizny na prawym przedramieniu jako pamiątki po tej przygodzie, zaś pan Francis Lemuel nie uczestniczyłby w nagłym i katastrofalnym wzniesieniu; pewien Jacob Einsmann mógłby nadal przebywać wśród nas, natomiast monsieur Boileau, francuski minister finansów, nie byłby narażony na duże nieprzyjemności i, co jest być może o wiele bardziej istotne, Stella Dornford nie byłaby żoną urzędnika bankowego o bardzo ograniczonych możliwościach kariery, żyjącą w przeciętnym mieszkaniu w Battersea i mimo to jak najbardziej szczęśliwą.

ROZDZIAŁ II

Calumet Club był usytuowany, jak to pięknie przedstawiają pośrednicy handlu nieruchomościami, w rozległych podziemiach przy Deacon Street w Soho. Stwierdzenie to powinno być brane dosłownie. Nie było tam w istocie żadnego lokalu, który by rzekomo należał do rzeczonoego klubu, a znajdował się na parterze lub na którymś z pięter. Do klubu wchodziło się po wąskich, kamiennych schodach, które kończyły się miniaturowym podestem. Tam również znajdowały się drzwi, przez które można, jeśli jest się znanym, dostać się do samego klubu, przez pokój, który tylko agent obrotu nieruchomościami miałby odwagę nazwać przedsionkiem, i mijając portiera, który w swoim czasie pełnił różne zajęcia.

Calumet Club posiadał licznych i wyjątkowych członków. Omawiane były tu różne,

fascynujące sprawy. Pieniądze i dzieła sztuki przechodziły z rąk do rąk. Czasami zaś miały tu miejsce dziwne, bardzo dziwne wydarzenia. Najwyraźniej Calumet Club interesował Świętego. Było to jedno z przelotnych zainteresowań w jego młodym życiu.

Niemniej wizyta, jaką tam złożył pewnego wieczoru rozpoczęła się raczej typowo i bez jakiegokolwiek uprzedzenia.

Droga do przygody powinna być wysłana, na tyle na ile stać ludzką wyobraźnię, dobrą i bezpieczną nawierzchnią. Jeśli dowiesz się z pewnego źródła, że pan Phileas Poppingcove szmugluje sacharynę, wówczas nie możesz, niezależnie od zasad i odwagi, dokonać nalotu na jego lokal, obić go po głowie tępym przedmiotem i wyjść z poczuciem zadowolająco przeprowadzonej akcji. Jeśli odkryjesz w trakcie cierpliwego dochodzenia, że pokoje, w których panna Désiree Sausage prowadzi naukę najmodniejszych tańców, są w rzeczywistości spelunkami, gdzie głupcy rozstają się z pieniędzmi rodziców grając w halnę, nie możesz, nawet jeśli jesteś samym Świętym, zdobyć szturmem tych pokojów, zabić krupiera, zdemaskować panny Sausage i zabrać ze sobą całą gotówkę na pamiątkę. Jeśli jednak postąpisz w wyżej opisany sposób, twoja doskonale zapowiadająca się kariera zostanie gwałtownie przerwana w sposób jak najbardziej ostateczny. Święty, o czym należy pamiętać, uczestniczył w tej grze już od pewnego czasu i wiedział lepiej niż ktokolwiek inny, jak bezcenne są zrudne przygotowania. Jeśli wiesz już kompletnie wszystko na temat terenu działania oraz osobistych upodobań jego lokatorów, drogi ewentualnej ucieczki zostały przez ciebie dokładnie wyznaczone, sprawdzone i przeanalizowane, czyli zapięte na ostatni guzik, to wówczas tak, wówczas tępy instrument dierzysz ze zdecydowaniem w dłoni szybkiej i pewnej. Ale nie wcześniej.

Wizyta w Calumet Clubie była tylko rekonesansem i Święty postanowił, że zachowa się tak, jak tego będzie wymagała sytuacja. Wybrał stolik, zamówił drinka, zapalił papierosa i usiadł wygodnie.

Dochodziła godzina 23, a klub rozkręcał się zwykle dopiero na krótko przed północą. Orkiestra grała rytmicznie, choć z wyraźnym brakiem entuzjazmu, nie troszcząc się o kilka pań, smętnie usiłujących tańczyć. Przy akompaniamencie tej muzyki, którą, oceniając powierzchownie, trudno byłoby uznać za dobrą, cztery damy (z pewnością ochotniczki, a nie zatrudnione tu fordanserki), w dwóch parach i jeszcze dwie, z przygodnymi partnerami, krążyły po niedużej powierzchni parkietu, przeznaczonego dla „gorszych” gości.

Przy stolikach otaczających parkiet siedzieli klienci, na pierwszy rzut oka — mężczyźni i kobiety; sączyli koniak w ponurym nastroju, tak charakterystycznym dla Anglików, gdy piją w czasie, w którym jest to urzędowo dozwolone.

Tak, Calumet Club po prostu przeciągał się i ziewał, przygotowując się do nocnej zabawy.

Święty westchnął, wciągnął dym z luksusowego papierosa, spróbował piwa ze szklanki, którą postawił przed nim kelner, zapłacił podwójną cenę, dodając 50% napiwek i poświęcił się obserwacji innych klientów, spoglądając na nich nieco zazdrosnym okiem.

Po kolei eliminował. Dwóch mężczyzn, których spotkał już wielokrotnie, pozdrowiło go, a on uśmiechnął się do nich jak do ukochanych braci. Samotna damulka przy sąsiednim stoliku uśmiechnęła się do niego słodko, zaś Święty odpowiedział równie słodkim uśmiechem, ponieważ musiał myśleć o utrzymaniu swojej reputacji. A potem jego wzrok spoczął na widzianym już kiedyś mężczyźnie i kobiecie, której nigdy nie widział. Siedzieli oni przy stoliku obok orkiestry. Simon spoglądał na nich w zamyśleniu, podobnie jak na innych ludzi znajdujących się w lokalu. Nagle, gdzieś w głębi jego umysłu drgnęło „coś”, niemożliwe do logicznego wytłumaczenia, co kazało mu zatrzymać na tej parze wzrok dłużej niż na kimkolwiek innym tej nocy. Święty nie byłby w stanie tego wyjaśnić. W tej chwili nic z wydarzeń w kącie sali nie mogło zwrócić jego uwagi. Jeśli sądzić z wyrazu twarzy, rozmawiali całkiem normalnie. A to, że twarz dziewczyny była wyjątkowo miła dla oczu, nie było czymś niezwykłym w Calumet Clubie i w otoczeniu Baldy

Mossitera. A jednak, raczej wbrew faktom niż z ich powodu, niezwykle wyczucie Simona Templara jakby uniosło zasłonę w głębi jego umysłu i skłoniło go do dłuższej obserwacji, bez zdania sobie sprawy z przyczyny takiego zachowania. Tylko dzięki temu Święty zobaczył to, co zobaczył: jeden niemal niedostrzegalny ruch, ginący w powodzi częstych i wymownych gestów pana Mossitera.

— Czy ma pan papierosa? — spytała z nadzieją samotna damulka siedząca przy sąsiednim stoliku, lecz słodczy uśmiechu, który rozjaśnił rysy Świętego, gdy się do niego zwracała, nie była skierowana do niej, ponieważ wątpliwe jest, czy ją w ogóle usłyszał.

Wstał i ruszył przez lokal długim, leniwym krokiem, spokojnie, by nie zwracać na siebie uwagi. Mężczyzna i kobieta spojrzeli w górę, gdy nachylił się nad ich stolikiem.

— Witam — wycedził Święty. Nie czekając na zaproszenie, usiadł na wolnym krześle pomiędzy nimi i uśmiechnął się anielsko.

— Piękną mamy pogodę, nieprawdaż Baldy?

— Czego u diabła chcesz, Templar? — warknął Mossiter bez jakiegokolwiek serdeczności. — Jestem zajęty.

— Witam, serdeńko — powiedział delikatnie Święty. — Widziałem cię w akcji. I dlatego tu jestem.

Przyglądał się Mossiterowi swoimi niewinnymi, błękitnymi oczami i było w tym tak bardzo niewinnym spojrzeniu coś, co niezależnie od przedłużającego się milczenia było odpowiedzialne za zjeżenie się krótkich włosków na byczym karku Mossitera i wędrujący wzdłuż kręgosłupa zimny powiew zrozumienia... Święty wyczytał wszystko, co chciał z gwałtownego zaczerwienienia się sonej blizny, która biegła wzdłuż policzka od lewej skroni do podbródka. Jego uśmiech stał się leszcze bardziej nieziemski.

— Właśnie — rzekł Święty.

Spojrzał na dziewczynę. Nadal trzymała w dłoni szklankę, którą uniosła do góry w chwili, gdy Święty podszedł do ich stolika, lecz nie zdążyła się napić.

Ciągle jeszcze uśmiechający się Simon szybko zamienił szklanki. Teraz ta, z której miała pić dziewczyna, stała przed Mossiterem.

— Wypij — powiedział i nagle jego głos stał się zimny jak stal.

— Co to znaczy?

— Wypij — powtórzył Święty. — Otwórz usta i wlej płyn, pozwalając mu spłynąć przez przełyk. Robiłeś to już wielokrotnie. Jednak czy tym razem sprawi ci to również przyjemność, to się dopiero okaże.

— Co u diabła sugerujesz?

— Nic. To tylko twoje nieczyste sumienie. Wypij to, piękniśiu.

Mossiter skulił się w krześle.

— Czy zostawisz nas w spokoju? — zaskrzeczał.

— Nie — odparł Święty.

— Wobec tego będziesz musiał opuścić ten klub... Kelner!

Święty wyjął papierośnicę, postukał po niej papierosem. Spojrzał na dziewczynę.

— Gdybyś to wypila — powiedział — następstwa mogłyby okazać się bardzo nieprzyjemne.

Wydaje mi się, że mogę cię o tym zapewnić, jakkolwiek nie jestem pewny, co nasz przyjaciel tam wsypał. Wystarczyło mi, gdy zobaczyłem, że podczas rozmowy wrzuca coś do twojej szklanki. —

Oparł się swobodnie, patrząc na Mossitera jednocześnie obserwował kelnera, nadchodzącego z portierem, który w swoim czasie wykonywał różne zawody, i dodał tym samym, spokojnym tonem. — Ponieważ błyskotliwy plan zawiódł, wkrótce będzie tu małe zamieszanie. Jeśli sądzisz, że jestem szalony, to możesz iść do diabła. Jeśli jednak jesteś wystarczająco inteligentna, by poznać prawdę, stój blisko mnie i na dany znak uciekaj,. Spotkamy się wkrótce na zewnątrz.

Święty zakończył swoją kwestię bez pośpiechu i bez emocji, nim kelner i portier znaleźli się za jego krzesłem.

— Wyrzućcie tego człowieka — rzekł krótko Mossiter. — Przeszkadza mi.

Portier, który w swoim czasie wykonywał również inne zawody, był pierwszym, który położył twardą dłoń na ramieniu Świętego. Ten uśmiechnął się lekko. W następnej chwili Simon stał na nogach, a portier nie.

To stwierdzenie wymaga pewnego wyjaśnienia. Nie ma sensu zagłębiać się w szczegółowy opis druzgocącego lewego sierpowego, który wylądował na szczęce portiera w chwili, gdy Simon wstawał z krzesła. Prawdę mówiąc, sam portier nie wiedział, co się stało. Cios uniósł go do góry, potem rzucił nim nieco dalej o ziemię i uziemiony pogrążył się we śnie.

Również starszy kelner nie wiedział, co się stało. Najlepsze lata życia miał już poza sobą, a z upływem lat stawał się trochę zbyt wolny. Pewne jest, że nie zdążył jeszcze w pełni zdać sobie sprawy z rozgrywającego się przed nim widowiska, ani podjąć odpowiedniej w tej sytuacji decyzji, gdy poczuł jak ktoś chwytając go za kołnierz i spodnie. Uniósł się w powietrze i zatrzymał w pozycji horyzontalnej na wyciągniętych w górę rękach Świętego, by przez chwilę podziwiać z bliska piękno niskiego sufitu. Święty zarechotał.

— Jak ten czas płynie — mruknął i rzucił ciało w sam środek orkiestry, gdzie, co można dla porządku odnotować, zniszczył całkowicie saksofon tenorowy, gitarę i urządzenie imitujące jęki sparaliżowanej hieny.

Simon poprawił krawat i rozejrzał się. Incydent odbył się tak szybko, że reszta bywalców klubu oraz personel nie zdążyli jeszcze w pełni zrozumieć, co się stało. A co najważniejsze, nagły sen portiera, który w swoim czasie wykonywał różne zawody, nie tylko zdemoralizował dwóch innych pracowników, ale pozostawił także wolną drogę na ulicę.

Simon dotknął ramienia dziewczyny.

— Na twoim miejscu ruszyłbym do wyjścia, skarbie — zauważył jak gdyby nigdy nic. —

Zatrzymaj taksówkę, jeśli ją zauważysz. Zaraz do ciebie dołączę.

Spojrzała na niego dziwnym wzrokiem, szybko wstała i ruszyła do wyjścia. Do dziś nie wie, dlaczego go wtedy posłuchała. Zastosowała się jednak do jego rady i Święty poczuł ulgę, widząc, że wychodzi.

Odwrócił się i ujrzał broń w dłoni Mossitera. Roześmiał się. To było tak absurdalne, tak bardzo fantastyczne nawet w tym miejscu. W Londynie tego rodzaju rzeczy zdarzają się wyłącznie w powieściach sensacyjnych. Święty wiedział, że Baldy Mossiter musiał przeżyć ogromny wstrząs, skoro zdobył się na taki gest. Ponownie roześmiał się, a lewą dłoń zacisnął na dłoni Mossitera w druzgocącym uścisku ruchem tak spokojnym i wprawnym, że Mossiter zauważył to dopiero wówczas, gdy było już za późno. Broń skierowana była bezpiecznie w dół, a Mossiter nie miał siły się ruszyć.

— Powinieneś znać mnie lepiej — powiedział Święty spokojnie. — Nazywają mnie Świętym.

Baldy Mossiter usłyszał to, spojrzał na niego i zbladł.

— A na drugi raz nie próbuj narkotyzować dziewczyn — powiedział Święty.

Wiele nie bardzo istotnych rzeczy omówiliśmy w tym rozdziale. Istotny był jednak fakt, iż piękny zestaw przednich zębów Mossitera nabył prawa do względów gentlemana w białym kitlu, kolekcjonującego stare pisma w poczekalni swojego gabinetu.

ROZDZIAŁ III

Chwilę później Święty wyszedł na ulicę. Przy krawężniku stała taksówka. Podał kierowcy adres i wszedł.

Dziewczyna siedziała wciśnięta w kąt. Simon uśmiechnął się do niej i z pogodą obejrzał swoje pięści. Trzeba przyznać, że był bardzo pokojowo nastawiony do całego świata, jakkolwiek nie przewidziana rozgrywka zmuszała go do przeanalizowania planów dojrzewających w jego żywym

umyśle. Starcie to miało swoje zalety. Jednak prawda była taka, że Święty wyznaczył sobie Calumet Club do celów bardziej dramatycznych i zyskowych niż zwykła burda. Aby teraz zrealizować swój pomysł, będzie musiał rozważyć wszystko od początku i z innego punktu widzenia. Kilka miesięcy wytrwałej i cierpliwej pracy poszło tej nocy na marne wraz z użębieniem Baldy Mossitera, jednak Simon Templar był niezdolny do uzalania się z powodu uśmiercenia niedoszłego pieczystego przy rozbijaniu jajka.

— Poczęstuj się papierosem — zaproponował podsuwając jej papierośnicę — i powiedz mi, jak się nazywasz.

— Stella Dornford. — Przypaliła papierosa, a on udał, że nie zauważył drżenia jej ręki. — Czy pan... miał jakieś problemy?

Święty uśmiechnął się znad zapałki.

— No cóż, prawie żadnych. Wydawało mi się, że robię się dość znany, ale to wszystko. Nikt nie chciał mi pozwolić odejść. Był krótka wymiana zdań, nie warto o tym mówić.

Zdmuchnął zapałkę. Obrócił się i wyjrzał przez tylne okno. Tuż za nim jechała inna taksówka, widok dość zwykły na londyńskiej ulicy, z jej okna wyglądał mężczyzna, a raczej jego głowa i ręka, co podejrzliwemu umysłowi Świętego wydało się całkiem niezwykle. Teraz jednak to go nie niepokoiło, ponieważ jechał do Criterionu, a tam nic nie mogło się wydarzyć.

— Gdzie jedziemy? — spytała dziewczyna.

— Napić się kawy — rzekł Święty. — Lub, jeśli wolisz, czegoś mocniejszego. Dzięki błogosławionemu prawu Anglii możemy pić jeszcze Przez pół godziny, jeśli zamówimy przy okazji kanapkę. Ty zaś możesz opowiedzieć mi historię swego życia.

W lepszym świetle restauracji i spokoju, którego nie miał przedtem, utwierdził się we wrażeniu, jakie wyrobił sobie w Calumecie. Była niewątpliwie ładna, w raczej dziecięcy sposób, ze schludną jasną głową i porcelanowo błękitnymi oczami. Gracja ruchów chroniła ją przed nienaturalnością.

— Nie przedstawił się pan — zauważyła, gdy zamówił napoje.

— Wydawało mi się, że słyszałaś, jak Mossiter zwrócił się do mnie. Templar, Simon Templar.

— Wygląda pan na niezwykłego mężczyznę.

Święty uśmiechnął się. Słyszał to już wielokrotnie, ale nie miał nic przeciwko temu, by usłyszeć raz jeszcze. On miał naprawdę skromne wymagania, na swój, oczywiście, sposób.

— Na twoje szczęście — odpowiedział. — A teraz powiedz mi, co robiłaś w Calumecie razem z Baldym.

Wyciągnięcie z niej tej historii kosztowało go trochę trudu. Prawdę mówiąc, tylko dzięki jego geniuszowi rozmowa ta nie przypominała zbytnio przesłuchania, ponieważ dziewczyna nie mogła się wciąż jeszcze zdecydować, w jaki sposób go potraktować.

Wreszcie dowiedział się, że ma 21 lat, jest jedyną córką emerytowanego bankiera i że uciekła od nudnego, podmiejskiego kręgu rodziny, by znaleźć szczęście po niewłaściwej stronie ulicy. Tego mógł się łatwo domyślić, wolał jednak usłyszeć od niej. Znacznie więcej wysiłku kosztowało go wyciągnięcie z niej informacji, która go bardzo zainteresowała.

— ...Jest on młodszym urzędnikiem w dziale niegdyś prowadzonym przez ojca. Wpadł do mnie parę razy, a i potem spotykaliśmy się od czasu do czasu. To było nawet miłe, ale takie nijakie.

Czasami chodziliśmy do kina, a raz spotkaliśmy się na tańcach.

— Oczywiście nigdy nie myślałaś o poślubieniu go — rzekł Święty podstępnie i czekał zamyślony na odpowiedź.

— To oznaczałoby, że nigdy nie uda mi się uwolnić od tego wszystkiego, co mnie przytłaczało.

Chciałam zobaczyć Życie... On jest naprawdę miłym chłopcem.

Otrzymała pracę w chóрку rewiowym, a jedna dziewczyna, również tam zatrudniona, zabrała ją pewnej nocy do Calumetu. Tam spotkała Mossitera i innych. W Londynie nie miała przyjaciół, a samotność wzmogła tęsknotę za towarzystwem. Nie wszystko układało się najlepiej, przyznała.

Jeden facet, gość Mossitera, Niemiec, był szczególnie niemiły. Tak, mówiono, że jest bardzo bogaty...

— Czy nie widzisz, że Mossiter chciał cię naszpikować narkotykami tylko z jednego powodu?

— Jakiego?

— Kiedy ten Niemiec wraca do siebie?

— Wydaje mi się, że wspomniał o jutrzejszym wyjeździe. To będzie piątek, prawda?

Simon wzruszył ramionami.

— Takie jest życie — mruknął, a ona zmarszczyła brwi.

— Nie jestem dzieckiem, panie Templar.

— Ładna dziewczyna nim nie jest. Przynajmniej w swojej własnej opinii — powiedział szorstko Święty. — Właśnie dlatego ja oraz moi przyjaciele mamy tyle kłopotów i wydatków w ostatnich czasach, i prawdopodobnie również w przyszłości nic się nie zmieni.

Wiedział, że będą z nią jeszcze kłopoty. Przeczuwał to od samego początku i dlatego rozmyślnie sprowokował wybuch. Wolał to niż brnąć po omacku przez zasłonę dymną. Ale nie był całkowicie przygotowany na reakcję, jaką wywołał. Po prostu wstała i odeszła.

— Doskonale potrafię się sobą zaopiekować, dziękuję panu — rzuciła na pożegnanie.

Przywołał kelnera i obserwował jej odejście z uśmiechem smutnej rezygnacji. Nie po raz pierwszy spotkało go coś takiego. Osoby jej pokroju zawsze usiłują wykazać swoją niezależność i często im się to udaje.

— A więc wymiotło ją — mruknął Święty krzywiąc się w trakcie chowania reszty, gdy przypomniał sobie ludzi śledzących ich od Calumetu. Ludzi, ponieważ było nieprawdopodobne, by śledził ich tylko jeden człowiek. Ci z Calumetu operowali na innym poziomie.

W istocie było ich dwóch, a instrukcje otrzymali jasne. Mieli ustalić adres. Był to więc podwójny pech tego, który podjął się śledzenia Stelli Dornford; zrozumiał o co chodzi i postanowił

spróbować sprytnego posunięcia na własny rachunek.

Stella Dornford wynajmowała niewielkie mieszkanie w bloku przy końcu ulicy Wardour. Blok zabudowany był w kwadrat z dziedzińcem po środku. Na ulicę prowadziło krótkie przejście, a wejścia do głównych klatek schodowych wychodziły na podwórze. Na tym podwórzu stał śledzący Stellę, zwrócony twarzą do drzwi, w których zniknęła dziewczyna. Obserwował okna. Po chwili ujrzał zapalone światło.

Zdecydował się. Okno, w którym rozblęsnęło światło, było typu francuskiego, wychodziło na wąski balkon i, co niezwykle kuszące, z powodu ciepłej nocy było otwarte na oścież. Architektura budynku naśladowała duże bloki z kamienia, z odstępami między nimi. Dostanie się na balkon było równie proste jak wspięcie się po drabinie.

Rozejrzał się. Podwórze było puste, a oświetlenie słabe. Gdy ruszy do góry, wątpliwe, by mógł być dostrzeżony nawet przez osobę przechodzącą pod nim. W pełnym blasku niezrozumiałej wprost głupoty mężczyzna zapiął płaszcz i rozpoczął wspinaczkę.

Stojący w mrokach przejścia prowadzącego na ulicę, Simon Templar obserwował początek wspinaczki. Na jego ustach zagościł figlarny uśmiech. Załadował swoją najnowszą zabawkę, małą, lecz potężny pistolet pneumatyczny.

Nabył go całkiem niedawno i to z czystej przekory. Nie była to w żadnym razie broń śmiertelna i nie była do tego celu przeznaczona. Jednak jej pociski mogły zrobić bardzo bolesne wrażenie na obiekcie zainteresowania. Święty doszedł do wniosku, że prawidłowo użyta broń może służyć jako argument zniechęcający całą kolekcję zawodowych i amatorskich detektywów, którzy od czasu do czasu niepotrzebnie interesowali się jego poczynaniami. Tej okazji jednak nie przewidział, więc zadowolenie jego było tym większe.

Gdy wspinający się znalazł się na wysokości drugiego piętra i zatrzymał na chwilę dla złapania oddechu, Święty starannie wycelował.

Kula trafiła w dłoń mężczyzny z siłą, która sparaliżowała jego palce. Ostre uczucie bólu i strach uświadomiły mu, że zraniona ręka jest bezwładna, a druga zbyt słaba, by utrzymać jego ciężar.

Jeszcze raz syknął, szukając w panice oparcia w kamieniu, gdy jego stopa ześlizgnęła się...

Święty schował swoją zabawkę i szybko wyszedł na ulicę. Tak szybko, że człowiek czekający zaraz za przejściem nie miał czasu zdać sobie z tego sprawy. Uczuł, jak pewna dłoń chwyta go za klapy płaszcza i spojrzał w twarz Świętego.

— Nie śledź mnie — powiedział Święty tonem umiarkowanej i rozważnej nagany, następnie pięść wystrzeliła do góry i wylądowała z impetem na szczęcie.

Simon odwrócił się i ruszył z powrotem przejściem, przeszedł szybko podwórze i w chwili, gdy otworzyło się pierwsze okno, zniknął w cieniu wejścia do klatki.

Szybko wbiegł po ciemnych, kamiennych schodach, odnalazł dzwonek i nacisnął przycisk.

Drzwi otworzyły się natychmiast, ale dziewczyna chciała je równie szybko zamknąć, gdy zobaczyła, kto dzwonił.

Święty jednak był szybszy i wsuniętą stopą uniemożliwił zamknięcie drzwi.

— Na zewnątrz jest coś, co powinnaś zobaczyć — powiedział i szybko przeszedł obok niej, podczas gdy zastanawiała się, jak się zachować.

Pozbierała się szybko.

— Co pan sobie myśli nachodząc mnie w ten sposób? — zażądała wyjaśnień.

— Już ci to mówiłem. Zostało przygotowane specjalne przedstawienie na twoją cześć. Chodź i zabaw się.

Otworzył najbliższe drzwi i przeszedł przez mikroskopijny salon, jakby był właścicielem tego mieszkania. Podążyła za nim.

— Jeżeli pan natychmiast stąd nie wyjdzie, zacznę krzyczeć. Wokół mieszkają ludzie, na parterze jest portier, a ściany tutaj nie są na tyle grube, by mnie nie mogli usłyszeć.

— Nie martwiłbym się tym teraz — powiedział zimno Święty. — A poza tym, wszyscy są w tej chwili bardzo zajęci. Pani pozwoli, tędy.

Minął otwarte drzwi balkonowe i zatrzymał się na zewnątrz. Po chwili ona również tam się znalazła.

— Panie Templar...

Simon wskazał ręką w dół. Spojrzała i zobaczyła zbiegowisko ludzi, zgromadzonych wokół postaci leżącej koło ściany i jęczącej.

— Tak niech szczerze zło — mruknął Święty.

Dziewczyna obróciła w jego stronę bladą twarz.

— Jak to się stało?

— On i jego kumpel śledzili nas od Calumetu. Miałem zamiar ci o tym powiedzieć, ale odeszłaś w ogromnym pośpiechu i dość nieprzyjemnym nastroju. Podążyłem więc za tobą. On już wspinał się na ten balkon, gdy zahipnotyzowałem go, by uwierzył, że jest cyrkową foką, a ja kawałkiem surowego mięsa. Nic więc dziwnego, że skoczył w moim kierunku.

Cofnął się do salonu, zamykając za nią drzwi balkonowe.

— Nie widzę powodu, dla którego miałabyś dołączyć do zgromadzenia tam, na dole — zauważył. — Osobnik ten został wzięty za obiecującego włamywacza, który powrócił dość gwałtownie na ziemię. Prawdopodobnie dostanie 6 miesięcy i bezpłatną opiekę lekarską. Ty jednak powinnaś pamiętać o tym incydencie. Pozwoli ci to lepiej dbać o swoje zdrowie.

Patrzyła mu w oczy przez dłuższą chwilę, a potem powiedziała ze spokojem:

— Przepraszam.

— Ja ciebie również — odparł Święty. — Chyba byłem niepotrzebnie złośliwy, a na obronę mam jedynie fakt, że sobie na to rzetelnie zasłużyłaś.

Uśmiechnął się i sięgnął po papierośnicę.

— Papierosa?... Wspaniale... A propos, wydaje mi się, że nie masz pokojówki, prawda?

Miałem zamiar ci to zasugerować, gdy byliśmy w Cri, ale nie dałaś mi okazji. Teraz jest pora, o której zazwyczaj śpię...

ROZDZIAŁ IV

Kilka dni później pan Francis Lemuel odbył swój pierwszy, długi lot z nowym pilotem.

Najpierw poleciełi do Paryża, a następnie do Berlina. Cały tydzień mieli doskonałą pogodę, ale nic ciekawego się nie wydarzyło. Święty pił francuskie i niemieckie piwo, tęskniąc za dobrym, angielskim, i skłonny był niemal zabić rozmownego i poza tym sympatycznego Bawarczyka, który miał czelność stwierdzić, że piwo angielskie jest *zu stark**. Pan Lemuel załatwiał swoje interesy i Święty spotykał go tylko czasami, w porze posiłków.

Lemuel był człowiekiem w średnim wieku, o cerze charakterystycznej dla mieszkańca ulicy Lombard, udającym szczerego kompana, z czego był niezmiernie dumny.

Poza godzinami lotów tylko parę razy zajął czas swemu podwładnemu.

— Rozejrzyj się i zabaw, stary — dla Lemuela każdy był starym. — Możesz zobaczyć tu rzeczy, o jakich ci się w Anglii nigdy nie śniło.

Święty rozglądał się więc i zapytany od niechcienia przez Lemuela o wrażenia, wyolbrzymiał drobne wyskoki, czyniąc z nich eskapady, czego by się normalnie wstydził. Porobił sobie szczegółowe notatki z prawdziwych części niektórych historii, by zachować je na przyszłe indagacje. Święty był żarliwym wyznawcą koncentrowania się na jednej rzeczy i nie zamierzał narażać na szwank sprawy badając wątki uboczne, przynajmniej na razie.

Spotkał tylko jednego partnera Lemuela od interesów. Był to Jacob Einsmann, który raz zjadł z nimi obiad. Einsmann. Jak się okazało, miał on kontrolny pakiet dwóch dobrze prosperujących klubów nocnych i bardzo był zainteresowany tym, by Lemuel zorganizował mu kosztowne numery kabaretowe. Był to niski, rumiany mężczyzna, z wydatnym nosem i dłońmi przeładowanymi

diamentowymi pierścieniami.

— Ja po prostu muszę mieć *der* angielskie lub amerykańskie dziewczęta, tak jest — nalegał. — *Der* kontynentalne... ba! Mogę mieć dowolną ilość do wymachiwania nogami, nieprawdaż? Ale wasze...

Ucałował starannie wypielęgnowane palce.

— Masz rację, stary — przytaknął Lemuel z sympatią. — Angielki i Amerykanki są najlepszymi artystkami kabaretowymi na świecie. Nie twierdzą, że czasami nie mają humorów, jednak cechuje je również poczucie dyscypliny i nie boją się ciężkiej pracy. Cały problem polega na wysłaniu ich za granicę. W Anglii jest wiele osób gotowych podejrzewać cię o najgorsze, jeśli tylko spróbujesz załatwić Angielce kontrakt za granicą.

Przez pewien czas rozwodził się na ten temat. Święty, który słyszał całą tyradę, wzruszył ramionami.

— Wydaje mi się, że pan wie na ten temat znacznie więcej niż ja, sir — przyznał zgodnie — ale chyba pan trochę przesadził. Na pewno jest wielu uczciwych agentów.

— Oczywiście, że są, stary — zadudnił Lemuel. — Jednak to nas obarcza się winą za kanty popełnione przez tych nieuczciwych.

Potem rozmowa wróciła do tematów zawodowych. Święty zrozumiał aluzję tak delikatną, że trudno ją było przeoczyć, i przeprosił towarzystwo.

Następnego ranka odlecieli do Anglii i w godzinę po starcie z lotniska Waalhaven, w ostatnim etapie podróży (wylądowali jeszcze w Rotterdamie na posiłek), Simon był niewiele bliżej rozwiązania zagadki Francisa Lemuela niż na początku podróży.

* *Zu stark* (niem.) — za mocne

Olśnienie przyszło, gdy ujrzał klif w Kent.

Kilka minut później był na najlepszej drodze prowadzącej do celu.

Lemuel nie należał do osób wstających o świcie, więc z Tempelhof wylecieli po południu. W trakcie lotu pogoda stawała się coraz gorsza. Wiele razy Święty musiał schodzić nisko, by ominąć chmury i chociaż jeszcze nie padało, od chwili przekroczenia granicy holenderskiej trudno było mówić o pogodnym niebie. Było też takie pół godziny, kiedy rzucało nimi całkiem mocno, a Lemuel był bardzo nieszczęśliwy.

Kiedy znaleźli się nad ziemią angielską, spotkali przednią straż burzy.

— To mi się bynajmniej nie podoba, Templar — zachrypiał Lemuel do mikrofonu. — Czy nie ma tu w pobliżu lotniska, na którym moglibyśmy wylądować?

— Nic mi o tym nie wiadomo — kłamał Święty. — Poza tym gwałtownie się ściemnia, a ja nie chcę ryzykować utraty swoich namiarów. Będziemy musieli dolecieć do Croydon.

— Croydon!

Simon usłyszał cichy okrzyk i uśmiechnął się. Nagle wszystko stało się jasne. Ten okrzyk potwierdził jego fantastyczne domysły.

— Dlaczego Croydon?

— Jest to najbliższe lotnisko wyposażone w urządzenia do nocnych lądowań. I nie wydaje mi się, byśmy mogli mieć jakieś kłopoty z celnikami — dodał Święty w zamyśleniu.

Zapadło milczenie. Święty leciał tak nisko, jak tylko się odważył, pilnie obserwując ciemniejący krajobraz w dole. W duchu gratulował sobie szczególnej przydatności swojego ulubionego hobby.

Wielokrotnie, kiedy nie miał nic innego do roboty, wsiadał do samochodu i wyruszał na rekonesans po nie uczęszczanych drogach Anglii, wyszukując zapomniane wioski i nie skażone wiejskie gospody, które kolekcjonował, tak jak mniej wyrafinowani i bardziej prostolinijni mężczyźni zbierają znaczki pocztowe. Chwalił się, że pozna każdy zakątek Wysp Brytyjskich po omacku i być może tak bardzo się nie mylił. Była taka wioska na pograniczu hrabstw Kent i Surrey,

która wydawała mu się idealna do osiągnięcia celu.

— Nie ma co, stary — odezwał się Lemuel smętnie.

— Co?

— Czuję się, jakbym miał skonać. Długo już nie wytrzymam. Czy nie możesz wylądować gdzieś w polu, dopóki mamy jeszcze trochę światła?

— Zastanawiałem się, jaki pretekst wymyślisz, złotko — mruknął do siebie Święty. Głośno zaś odezwał się z pogodą. — Całkiem niezłe nami rzuca, sir. Jeśli pan chce, to mogę spróbować.

Prawdę mówiąc, właśnie zauważył swój cel i zmniejszył obroty silnika z delikatnym uśmiechem zawodowca.

Nie było to najłatwiejsze lądowanie, szczególnie przy tej pogodzie. Święty posadził jednak samolot bezbłędnie, zawrócił i podkołował, by ukryć się w wybranym rogu pola. Potem wydostał się z kokpitu i przeciągnął się.

— Mogę go zabezpieczyć na noc — stwierdził, gdy Lemuel stanął obok niego na ziemi. — Jeśli nie będzie mocniej wiało, nic nie powinno się wydarzyć.

— Jeszcze chwila takiego lotu by mnie dobiła — powiedział Lemuel, który naprawdę był bardzo blady. — Gdzie jesteśmy?

Simon powiedział mu.

— To całkiem na uboczu i obawiam się, że nie złapie pan już pociągu do miasta. Jest tu jednak bardzo przyzwoity mały pub, w którym możemy się zatrzymać — stwierdził.

— Zadzwoń do szofera, aby tu po mnie przyjechał — oznajmił Lemuel. — Czy tutaj jest telefon?

— Wątpię — rzekł Simon, choć wiedział, że był.

Szczęście ponownie uśmiechnęło się do niego. Zanim samolot został zabezpieczony przy pomocy zdobytych w sąsiedztwie lin, zrobiło się całkiem ciemno. Padał rzęsy deszcz, nikt więc

nie mógł widzieć, jak Simon wspiął się zwinnie na stojący tuż za skrajem wsi słup telegraficzny.

Lemuel, który udał się na poszukiwania poczty, wkrótce do niego dołączył w barze „Blue Dragon” i opowiedział smutną historię.

— Musiało zwalić słup telegraficzny — rzekł. — W każdym razie nie można się nigdzie dodzwonić.

Simon, który po prostu przeciął przewody nie uszkodzając słupa, nie widział powodu do wyprowadzania go z błędu.

Zgodnie z przewidywaniami Świętego, próby szukania możliwości dotarcia do najbliższego miasta okazały się równie bezskuteczne. Tę wieś wybrał bardzo starannie. Pozbawiona była wszystkiego, co miało znaczenie dla pana Lemuela i wątpliwe było natknięcie się na jakikolwiek ruch tranzytowy, ponieważ nie leżała ona na uczęszczanym szlaku.

— Wygląda na to, stary, że zrobiliśmy wszystko co w naszej mocy — stwierdził Lemuel, a Simon mu przytaknął.

Po kolacji nastrój Lemuela poprawił się i spędzili całkiem przyjemny wieczór w barze.

Był to naprawdę ożywiony wieczór. Lemuel, będący pod zmiękczejacym wpływem wypitego koniaku, zapomniał o niepowodzeniach mijającego dnia i z zapałem zabrał się do uprzyjemniania sobie nocy. Jak wyjaśnił, jego rozmowa z Jacobem Einsmannem miała zaowocować łatwym zarobkiem. Nie można było jednak skłonić go do uchylecia rąbka tajemnicy, mimo zręcznie prowadzonej rozmowy. Simon uśmiechał się i upijał pryncypała, a nawet zwiększył tempo picia przed godziną zamknięcia. Miał okazję poznać słabe strony Francisa Lemuela, zaś właściwe wykorzystanie tej wiedzy było częścią jego planu. A Święty był zazwyczaj bardzo cierpliwym człowiekiem.

— Dobry z ciebie facet, stary — oznajmił Lemuel, gdy zbliżała się godzina 21. — Trzymaj się mnie, stary, i nie przejmuj się tym, co mówią inni. Po prostu trzymaj się mnie. Wkrótce dam ci

lepszą robotę, stary. Mój kumpel...

Kiedy w końcu pan Lemuel oznajmił, że idzie do łóżka, życzliwe „niech pan dobrze śpi, sir” mogłoby uderzyć sceptycznie nastawionego obserwatora jako zbyt uczynne. Nic nie było równie pewne jak to, że Lemuel będzie spał tej nocy snem sprawiedliwego.

Święty pozostał w barze jeszcze przez godzinkę, ponieważ gospodarz był w rozmownym nastroju, a w Simonie znalazł miłego kompana, co nie było czymś niezwykłym. Kiedy więc wkrótce po pożegnaniu się i udaniu na spoczynek Simon powrócił z grymasem niezadowolenia na twarzy, spotkał się ze zrozumieniem.

— Pomyliłem torby — wyjaśnił. — Pozostałe dwie zostały zaniesione do pokoju pana Lemuela, prawda?

— Czy jedna z nich jest pańska? — spytał gospodarz z sympatią.

Simon przytaknął.

— W mojej są tylko próbki — powiedział. — I mogę się założyć z panem, że pan Lemuel zamknął drzwi od swojego pokoju na klucz. Nigdy o tym nie zapomina i to niezależnie od ilości wlanego w siebie alkoholu. Będę musiał chyba wywalić drzwi, aby go obudzić. A jeśli to zrobię, wylecę z roboty.

— Mam klucz uniwersalny, sir — pospieszył z pomocą gospodarz. — Mógłby pan tam wejść i zamienić torby tak, że on o niczym nie będzie wiedział.

Simon spojrział na niego.

— Jesteś skarbem, George — mruknął. — Naprawdę.

W asyście gospodarza wszedł do pokoju pana Lemuela, który opuścił z kluczem od drzwi w kieszeni i jedną z toreb Lemuela w ręce. Lemuel chrapał rytmicznie.

— Dzięki, George — rzekł Święty, zwracając uniwersalny klucz. — Śniadanie o dziesiątej i sądzę, że do łóżka...

Zabrał torbę do swojego pokoju i otworzył bez większych trudności.

Już gdy wynosił ją z samolotu upewnił się, że jest zbyt ciężka, by zawierać wyłącznie ubrania.

Ale najbardziej interesujące było to, że Lemuel nie miał jej, gdy wylatywali z Anglii. Głównie dlatego postanowił do niej zajrzeć. W świetle tej hipotezy i reakcji Lemuela na magiczne słowo „Croydon” nie można powiedzieć, że Święty zbytnio zdziwił się widokiem zawartości torby.

Niemniej był nią bardzo, ale to bardzo zainteresowany.

Były tam rzędy starannie zapakowanych kwadratowych puszek, zwykłych i bez etykietek.

Wziął jedną z nich, delikatnie odkleił taśmę samoprzylepną i podważył wieczko. W środku znajdował się biały, krystaliczny proszek, ale on tego podświadomie oczekiwał. Niemal bezwiednie wziął szczyptę proszku między kciuk a palec wskazujący i posmakował. Jego uśmiech stał się nieco wymuszony. — Spryciarz z ciebie, Francis — mruknął.

Przez chwilę rozmyślał, nucąc sobie pod nosem, najwyraźniej tym wszystkim poruszony. Ale jego umysł intensywnie pracował.

Można było bez jakichkolwiek kłopotów pozbyć się zawartości torby. Święty przez chwilę hołubił inny pomysł. Duża dawka zawartości puszek, wprowadzona przez Simona przy pomocy igły, którą miał w swoim bagażu... Potrząsnął głową.

— Powinieneś pamiętać, stary — ganił się — że masz do czynienia z organizacją. I nie masz pewności, czy wujek Francis zapisał ci coś w testamencie.

Plan, na który się zdecydował, odznaczał się prostotą — przynajmniej na razie. Wszystko teraz zależało od stanu magazynu piekarza. Simon opuścił po kryjomu „Blue Dragon”, by powrócić po godzinie i to ze znacznym ciężarem.

Przez kilka następnych godzin był zajęty, starając się nadać puszkom wygląd nietkniętych, po czym otworzył pokój Lemuela jego własnym kluczem.

Zamknięcie drzwi z zewnątrz i pozostawienie klucza w zamku od środka jest całkiem proste,

jeśli wiesz, jak to się robi. Należy przywiązać nitkę do końca ołówka, przełożyć ołówek przez otwór w kluczu i przeciągnąć nitkę pod drzwiami. Pociągnięcie za nitkę przekręca klucz, ołówek wypada i można go wyciągnąć pod drzwiami.

Gdy Simon wreszcie wskoczył w piżamę i udał się na spoczynek, na dworze widać było pierwszą szarość świtu. Zasnął jak dziecko.

Rankiem polecieł do Hanworth, skąd samochód Lemuela zabrał ich do Londynu.

Simon wysiadł przy Picadilly Circus i bez wahania udał się do Piccadilly Hotel. Usiadł przy stoliku, przysunął do siebie hotelową papeterię i z uczuciem poświęcił się tworzeniu Dzieła Sztuki.

Był to rysunek małego człowieczka z okrągłą głową. Nakreślił ciało i kończyny tak, jak robią to dzieci, ale nad głową, nieco na bakier, umieścił aureolę, co zrobiłyby tylko nieliczne dzieci.

Następnie wziął kopertę, wypisał adres Francisa Lemuela i nie nakleił znaczka. Ukończone dzieło wysłał z hotelu.

Pół godziny później wpadł do Patrycji Holm, oznajmiając, że jest głodny jak wilk i marzy o lunchu.

— Z piwem — rzekł. — Oczywiście z pianką, warzone w Burton i tak *stark*, jak tylko to robią.

— A jaki jest sekret Francisa Lemuela? — spytała.

Wzruszył ramionami.

— Nie psuj mi powrotu do domu — powiedział. — Przykro mi to wyznać, ale przez cały cholerny tydzień nie ruszyłem do przodu ani o krok.

Nie uważał za stosowne jej poinformować, że z premedytacją podpisał i wysłał swój wyrok śmierci; ostatnio zrobiła się dość drażliwa.

ROZDZIAŁ V

W opowieści tej są elementy, które w pamięci Świętego pozostaną już na zawsze, otoczone specyficzną sympatią. Bardzo lubi on logikę wydarzeń, sposób, w jaki łączą się różne elementy

łamięłówki. Lubi również czystą precyzję wcześniejszych epizodów i mruczy z rozkoszy na myśl o bezbłędnych szczegółach swych poczynań, zaś zapierający dech podziw wzbudza w nim rewelacyjna błyskotliwość wykorzystania psychologii stosowanej, która decydowała o sposobie przeprowadzenia poszczególnych etapów przygody.

W taki to sposób omawiał dziecko swego geniuszu.

— Narkotyk w detalu kosztuje w handlu nielegalnym około 60 funtów za uncję, musiałem więc spuścić w toalecie towar za około 70 tysięcy funtów. Tak, to był dobry pomysł, by przechwycić kilkuletnią dostawę za jednym zamachem i prawie bez żadnego ryzyka. Potem zaś, zgodnie ze scenariuszem, powinienem zostać po cichu wylany, ale nie przez wujaszka Francisa. Jest on na to zbyt sprytny. Zamiast tego przedsiębiorstwo dystrybucyjne Francisa wkrótce podniesie raban na Jermyn Street i zapyta go, co ma znaczyć dostarczenie tylu puszek zwykłej, białej mąki. Biorąc pod uwagę list dostarczony im ostatnią pocztą, pytanie to rozpęta burzę. I jeszcze przed rankiem Francis będzie musiał rozważyć odpowiedź na odwieczne pytanie: co „A” powinien zrobić?

Było to znacznie później, gdy historia Lemuela należała już do prehistorii. Święty wykonywał znaczący, gest, uśmiechał się zamyślony w kierunku zgromadzonych i kontynuował swój wywód.

— Cóż więc powinien „A” zrobić, kochany staruszkule? Czy powinien wypłakać się przed całym światem i wpaść do Scotland Yardu, pękając od nadmiaru informacji? Zdecydowanie nie. Nie ma on żadnej informacji, którą mógłby spokojnie przekazać. Jego jajko, mówiąc obrazowo, utkwilo w jajowodzie... Czy powinien mnie przekląć, spisać na straty i tak zostawić? Równie zdecydowanie nie. Byłem wówczas dość dobrze znany i on znał moje zwyczaje. Wiedział, że z nim jeszcze nie skończyłem. Wiedział, że jeżeli szybko nie zdecyduje się na atak, wówczas może postawić na sobie krzyżyk... Czy może powinien wezwać kilku twardych facetów i zaoferować im dużą nagrodę za mój akt zgonu?... Sądzę, że nie. To nie w typie Francisa... Żywi on ogromny szacunek dla obecnej długości swojej szyi i nie odpowiada mu myśl sztucznego jej wydłużenia przez

gentlemana w ciemnym garniturze, pewnego zimowego, mroźnego poranka w wybielonym pomieszczeniu. Bo wie, że takie rzeczy często się zdarzają, czasami nawet całkiem sprytnym mordercom... Co więc zrobi?

Francis Lemuel zrobił właśnie to, co Święty przewidział. Zatelefonował trzy dni później, wieczorem, i Święty zjawił się na Jermyn Street po obiedzie, z bronią w kieszeni na wszelki wypadek. Był to tylko środek zapobiegawczy, ponieważ tak naprawdę nie oczekiwał żadnych kłopotów. I miał rację.

Instrukcje, jakie otrzymał, odbiegały jednak nieco od jego oczekiwań. Zastał Lemuela przy pisaniu telegramów, a impresario przeszedł od razu do rzeczy.

— Einsmann, pamiętasz chyba tego faceta, który był z nami na obiedzie? Wpakował się chyba w niezłe tarapaty. Jutro otwiera nowy klub nocny, a jego gwiazda w ostatniej chwili wystawiła go do wiatru. Nie ma czasu na znalezienie kogoś odpowiedniego na to miejsce i dlatego zatelegrafował do mnie o pomoc. Znalazłem odpowiednią, naprawdę dobrą dziewczynę. Cały problem to dostarczenie jej na czas na próby z orkiestrą.

— Chce pan abym ją tam zawiózł? — spytał Święty, zaś Lemuel przytaknął.

— To jedyny sposób, stary. Nie mogę zawieść Einsmanna właśnie teraz, w przededniu podpisania z nim wielkiego kontraktu. Masz chyba samochód?

— Tak jest, sir.

— Podam ci teraz adres dziewczyny — Lemuel wziął kawałek papieru i napisał. — Będzie cię oczekiwać jutro rano o dziewiątej. Potem prosto do Hanworth...

Simon złożył kartkę i starannie schował ją w notesie, a szef nadal wydawał instrukcje.

Po Lemuelu znać było napięcie. Oczy miał podpuchnięte, a jego pulchne policzki obwisły bezwładnie.

Po opuszczeniu Jermyn Street Święty bezwiednie skierował się do Piccadilly Hotel. Tam

skomponował, po starannych obliczeniach przy pomocy kalendarza, następującą notatkę:

Jeżeli kwota 20 000 funtów (słownie: dwudziestu tysięcy funtów) nie zostanie wpłacona na konto J.B.L. Smitha w City w Continental Bank, Lombard Street, do godziny 12 w południe w sobotę, wówczas dostarczę na ręce prokuratora dowody, które zapewnią panu pięcioletni pobyt w państwowym zakładzie karnym.

Zamiast podpisu widniał wyjątkowo artystycznie wykonany autoportret Świętego, zaś adresatem był Francis Lemuel.

Była to czwartkowa noc.

W czasie miłego spaceru do domu Święty ponownie wdał się w dyskusję z sobą samym.

— Wujaszek Francis potrzebował pilota o niezbyt dobrej reputacji, by w razie kłopotów zrobić z niego kozła ofiarnego. Kiedy jednak odkrył, że jestem Świętym, wówczas pomysł ten spalił na panewce. Co bym teraz zrobił na miejscu wujaszka Francisa?... Zorganizowałbym panu

Templarowi miły upadek z samolotem z wysokości czterech tysięcy stóp. Nieprzyjemny wypadek

— przepadnięcie w najwyższym punkcie pętli, nie zapięte pasy bezpieczeństwa... A wujaszek wie wystarczająco dużo na ten temat, by ściągnąć latawiec na ziemię... Tak bym myślał, będąc na jego miejscu... Kilka kropli odpowiedniej mikstury w piwie przed następnym startem... Ale ten sposób jest prawie równie dobry. To moje ostatnie zadanie u wujaszka i niewątpliwie jutrzejszej nocy w

Berlinie komitet powitalny będzie już mnie oczekiwał. Być może wynajęto człowieka, by ten zaopiekował się kablami mojej windy i przygotował ją na powrotną podróż w sobotę. Tak, to chyba nawet lepsze od mojego pomysłu. Polecenie zabrania dziewczyny do Berlina ma uspić moje podejrzenia. Jeśli mam uważać się za stojącego poza wszelkimi podejrzeniami, powinienem czuć się całkowicie swobodnie i być może beztrosko... Oj, to będzie wielki mały weekend.

Jedyny kłopot, jaki oczekiwał go następnego dnia rano, nie miał być dziełem Lemuela — i tu ponownie rozumowanie jego okazało się bezbłędne.

Stella Dornford zdziwiła się na jego widok.

— Czego pan chce? — spytała.

— Polecieć z tobą — rzekł teatralnie, a ona cofnęła się.

— Czy jest pan od Lemuela?

Simon przytaknął.

— To niezwykle, że wszędzie mnie pełno, nieprawdaż? — mruknął.

— Czy to kawał?

Potrząsnął głową.

— Nie. Przynajmniej jeśli chodzi o mnie, skarbie. Trudno sobie wyobrazić kogoś wstającego bladym świtem, by zrobić kawał. — Uśmiechnął się na widok jej powątpiewania. — Złóż to na karb przypadku, kochanie, i pokaż mi, gdzie jest twój bagaż.

U stóp schodów zatrzymał się i przyjrzał się badawczo dziedzińcowi.

— Wygląda na to, że zeskrobali już Cuthberta z betonu — powiedział i nagle spytał: — Jak dostałaś ten kontrakt?

— Tamtej nocy Lemuel był na naszym przedstawieniu — powiedziała. — W czasie przerwy przysłał mi swoją wizytówkę...

— Powiedział ci, że go oczarowałaś swoim tańcem, odkupił cię i podpisał...

— Skąd pan to wie?

— Nie wiem. To po prostu pasuje. I czyni ze mnie współnika. Och, to po prostu zbyt piękne, by można było wyrazić słowami! Nie wiedziałam, że Francis ma takie poczucie humoru.

— Co pan ma na myśli?

— Mam rację, nieprawdaż? Posłuchaj. On powiedział: „Jest to najgorszy program, jaki widziałem, stary”. Nie, wydaje mi się, że ujął to nieco inaczej... „ale pani taniec, staruszko, jest jak oaza na pustyni”. Czy coś w tym stylu. Czyż nie tak?

— Powiedział, że bardzo mu się mój taniec podobał...

— Kawalarz — rzekł Święty z ironią.

Dogoniła go, gdy wkładał walizki do bagażnika samochodu.

— Panie Templar...

— To ja.

— Nie rozumiem pańskiego poczucia humoru.

— Bardzo mi przykro.

— Byłabym wielce zobowiązana, gdyby zostawił pan mój taniec w spokoju.

— Skarbie — rzekł łagodnie Święty. — Wysłałbym cię na bezludną wyspę. Po naszym pierwszym spotkaniu zdecydowałem się obejrzeć twój program. Muszę przyznać, że jesteś piękna, energiczna, starasz się a twoja figura to po prostu marzenie. Jednak jeśli twój taniec jest oazą na pustyni, wówczas R.S.P.CA* powinno coś z tym zrobić.

Błada z wściekłości wsiadła do samochodu. Gnali wzdłuż Great West Road w milczeniu. Po czym Simon dodał, jakby nie było żadnej przerwy w ich rozmowie:

— Gdybym był tobą, kochanie, byłbym skłonny zainteresować się bardziej tym miłym chłopcem z banku.

— Nie potrzebuję pańskiej rady, panie Templar — rzekła chłodno. — Pan ma mnie zawieźć do Berlina. Żałuję tylko, że nie mogę się teraz obejść bez pańskiej pomocy.

Teraz powrócił cały instynktowny antagonizm, jaki pojawił się między nimi niby drut kolczasty w czasie pierwszego spotkania. Po wypadku z amatorem wspinaczki nastąpiło zawieszenie broni, lecz Święty przewidział nawrót wrogości już w chwili przeczytania nazwiska i adresu, zapisanych na kartce przez Lemuela. I bynajmniej nie zamierzał temu zapobiec. Patrycja Holm zwykle mawiała, że Święty ma mniej niż żadne pojęcie o postępowaniu z kobietami. Stwierdzenie to zostawmy ocenie historyków. Święty pierwszy by się pod tym podpisał i to z uśmiechem, gdyby

miał w tym jakiś interes, ale czasami jego próżność dochodziła do absurdu. Gdy zaś mowa o postępowaniu z kobietami, to reprezentował on szkołę to jest twoja etykieta i jeśli ci się to nie podoba to idź do diabła, chyba że postępował akurat na odwrót i podobnie jak w tym wypadku, zawsze wiedział, co robi. Gdyby postąpił inaczej, miałby znacznie bardziej zabawną podróż do Berlina. On jednak, darzył sympatią tego nieznanego, miłego chłopca, który zabierał Stellę Dornford do kina i, oby mu się poszczęściło, prawdopodobnie trzymał ją przy tym za rękę. Taki tam Jacob Einsmann nigdy by nie wpadł na podobny pomysł... Był jeszcze inny, dodatkowy powód rezerwy Świętego. Fakt, że była to akurat ta, spotkana wcześniej dziewczyna, wprowadzał nowy element, który mógł wpłynąć na przebieg wydarzeń. Musiał zdobyć jeszcze trochę informacji, tylko trochę.

* R.S.P.C.A. — *Royal Society for the Prevention of Cruelty to Animals*, Królewskie Towarzystwo do Walki z

Okrucieństwem wobec Zwierząt.

Podróżowali więc z Hanworth do Tempelhof w lodowatym milczeniu, którego Święty nawet nie próbował rozładować. W tym samym nastroju zabrał taksówką Stellę Dornford z hotelu pod wskazany przez Lemuela adres.

Był to duży, ponury dom, położony w odległości prawie dwóch mil od centrum dzielnicy rozrywki i w żadnym razie nie przypominający nocnego klubu.

Nie od razu wysiadł z taksówki. Chwilę przyglądał się domowi, a następnie zwrócił się do

dziewczyny.

— Jestem pewny, że Jacob Einsmann nie jest zbyt miły — powiedział. — Prawdę mówiąc, to na pewno się pokłócimy. A jednak gotowy jestem odwieźć cię najpierw do hotelu.

Odrzuciła w tył głowę i otworzyła drzwiczki. Gdy płacił taksówkarzowi, ona zadzwoniła do drzwi, były więc otwarte, zanim jeszcze do nich doszedł.

— *Herr* Einsmann chciałby pomówić również z panem, sir.

Święty wszedł do środka. Lokaj, który, podobnie jak portier w Calumet Club, wykonywał w swoim czasie różne zawody, poprowadził ich przez surowy, pusty hali i otworzył drzwi.

Dziewczyna weszła pierwsza i Simon usłyszał jej okrzyk, zanim jeszcze ujrzał Einsmanna.

Stella chwyciła go za ramię.

— To mi się nie podoba — stwierdziła.

Simon uśmiechnął się. Wyczytał w jej oczach zwątpienie, gdy po raz pierwszy ujrzała ten dom i spodobał mu się jej upór, z jakim postąpiła wbrew jego radzie i swojej opinii. Ale, chociaż podobała mu się jej niezłomność, to z premedytacją postanowił dać jej nauczkę.

— A więc! — Jacob Einsmann wstał z krzesła, zacierając delikatne ręce. Oczy jego utkwione były w dziewczynie. — Nie chciałaś mnie słuchać w Londynie, byłaś na to zbyt dumna, a teraz do mnie przyjechałaś, nieprawdaż?

ROZDZIAŁ VI

— Tak, mój chłopcze, przyjechaliśmy — wycedził Święty. — A więc otrzymałaś to, co chciałaś, prawda?

Einsmann obrócił głowę.

— Ach, przypominam sobie pana.

— Ja również — rzekł Święty ugodowo.

Einsmann złośliwie łypnął okiem.

— A jednak, *Herr Święty*, popełnił pan błąd.

— *Święty?*

To odezwała się dziewczyna, stojąca u boku Simona, zaskoczona, na wpół nie dowierzająca.

Uśmiechnął się do niej.

— Zgadza się, najdroższa. To ja jestem tą szacowną instytucją. Czy to nie ten bosz*, o którym wspomniałaś w Cri, ten ptaszek, który napalił się na ciebie w Calumecie?

Przytaknęła.

— Nie wiedziałam.

— Nie miałaś wiedzieć — rzekł zimno Simon. — To była część kamuflażu. Domyśliłem się, gdy tylko Lemuel dał mi twoje nazwisko.

— Pan jest sprytny, *Herr Święty* — powiedział Einsmann uprzejmie.

— Jestem — przyznał Święty skromnie. — Gdy tylko chce mi się wykonać maleńkie dodawanie. Jak wtedy w czasie obiadu. Przedstawienie na mój rachunek, prawda? Cała ta gadka o kabarecie i kłopotach Lemuela przy wysyłaniu dziewcząt angielskich za granicę... To mi dało sporo do myślenia. Gotów byłem postawić 10 000 dolarów przeciw 10-centówce, że wkrótce mnie poprosicie o przewiezienie kilku miłych dziewcząt samolotem Lemuela. Nie wydaje mi się, by obecny wariant bardzo od tego odbiegał. Problem polega teraz na tym, że Lemuel będzie musiał sobie znaleźć nowego pilota, który dokończy to zadanie. Chyba się nie mylę, co?

Dłoń jego leniwie ruszyła w kierunku kieszeni i wtedy twardy przedmiot wbił się w jego żebro.

Spojrzał w dół na ciężki pistolet automatyczny w dłoni kiepskiej imitacji kamerdynera, który jednak nie opuścił pokoju.

— A teraz wyjmij broń. Powoli, bardzo powoli — rzekł Einsmann. Simon uśmiechnął się leniwym, anielskim uśmiechem. I równie wolno jak uśmiech, w polu widzenia znalazła się jego dłoń.

— Nie masz chyba nic przeciwko temu? — mruknął.

Otworzył papierośnicę i z uwagą wybrał papierosa. Kamerdyner opuścił broń.

— Przejdźmy na niemiecki — odezwał się niespodziewanie. — Mam coś do powiedzenia, a nie chciałbym, żeby dziewczyna zrozumiała.

Usta Einsmanna wykrzywił grymas.

— Cały zamieniam się w słuch — rzekł z ironią.

Z nie zapalonym papierosem w ustach i nadal otwartą papierośnicą w dłoni Simon spojrzał na Niemca. Stella Dornford znajdowała się za Świętym, imitacja kamerdynera nieco z boku i z pistoletem automatycznym w dłoni.

— Jesteś człowiekiem, dla którego nie ma dość wysokiej kary. Sprzedajesz i kupujesz dusze, a pieniądze twoje okupione są bezmiarem ludzkiego cierpienia. Tak wielkiego, że twój umysł nie

* Bosz — spolszczona wersja francuskiego boche, pogardliwa nazwa Niemca

jest w stanie tego pojąć. Narażenie cię na podobne cierpienia nic by nie zmieniło. Pozostaje więc dopilnować, byś przestał zaśmiecać ziemię.

Jego zimne, błękitne oczy wydawały się przewiercać mózg Einsmanna, który mimo obecności uzbrojonego goryla, poczuł ogarniający go strach.

— Przyjechałem tu, by się upewnić, Jacobie Einmann — rzekł Święty. — I upewniłem się.

Powinieneś wiedzieć, że cię zabiję.

Zrobił krok do przodu i nie usłyszał, że ktoś otwiera drzwi za jego plecami.

Rumiana twarz Einsmanna zbladła, tylko policzki pałały. Zaczął wyrzucać z siebie potok ochrypłych słów.

— Że co? Zabijesz mnie? Mylisz się. To nie ja umrę tej nocy. Znam ciebie *Herr Święty!* Nawet gdyby mi Lemuel nie powiedział, to i tak wiedziałbym wystarczająco dużo. Czy pamiętasz Henri Chastela? Był moim przyjacielem i to ty go zabiłeś! Ach! Nie będziesz miał szybkiej śmierci, mój

przyjacielu...

Podczas, gdy Einsmann mówił, Święty uśmiechając się nadal, zamknął z trzaskiem papierośnicę i włożył ją do kieszeni. Ruchy jego były tak naturalne i spokojne, że po fałszywym alarmie, wywołanym włożeniem rąk do kieszeni, ten gest przeszedł prawie nie zauważony. Nie wzbudził również podejrzeń fakt, że dłoń Świętego nie od razu znalazła się z powrotem na widoku. Schował ją za plecami, wymienił papierośnicę na pistolet i wymierzył w przeciwnika.

— Przekaż moje najlepsze życzenia Henriemu — rzekł i nacisnął spust.

Twarz Einsmanna wykrzywiła się strasznie, Niemiec złapał się za brzuch padając, ale Simon widział to tylko kątem oka. Wyciągnął broń spod ramienia i w sekundę później rozległ się następny strzał. Nie było czasu na zmianę pozycji, więc strzelił po raz drugi, w lewo; kamerdyner nie miał dobrego refleksu. Kula Świętego trafiła go w ramię, a jego własny strzał wylądował w podłodze. Drzwi trzasnęły i Simon odwrócił się.

Mężczyzna, który chwycił Stellę Dornford od tyłu chwilę wcześniej, nie był uzbrojony i nie zastanowił się ani przez sekundę nad sytuacją, w jakiej się znalazł. Ze szkodą dla jego przyszłości instynkt przetrwania starł się z innym, równie silnym instynktem, a on próbował pójść na kompromis z obydwojma. Być może uzbrojony kamerdyner wydał mu się osobą godną zaufania. Święty chętnie by się dowiedział, jak przebiegał proces jego myślenia, ale przeprowadzenie dochodzenia było chwilowo niemożliwe; mężczyzna oddalał się właśnie wraz z nieprzytomnym brzemieniem, a Simon przekonał się, że zdążył przedtem zamknąć drzwi na klucz. Wyjął ponownie broń i odgłos strzału zlał się z trzaskiem rozwalanych drzwi.

Otworzył je i rozejrzał się po ciemnym korytarzu. Zauważył zamykające się drzwi i cienką smugę światła w panującym powszechnie mroku. Smuga ta znikła, gdy biegł w jej kierunku. W chwili złapania za klamkę usłyszał szcęk obracanego w zamku klucza. Ponownie uniósł pistolet, lecz zamiast oczekiwanego strzału usłyszał tylko trzask iglicy, uderzającej o sponkę. Coś się

zacięło. Nie miał czasu na szukanie przyczyny, wrzucił więc pistolet do kieszeni, sprawdził umiejscowienie dziurki od klucza. Uniósł nogę i uderzył piętą zamek, wkładając w to całą swoją siłę i wagę.

Drzwi odskoczyły i uderzyły w stół, który miał utrudnić wejście do pokoju. Święty oparł się plecami o framugę i położył dłonie na drzwiach. Pchnął je nagłym ruchem, odrzucając stół na środek pokoju.

Dziewczyna leżała na podłodze koło drzwi. Mężczyzna, który ją tu przyniósł, stał za przewróconym stołem z pistoletem w dłoni.

— *Schweinhund** — warknął, a Święty się roześmiał.

* Schweinhund (niem) — przekleństwo

Śmiejąc się zrobił szybko dwa kroki i skoczył potężnym susem, uniemożliwiając porządne celowanie. Mężczyzna westchnął i wystrzelił, a Święty uczył jak gorące żelazo rozrywa mu ciało od nadgarstka po łokieć. Złapał przeciwnika za nogi i obaj upadli na podłogę; lewą dłonią chwycił prawy nadgarstek strzelca i przycisnął do podłogi. A ponieważ jego prawa dłoń była bezwładna, więc uniósł kolano...

W chwilę później był z powrotem na nogach, wyjmując po drodze pistolet z bezwładnej dłoni mężczyzny.

Powieki dziewczyny drgnęły, gdy stanął przy niej, lecz Święty uważał, że załadunek będzie mniej kłopotliwy niż pierwsza pomoc. Położył zdobyczy pistolet na krześle i, gdy dziewczyna usiłowała powstać, poderwał ją na nogi i przerzucił przez ramię, zanim ponownie upadła.

Szybko sprawdził prawą dłoń i stwierdził, że czasowy niedowład minął. Wziął więc pistolet do ręki.

Nikły odgłos kazał mu się odwrócić. Zobaczył, że strzelec czołga się w jego kierunku z nożem w ręku. Nie chciał strzelać, lecz spust był widocznie bardzo czuły, więc czołgający się legł

nieruchomo.

Święty ruszył wzdłuż hallu.

Ogromny Murzyn wynurzył się z mroku. Pamiętając tym razem o spuście, Święty wycelował w jego pierś. Murzyn cofnął się, przewracając białkami oczu. Trzymając go na muszce, Święty dotarł do drzwi wyjściowych i delikatnie postawił dziewczynę na ziemi. Mogła już stać i to ona, postępując zgodnie z jego wskazówkami, otworzyła drzwi.

— Sprawdź, czy jest taksówka — rzucił Święty i usłyszał jej spieszne kroki na schodach.

W chwilę później zawołała go.

Dał jej czas na wejście do taksówki, a następnie skoczył jak błyskawica, zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

Kierowca, który odwracał się po instrukcje w kierunku okienka łączącego obie części taksówki, usłyszał okrzyk z domu i spojrzał z pytaniem zastygłym na ustach. Wówczas coś twardego i zimnego dotknęło jego karku i jeden z pasażerów rzekł ostro:

— *Gehen Sie schnell, mein Freund!**

Kierowca posłuchał.

Ponieważ nie otrzymał polecenia, gdzie ma jechać, udał się w kierunku najbliższego komisariatu policji. Nie miało to jednak najmniejszego znaczenia, gdyż w chwili dotarcia do posterunku pasażerów już nie było w samochodzie. Funkcjonariusze, którym o wszystkim opowiedział, skłonni byli wątpić w trzeźwość tego szacownego obywatela, dopóki potwierdzenie części jego zeznań nie nadeszło z innych źródeł.

Stella Dornford i Święty opuścili taksówkę po cichu w przygodnym korku ulicznym, ponieważ następne 24 godziny Simon miał bardzo wypełnione i nie zamierzał godzić się na opóźnienie z powodu niedyskretnego przesłuchiwanie.

* *Gehen Sie schnell, mein Freund* (niem.) — Niech pan rusza szybko, mój przyjacielu.

ROZDZIAŁ VII

— Jeśli to cię niczego nie nauczy, dziewczyno — rzekł Święty trochę minorowym tonem — to już ci nic nie pomoże.

Znajdowali się w pokoju hotelowym, gdzie dziewczyna zostawiła swój bagaż przed udaniem się na rozmowę z Einsmannem. Święty, z papierosem w ustach i kuflem ciemnego piwa obok siebie, siedział na łóżku, bandażując sobie rękę dwiema białymi płóciennymi chusteczkami porwanymi na szarpie. Stella Dornford stała obok mocno zawstydzona.

— Przykro mi, że byłam taka głupia — powiedziała.

Simon spojrzał na nią. Była bardzo blada, lecz nie był to kolor gniewu, w jakim zaczynała ten dzień.

— Czy mogę panu pomóc? — spytała.

— To nic — stwierdził pogodnie. — Nigdy nie bywam ranny. To tylko prezent...

Zabezpieczył swoje wysiłki agrafką i opuścił rękaw. Wówczas posłał jej szybki, impulsywny uśmiech.

— Niemniej — rzekł — widziałaś Życie. I nie tego chyba oczekiwałaś, co?

— Nie może pan sprawić, bym czuła się jeszcze gorzej niż teraz. Roześmiał się i wstał, a ona spojrzała w bok, gdy poczuła jego dłonie na ramionach.

— Czego się martwisz, dziewczyno? — spytał. — Wszystko skończyło się dobrze, więc co u diabła? Nie musisz nawet wyęźać umysłu, by znaleźć niebanalny sposób na powiedzenie mi „dziękuję”. Ja to kocham. A przyjemność postrzelenia Jacoba w brzuch warta była tuzina takich zadrapań. Tak więc nie ma o czym mówić. — W zamyśleniu zwichrzył sobie włosy — A teraz z powrotem do Anglii, dobrze?

Odwrócił się i wziął płaszczyk.

— Wyjeżdżamy? — spytała zdziwiona.

Simon przytaknął.

— Obawiam się, że musimy. Po pierwsze: całe to przedstawienie prawdopodobnie wzbudziło w tym krzepkim Burgu niezdrowe emocje wokół mojej osoby. To może nie skłoniłoby mnie do powrotu, ale w Anglii jest pewien facet, którego chciałbym zobaczyć. Przykro mi z powodu pośpiechu, ale to, co mnie spotyka, dzieje się zazwyczaj w pośpiechu. Czy jesteś gotowa?

Wylądowali w Amsterdamie, gdzie zjedli późny posiłek. Wkrótce po opuszczeniu Schipol ciemności, monotonny huk motorów i wyczerpanie nerwowe ukołysały Stellę Dornford do snu. Obudziła się, gdy silniki umilkły i zobaczyła, że schodzą lotem ślizgowym w pierwszym blasku przed świtem.

— Sądzę, że mamy wystarczająco dużo światła, by tu wylądować — powiedział Simon. — Nie chcę lecieć do Croydon.

Było tam, przynajmniej dla Świętego, wystarczająco dużo światła, by wykonać bezbłędne lądowanie. Następnie podkołował do opuszczonych teraz hangarów i zostawił awionetkę, by mechanicy mogli ją znaleźć rano. Potem ruszył na poszukiwanie swego samochodu.

W samochodzie ponownie zasnęła i nie było nic dziwnego w tym, że ani przez chwilę nie pomyślała o Francisie Lemuelu. Najpierw Simon zaprowadził ją do jednego z najmiłszych salonów, jakie kiedykolwiek widziała, potem przygotował jajka na bekonie i kawę, a następnie wspólnie wypalili dwa papierosy. I dopiero wówczas znów zaczął działać.

— Chcę, abyś mi pomogła przeprowadzić rozmowę telefoniczną — powiedział, i dokładnie pouczył ją, co ma mówić.

W kilka minut później wykręciła podany numer.

— Czy to Piccadilly 3834? — spytała słodkim głosem. Uzyskała potwierdzającą odpowiedź.

— Berlin do pana.

Uderzyła lekko w widełki i wówczas Simon wziął słuchawkę.

— Czy to ty? Lemuel, nie?...Chciałbyś chyba usłyszeć o *der* interes, nieprawda?... *Ja!* Ubiłem *der* interes. *Der* facet nie sprawi ci więcej kłopotów, a próbki też otrzymałem, tak...

Nastąpił dialog, tym razem po niemiecku, pomiędzy Świętym i wspaniałym imitatorem operatora międzymiastowej w Berlinie. Wreszcie Simon rzekł: — *Ja!* Szczegóły jutro, w liście...

— Klasę poznaje się po szczegółach — mruknął z zadowoleniem, odkładając słuchawkę.

Stella Dornford spoglądała na niego z podziwem.

— Zaczynam teraz rozumieć pewne rzeczy, które napisano na pański temat — powiedziała, a

Święty uśmiechnął się, ponieważ wśród jego wad nie było nigdy fałszywej skromności.

Przeprosił ją, wyszedł na chwilę i zmienił swój charakterystyczny, rzucający się w oczy garnitur, w którym podróżował, na zwykłe, granatowe sukno. Fenomenalna szybkość przebierania się mogłaby mu przynieść fortunę jako zawodowemu artyście od przebieranek. Niewypowiedziane zdziwienie dziewczyny z powodu takiej odmiany sprawiło mu równie wielką przyjemność jak jej pierwszy komplement.

— Dokąd pan idzie? — chciała wiedzieć, gdy już odzyskała głos.

— Najpierw odprowadzę cię do domu — odpowiedział żywo. — A potem mam małą robótkę.

— Ale dlaczego pan się przebrał? Święty poprawił tani, czarny krawat.

— Ta robótką może się zmienić w pogrzeb — odparł. — Nie myślę tak naprawdę, ale wolałbym być przygotowany.

Gdy zostawił ją pod drzwiami jej mieszkania, nadal nie wiedziała, o co chodzi.

Stamtąd pojechał do Piccadilly i zostawił samochód na St. James Street, z powrotem poszedł pieszo. Teraz przyczyna zmiany stroju stała się jasna. Każdy przygodny obserwator uznałby za wyjątkową postać Świętego, kroczącego po londyńskim West Endzie, o godzinie szóstej nad ranem, w najbardziej oszałamiającej kreacji z Saville Row. Nikt jednak nie potrafiłby opisać porządnie ubranego i całkiem zwyczajnie wyglądającego młodego człowieka.

Nie mógł być też później rozpoznany przez zaspanego portiera, który otwierał po zadzwonieniu w umówiony sposób; twarz Simona była zamaskowana od oczu po podbródek chusteczką, złożoną w trójkąt, a kapelusz rzucał cień na oczy. Tyle tylko portier zdążył zauważyć, zanim Święty uderzył go pałką gumową, raz, szybko, ze współczuciem i niechętnie.

Święty zamknął za sobą drzwi i rozpiął dwurzędowy płaszcz. Pod nim znajdowało się wiele zwojów lekkiej liny, którą związał ręce i nogi odźwiernego. Całość uwieńczył humanitarny, lecz efektywny knebel. Potem zaniósł nieprzytomnego do mikroskopijnej służbówki, nie zapominając zabrać jego kluczy.

Wbiegł po schodach na drugie piętro do drzwi mieszkania Lemuela. Prawie natychmiast wyszukał właściwy klucz. Jeżeli drzwi będą zablokowane zasuwają... Ale najwyraźniej Lemuel polegał na bezpiecznym zamku Yale i czujności portiera.

Cicho jak kot szedł korytarzem i nasłuchiwał pod każdymi drzwiami. Gdy usłyszał odgłos miarowego oddechu, wszedł bezgłośnie do sypialni Lemuela i zatrzymał się przy łóżku niczym duch.

Był pewien, że Lemuel spędzał ostatnią noc bezsennie, dopóki telefon nie ukoił jego skołatanych nerwów. Znajdujące się na stoliku obok łóżka butelka, syfon, szklanka oraz wypełniona niedopałkami popielniczka potwierdzały jego opinię. Teraz zaś Lemuel spał jak zabity.

Święty delikatnie naciągnął brzeg prześcieradła na twarz śpiącego i wylał na nie nieco bezbarwnego płynu z buteleczki, którą wyjął z kieszeni. Atmosfera zageściła się.

Pięć minut później, w innym pokoju, Święty otworzył antywłamaniowy sejf własnym kluczem Lemuela.

Znalazł to, czego oczekiwał, i co w istocie spowodował. Nie trzeba być geniuszem, by dojść do wniosku, że dzień wcześniej Lemuel podejmie z banku wszystkie swoje oszczędności. W

przypadku braku zadowolającej informacji od Einsmanna przed rankiem, Lemuel byłby daleko od Anglii i to na długo przed upływem terminu wyznaczonego mu przez Świętego.

Simon spalił w kominku akcje o wartości 25 tysięcy funtów. Już wcześniej znajdowała się tam niezła kolekcja popiołu. Najwyraźniej Lemuel spędził część ubiegłego wieczoru likwidując swoje osobiste papiery. Przeszukiwanie jego biurka byłoby więc czystą stratą czasu. Po zgrabnym rozmieszczeniu na sobie około 40 tysięcy funtów w banknotach, po wykonaniu artystycznej pracy, Święty zamknął sejf i powrócił do sypialni Lemuela. Odłożył klucze na miejsce. Zanim odszedł, ściągnął mu z twarzy prześcieradło. Okna sypialni były otwarte, więc do rana zapach eteru się ulotni.

— Do rana... — Schodząc w dół Święty spojrzął na zegarek i pomyślał, że dał sobie ledwo wystarczający margines czasu. Jednak po drodze zatrzymał się w portierni, a bezsilny mężczyzna spoglądał na niego nieufnie.

— Przykro mi, że musiałem cię uderzyć — rzekł Święty. — Ale to być może ułatwi ci zapomnienie o kłopotach.

Wyjął z portfela 10 jednofuntowych banknotów i położył je na stole, po czym wybiegł przez hali i ściągnął maskującą chusteczkę, otwierając drzwi.

Pół godziny później był już w łóżku.

Francis Lemuel zamówił wczesne budzenie, tak na wszelki wypadek, a uspokajająca wiadomość telefoniczna przybyła zbyt późno, by je odwołać. Obudził się więc o 8.30, potrząsany za ramię przez służącego, i usiadł nieco otumaniony. Głowa mu pękała. Wypił łyk gorącej herbaty, którą przyniesiono mu do łóżka, i poczuł się chory.

— Wypiłem chyba więcej whisky, niż myślałem — stwierdził na wpół przytomny i wtedy zdał sobie sprawę, że służący coś do niego mówi.

— Było włamanie do tego domu, sir. Około szóstej nad ranem portier został znokautowany...

— Gdzie? Do nas? — głos Lemuela był ochryply i spięty.

— Nie, sir. Tak mi się przynajmniej wydaje. Rozejrzałem się dookoła, lecz wszystko znajduje się na miejscu.

Lemuel głęboko odetchnął. Na chwilę lodowaty strach chwycił go za gardło. Wówczas przypomniał sobie, że Święty nie żyje, i nie musi się już więcej bać.

Upił znowu herbaty i zachichotał gardłowo.

— W takim razie ktoś inny miał pecha — stwierdził obojętnie i zdziwił się, gdy lokaj potrząsnął głową.

— To właśnie najdziwniejsze, sir. Robiono już dochodzenie i żadne z mieszkań nie wygląda na obrabowane.

Później Lemuel przypomniał sobie tę rozmowę. Uchylił się od śniadania i zaczął się spieszyć, by na czas odstawić swoje skarby pod opiekę banku.

Gdy zobaczył pusty sejf i małą, narysowaną kredą postać, którą Święty zostawił w formie pokwitowania, zrobił się szarobiały.

Nogi ugięły się pod nim i po omacku szukał krzesła trzęsąc się z zabobonnego strachu. Dopiero po dłuższej chwili doszedł do siebie na tyle, by pomyśleć, że duchy nie ogłuszają portierów i nie czyszczą antywłamaniowych sejfów.

Służący, który nadszedł w odpowiedzi na oszalały głos dzwonka, przeraził się widokiem swego pana.

— Wezwij policję — wyskrzecztał Lemuel i lokaj wyszedł szybko.

Właśnie nadjechał nadinspektor Teal, który chciał udzielić wskazówek prowadzącemu dochodzenie sierżantowi, i to on ruszył na wezwanie.

— 65 tysięcy funtów? To dużo pieniędzy jak na taki mały sejf.

Teal sennym wzrokiem obejrzał obiekt dociekań, a następnie przyklęknął, by przyjrzeć mu się z

bliska. Zamrugał powiekami, gdy ujrzał znaki wypisane kredą.

— Do tego otwarty pańskim własnym kluczem.

Lemuel bez słowa przytaknął.

— Sądzę, że pana ostrzegł? — spytał niespiesznie Teal. Był on notorycznie nie spieszącym się człowiekiem.

— Były dwa absurdalne listy...

— Czy mogę je zobaczyć?

— Ja... ja je zniszczyłem. Nie zwracam uwagi na tego rodzaju pogróżki.

Brwi Teala uniosły się o milimetr do góry.

— Święty jest postacią dość dobrze znaną — powiedział. — Nie chciałbym zgadywać, ile kwadratowych mil powierzchni gazet poświęcono jego osobie od chwili, gdy wszedł do interesu.

Jedną z najbardziej niezwykłych rzeczy jest fakt, że nigdy nie zawiódł w wypełnieniu pogróżki.

Jeszcze się nie zdarzyło, żeby ktoś zignorował jego listy.

Lemuel przełknął. Nagle zdał sobie sprawę z sytuacji, w jakiej się znalazł. Święty zrujnował go, obrabował z ostatniego pensa i pozostawił mu tylko jedną kruchą rzecz, bardziej dla niego cenną niż wszystkie utracone skarby — jego wolność. A zmaltretowany mózg Lemuela nie widział innego sposobu na doprowadzenie Świętego do rąk sprawiedliwości jak zaryzykowanie tym ostatnim atutem.

— Co Święty ma przeciwko panu? — spytał Teal, jak na wpół senna Nemezis, i wiedział, że tym razem traci czas.

Cały świat wiedział, że Święty nie groził bez powodu. Próba wydostania tego powodu od jego ofiar była czymś praktycznie niemożliwym do zrealizowania. Tak niewiele mogli oni na swój temat powiedzieć, nie pogrążając się przy tym jeszcze bardziej.

Lemuel również do tego doszedł i drżącymi dłońmi dotknął czoła.

— Ja... przepraszam — rzekł ochryple. — Widzę, że pan odgadł prawdę. Słyszałem o włamaniu i myślałem, że trochę taniej reklamy by mi nie zaszkodziło. Sejf był pusty. A ta postać w środku... przerysowałem ją ze starej gazety...

— Tak... — powiedział Teal z rezygnacją.

Ale Francis Lemuel mógł się zdobyć na jeszcze jeden desperacki gest.

ROZDZIAŁ VIII

W Londynie było wiele osób nienawidzących Świętego, a każda z nich miała swój powód.

Jednych okradł, innych wysłał do więzienia, niektórych uszkodził na ciele, czy też dotkliwie zranił ich dumę. Byli też tacy, których nigdy nie spotkał, a którzy nienawidzili go, gdyż obawiali się tego, co mógłby zrobić, gdyby dowiedział się o nich tego, co można się było dowiedzieć. Ci ostatni nienawidzili go w sposób najbardziej wyrafinowany i ostateczny.

Simon Templar nie żywił żadnych złudzeń na temat swojej popularności. Doskonale zdawał sobie sprawę, że pomiędzy East India Dock i Hammersmith Broadway mieszkało wiele osób, które byłyby wprost zachwycone, gdyby spotkał go koniec rychły i tak bolesny, jak to tylko możliwe. Jednak prawo Anglii w sposób zdecydowany potępia takie działania i dlatego też ludzie ci nie mogą wykorzystać własnego geniuszu w wymyślaniu metody wyrównywania rachunków.

Dawniej Simon nie dbał o to. Był wówczas znany wyłącznie jako Święty i nikt nie wiedział, jak się naprawdę nazywa, jak wygląda i skąd pochodzi. Tamte czasy jednak minęły. Nazwisko Simona Templara, jego adres i numer telefonu stały się publiczną tajemnicą w pewnych kręgach. Nie wiadomo, dlaczego i tym razem mu się udało, choć zlekceważył użycie pseudonimu w kontakcie z Francisem Lemuelem i Calumet Clubem. I tak chodziło po tym świecie wielu rozrywkowych panów, którzy chętnie wykorzystaliby swoją wiedzę w celu zrealizowania największego marzenia ich życia. Jednak, co trzeba przyznać, bez powodzenia.

Chociaż nie ma zbyt wielu ludzi chodzących na wolności, którzy byliby zdolni zebrać się na

odwagę i zabić Świętego (sprawiedliwość brytyjska znana jest z szybkości reakcji i angielscy przestępcy bardziej boją się stryczka niż inne narodowości), jednak wielu z rozkoszą dokonałoby uszczerbku na ciele Świętego, a Simon Templar nie pragnął obudzić się którejs nocy w swoim łóżku z twarzą oblewaną witriolem, czy przejść inny zabieg upiększający. Tak więc z ogromną starannością i nakładem znacznych środków przebudował dom, w którym zamieszkiwał, by zapewnić sobie spokój i bezpieczeństwo.

Kilka nocy po napadzie na Jermyn Street obudziło go brzęczenie pod poduszką. Natychmiast oprzytomniał, gdyż spał czujnie jak kot, ale jeszcze przez chwilę leżał bez ruchu, obserwując migające światełka na płycie znajdującej się na przeciwległej ścianie pokoju.

Johny Anworth wiedział wszystko na temat normalnych alarmów przeciwwłamaniowych i sprytnie ominął urządzenia, które Święty zainstalował w drzwiach i oknach. Johny nie znał jednak alarmów pracujących bez przewodów. A w całym domu Świętego takie alarmy były zainstalowane, alarmy pracujące na wiązce niewidzialnego światła, wysyłanego w poprzek drzwi, schodów lub korytarza do fotokomórki po drugiej stronie. I wszystko było dobrze, dopóki taka wiązka nie została przerwana; jednak kiedy coś znalazło się na drodze padania promieni, pod poduszką Świętego rozległ się dzwonek i małe żarówka mrugała kolorowym okiem na tablicy wskaźników na ścianie sypialni informując go o miejscu pobytu intruza.

Johny Anworth poruszał się całkowicie bezszelestnie i sam też nic nie usłyszał, gdy Święty nagle chwycił go od tyłu za gardło. Byłby krzyknął, gdyby nie ściśnięto mu gardła, uniemożliwiając tym samym wydanie jakiegokolwiek dźwięku. Uczuł, że ktoś unosi go i rzuca przez drzwi, a potem zapaliły się światła i ujrzał Świętego.

— Ani słowa — warknął Simon. — Nie chcę, abyś obudził cały dom.

Zdążył włożyć szlafrok i żaden włoszek na jego głowie nie był zwichrzony. (Na obronę Simona muszę przyznać, że nigdy nie sypiał w siatce na włosy. Po prostu uczesał się przed wyruszeniem na

poszukiwanie gościa).

Schwytany był nędznie i nieciekawie wyglądającym okazem rodzaju ludzkiego, którego chorobliwie żółta twarz zrobiła się jeszcze bardziej żółta z powodu przeżytego szoku. Po krótkiej obserwacji Święty zidentyfikował przybysza.

— Nazywasz się Anworth, nieprawdaż, ślicznotko? Ostatnio miałem przyjemność dać ci w zęby tej nocy, kiedy śledziłeś mnie od Calumetu.

— Nigdy pana nie widziałem. Naprawdę. Nigdy, szefie. Gdybym nie był tak biedny...

Simon wyciągnął odzianą w jedwab rękę po pudełko z papierosami, rzucił bowiem swój okaz do salonu.

— A więc opowiedz mi swoją bajeczkę — westchnął.

— Prawie nic nie jadłem od piątku — jęczał Johny mechanicznie. — To jest pierwszy raz.

Nigdy przedtem, szefie...

Przerwał, gdy Święty odwrócił się. Różnych niezwykłych słuchaczy miał Anworth, często poirytowanych, czasami współczujących, nigdy jednak nie spotkał się z równie zimnym spojrzeniem. Gdyby był lepiej poinformowany, to by wiedział, że Święty najbardziej nie lubi, gdy przerywają mu „sen piękności”. To mu gospodarz wytłumaczył.

— A więc nie przyszedłeś tu z własnej woli. Przesłano cię — lodowate, błękitne oczy ani na chwilę nie przestawały” wpatrywać się w twarz Johny’ego. — Z polecenia Lemuela — dodał Simon gwałtownie i wyczytał prawdę, zanim jeszcze włamywacz otworzył usta, by zaprzeczyć.

— Nigdy o nim nie słyszałem, szefie. Naprawdę. Gdybym nie był taki głodny...

— Jakie dostałeś instrukcje?

— Po tych słowach głos Johny’ego zamarł, ponieważ całkiem wyraźnie usłyszał skradające się na korytarzu kroki.

Święty usłyszał je również. Nie sądził, by człowiek pokroju Johny’ego Anwortha mógł działać

sam.

— Opowiadasz banialuki, skarbie...

Mówił głosem spokojnym i marzącym, cofnął się cicho, jak polując lampart, ale w jego oczach, na wpół hipnotyzujących włamywacza, nie było nic z delikatności czy rozmarzenia, i nie musiał mówić, co zrobi, gdyby Johny usiłował ostrzec kompana.

— Kompletne bzdury. I po to wyciągnąłeś mnie z łóżka, by mi je opowiadać? Chyba się na ciebie pogniewam, Johny.

Wówczas, z szybkością trąby powietrznej, Święty otworzył drzwi i wyskoczył na korytarz.

Baldy Mossiter miał broń, lecz Święty był dla niego zbyt szybki, musiał więc zwolnić spust, by nie postrzelić się w brzuch.

— Wejdz do środka i dołącz do wesołej kompanii, Kędzierzawy Haroldzie — mruknął Simon.

Mossiter posłuchał, a Święty nieco mu w tym pomógł.

Gdy Johny Anworth wpadł na myśl zaskoczenia Świętego od tyłu, znalazł się dokładnie na linii lotu swego szefa, co było pechem obu zainteresowanych. Simon uśmiechnął się do nich i pozwolił im pozbierać się z podłogi o własnych siłach.

— Templar, zaczekaj! — warknął Mossiter, a Święty skinął ośmieląco.

— Ty też głodujesz? — spytał.

Potem nastąpiły wyzwiska tak brzydkie, że Święty, prawdopodobnie zbyt wrażliwy w tej materii, zmuszony został do związania i zakneblowania swoich gości.

— Kiedy zdecydujecie się mówić, pomachajcie uszami — powiedział. Rozpalił gazowy kominek, chociaż noc i bez tego była wystarczająco gorąca. Z przodu palników demonstracyjnie ustawił ozdobny pogrzebacz, by się lepiej rozgrzał.

Obaj mężczyźni obserwowali go szeroko otwartymi oczami. Simon dopalił papierosa, a następnie z powagą sprawdził temperaturę pogrzebacza, przysuwając go do policzka, podobnie jak

prasowacz sprawdza żelazko.

— Zaśpiewasz, Baldy? — zainteresował się tak łagodnie, że Mossiter, który nie był pozbawiony wyobraźni, zrozumiał jasno, że dojdzie do kresu swoich możliwości blefowania na długo przed Świętym.

Historia została opowiedziana wraz z ozdobnikami, które nie muszą być odnotowane.

— To Lemuel. Mieliśmy cię ogłuszyć i zabrać ze sobą dziewczynę. Lemuel twierdził, że masz kupę ukrytych pieniędzy, a my mieliśmy je od ciebie wydusić. Dziewczyna miała być gwarancją twojego dobrego zachowania. Tym, co znajdziemy, mieliśmy się podzielić... Co ty robisz?

— Dzwonię po policję — rzekł zimno Święty. — Nie należy się włamywać i do tego z bronią w ręku.

Prawo zjawilo się dziesięć minut później w osobach dwóch funkcjonariuszy z Vine Street, ale zanim dotarli, Święty wyjaśnił kilka rzeczy dość dobitnie.

— Domyśliłem się tego, ale lepiej się było upewnić. I coś wam jeszcze powiem, wy szczury kanalizacyjne. Ten rodzaj gry mi nie odpowiada. Oczekiwałem bardziej efektywnych działań zmierzających do sprzątnięcia mojej osoby. Byłbym rozczarowany, gdyby nic się nie wydarzyło, ale moje znajome są nietykalne. Zapamiętajcie to sobie. Jeśli wpadniecie kiedykolwiek na pomysł dotarcia do mnie za ich pośrednictwem, zapomnijcie o tym. W przeciwnym razie obiecuję, że ten, który to robi, może się szykować w długą podróż i umrze w taki sposób, że będzie żałował, iż kiedykolwiek przyszedł na ten świat. Przemyślcie to sobie, gdy będziecie rąbać kamienie w Moor! Policja zabrała delikwentów, którzy cały czas milczeli i równie milcząco zostali skazani na trzy lata.

Ale następnego dnia Święty był zamyślony.

W dawnych czasach również Patrycja Holm była bezpieczna. Jednak to należało już do przeszłości. Powszechna wiedza o jej istnieniu i myśl o tym, by poprzez nią dotrzeć do Świętego,

mogła wpaść do głowy każdemu, kto zadałby sobie trud śledzenia jego poczynąń. Wnioski nasuwały się same i można się było tylko dziwić, że do tej pory nikt tego nie próbował. Jedno było pewne. Liczba wrogów Świętego, którzy mogliby wpaść na podobny pomysł, była ograniczona.

Jeszcze bardziej ograniczona była lista osób, które by tę myśl chciały wprowadzić w czyn, jednak nie mógł sobie pozwolić na takie ryzyko. A Lemuel stracił bardzo dużo i będzie to długo pamiętał.

— Nie wydaje mi się, aby był on użytecznym obywatelem — stwierdził ni stąd ni zowąd, a Patrycja Holm spojrzała na niego znad gazety nieco zaskoczona.

— Kto taki?

— Wujaszek Francis.

Wtedy też dowiedziała się o nocnych gościach.

— On nie wie, że jego pieniądze poszły na szpital Queen Charlotte's, jak najbardziej odpowiedni cel, oczywiście minus 10% za pośrednictwo — powiedział Święty. — Gdybym mu o tym powiedział, to by nie uwierzył. Jak długo będzie na wolności, nie przestanie myśleć o utraconej fortunie i o tobie. Tak więc, jak już powiedziałem, nie uważam go za użytecznego obywatela.

— Co możesz zrobić? — spytała.

Simon uśmiechnął się do niej. Naprawdę uważał, że z każdym dniem była coraz piękniejsza.

— Najdroższa — rzekł — jesteś jedynym jasnym promieniem na tym świecie dla takiego niespokojnego ducha jak ja. Jest tylko jedna logiczna rzecz do zrobienia.

Ale nie powiedział, co zamierza zrobić. Wtedy jeszcze sam nie znał szczegółów. Wiedział, że Francis Lemuel posiada duży wiejski dom i rozległy kawał ziemi w okolicy Trenterden, a następnego dnia ustalił, że Lemuel tam osiadł, by „dojść do siebie po poważnym nerwowym załamaniu” — jak poinformowały gazety. Dopiero w dwa dni później nadeszła wiadomość, która uświadomiła mu, w jaki sposób powinien umrzeć Francis Lemuel.

ROZDZIAŁ IX

Odezwe się w środę o 15.00. Bądź w domu.

Francis Lemuel wpatrywał się zmaconym wzrokiem w zwiężłą notatkę i małą figurkę, zastępującą podpis. Minęło sporo czasu, zanim drżącą ręką sięgnął po karafkę. Śniadanie stało nie tknięte na stole.

W godzinę później, nie zważając na konsekwencje, telefonował do Scotland Yardu.

W tym samym czasie Simon Templar rozmawiał z Patrycją Holm, starannie smarując marmoladą cienką kromkę razowca z grubą warstwą masła.

— W Tenterden zatrudnionych jest troje osób: kamerdyner i kucharka, małżeństwo oraz służący. Reszta personelu została zwolniona, połowa domu jest zamknięta. Wydaje mi się, że Francis musiał nieco spuścić z tonu. Kamerdyner i kucharka połowę środy mają wolną. Służący ma swoje pół dnia wolnego w czwartek, ale ma też dziewczynę w Rye. Poprosił ją o rękę, a ona obiecała dać mu odpowiedź następnym razem, czyli oczywiście w czwartek. Pokłócił się z Lumuelem i myśli o złożeniu wymówienia.

— Skąd to wiesz? — spytała Patrycja. — Tylko mi nie mów, że wydedukowałeś to wszystko z błota na butach młodszego ogrodnika, bo ci nie uwierzę.

— Nie powiem — obiecał. — Jeśli to cię interesuje, wiedz, że widziałem to na piśmie. Ten służący bardzo lubi pisać. Czasami nawet idzie spać nie dokończywszy listu, a jest tęgim śpiochem.

— Byłeś w domu Lemuela?

— Ostatnie trzy noce. Te alarmy to dziecinna zabawka.

— Ach, więc to dlatego wysypiasz się w dzień i jesteś taki rozkojarzony!

Simon potrząsnął głową.

— Tylko nie rozkojarzony — zaprzeczył. — Myślący, chciałaś powiedzieć.

Spojrzała na niego z zastanowieniem.

— W co ty właściwie grasz, chłopcze?

— Czy twoja pamięć jest aż tak krótka, Pat? W co mógłbym grać jak nie w morderstwo?

Patrycja obeszła stół dookoła i położyła mu rękę na ramionach.

— Nie rób tego, Święty! Nie warto.

— Warto. — Ujął jej dłonie w swoje i ucałował, uśmiechając się lekko. — Kochanie, mam przecucie, a ono mnie nigdy nie zawiodło. Wiem, że na tym świecie nie ma miejsca na sprawiedliwość dopóty, dopóki Francis będzie jątrzyć. A teraz słuchaj i nie sprzeciwiaj się. Przebierz się za starszą sprzątaczkę, która zamierza odwiedzić suchotniczą ciotkę w Rye. Tam udasz się na pocztę i nadasz telegram, który napisałem. Proszę — podał jej blankiet. — Potem udasz się do Tenterden. — Dokładnie opisał jej to miejsce i rzecz, którą tam powinna znaleźć. — Jeśli zauważysz tłum i pewne ślady zniszczenia, nie przejmuj się za bardzo. Nie będą blisko twego celu. Pozbieraj drobiazgi *et cetera*, i schowaj do torby... Potem wrócisz na ten cholerny *Bahnhof** i wskoczysz do pierwszego napotkanego pociągu, w którym zauważysz cały wolny przedział, a tam usuniesz ten kamuflaż. Na następnej stacji wysiądziesz w całej swojej krasie, złapiesz pierwszy pociąg do miasta i razem udamy się do ambasady na obiad o 20.00. Czy wszystko jest zrozumiałe?

Otworzyła telegram i przeczytała.

— Co to za pomysł?

* *Bahnhof* (niem.) — dworzec

— Trzeba oczyścić powietrze, kochanie.

— Ale...

— Wujaszek Francis... Wykoncypowałem to całkiem nieźle. Minęły już czasy, najdroższa, gdy mogłem pojawiać się przy podejrzanych typach jak duch. Jestem zbyt znany. Rabunek jest sprawą obrabowanego, ale morderstwo to sprawa naukowa. Jednak w tym wypadku głosuję za egzekucją.

Poza tym to nieco zdenerwuje Teala, który ostatnio stał się nieco wyniosły.

Nie było najmniejszej wątpliwości, że on już podjął decyzję, jednak Patrycja udała się w drogę nie bez wątpliwości. Wyruszyła, ponieważ wiedziała, że Święty nie odstąpi od raz powziętego postanowienia.

Dokładnie o godzinie 15.00 Święty starannie i elegancko ubrany, wysiadł z samochodu na końcu podjazdu domu Lemuela i ruszył w stronę budynku.

— Drogi, stary Francis! — Był wyjątkowo uprzejmy wkraczając do biblioteki znanego impresario. — Jak tam interesy?

— Siadaj, Templar.

Głos był tak bardzo zmieniony, pozbawiony hałaśliwej jowialności, że Święty wiedział, iż mówienie o „silnym nerwowym załamaniu” nie było przesadą. Ręka Lemuela drżała, gdy unosił cygaro do ust.

— Czego teraz chcesz?

— Po prostu trochę porozmawiać, mój cherubinie — stwierdził Święty.

Zapalił papierosa, a oczy jego od niechcienia lustrowały pokój. Zauważył skrawek różowego papieru w popielniczce oraz wysoki chiński ekran w rogu pokoju i w głębi ducha uśmiechnął się z satysfakcją. Naprawdę w głębi. Lemuel niczego nie zauważył.

— Dużo czasu upłynęło od chwili, gdy po raz ostatni otwieraliśmy serca przed sobą, skarbie — powiedział Święty, zagłębiając się leniwie w poduszki — i dlatego z pewnością masz mi wiele do powiedzenia. Czy byłeś grzecznym chłopcem? Bez kokainy, dziewczynek czy czegoś podobnego?

— Nie wiem, o co ci chodzi. Jeśli chcesz mnie szantażować to...

— Mój drogi! Szantażować? Co z tobą? A może powinienem nazywać cię Frank?

— Możesz nazywać mnie jak chcesz.

Simon potrząsnął głową.

— Nie chciałbym być niegrzeczny — stwierdził. — Zostańmy więc przy Franku. Znałem

kiedyś pewnego faceta, bardzo wziętego pismaka. Także nazywał się Frank. Wpadł do studzienki kanalizacyjnej i utonął. Było to po bibie i od tego czasu został abstynentem. Mówię ci, jak on nieprzyjemnie pachniał. Czy to nie twój krewniak?

Lemuel podszedł bliżej. Twarz miał bladą, nabrzmiąłą. W oczach jego czaiła się wściekłość.

— A teraz ty mnie posłuchaj, Templar. Już raz mnie okradłeś...

— Kiedy?

— Czy musisz blefować nawet teraz, kiedy jesteśmy sami? Czy zaprzeczysz, że jesteś Świętym?

— Wprost przeciwnie — mruknął zimno Simon. — Jestem z tego dumny. A kiedyż to ciebie obrabowałem?

Przez moment Lemuel wyglądał, jakby miał się udławić.

— Po co dzisiaj przyszedłeś? — Zapytał po chwili.

Simon zatopił się jeszcze głębiej w fotelu i obserwował dym, snujący się z papierosa, niewidzącymi oczami.

— Przypuśćmy — rzekł leniwie — po prostu przypuśćmy, że sprawa zebrania ujrzy światło dzienne. Czyż nie byłoby to bardziej po koleżeńsku?

— Co masz na myśli? — Lemuel wyskrzeczwał to pytanie.

— No cóż — powiedział Simon, przymykając oczy z prawdziwie anielskim uśmiechem na ustach. — Bardzo nie lubię mówić do ludzi, których nie widzę. Claudowi Eustace'owi też musi być nieprzyjemnie przez cały czas ukrywać się za parawanem.

— Nie rozumiem...

— A ty rozumiesz, Claud? — wycedził Święty. Nadinspektor Claud Eustace Teal odpowiedział zrezygnowany, że rozumie.

Wynurzył się i stał tak, spoglądając na Świętego z pewnym podziwem.

— Skąd wiedziałeś, że tam jestem?

Simon niedbale machnął ręką w kierunku stołu. Teal spojrział we wskazanym kierunku i zobaczył popielniczkę, a w niej opakowanie po gumie do żucia i jęknął.

— Wringley — westchnął Święty zwięźle.

Wówczas Lemuel obrócił się do detektywa i warknął. — I po jaką cholere pan wyszedł?

— Przede wszystkim dlatego, panie Lemuel, że nie było sensu dłużej tam siedzieć — odparł zmęczony Teal.

Simon zachichotał.

— Jest to również twoja wina, Francis, ty stary kojocie — stwierdził. — Jeśli chcesz się ze mną bawić w ciuciubabkę, to najpierw się naucz. Człowiek w twojej sytuacji nie może mieć nadziei, że mu się uda... Och, Francis! I pomyśleć, że miałeś nadzieję złapać mnie na tę przynętę! Sądziłeś, że się całkowicie odsłonię w obecności Teala, robiącego spieszne notatki za tym tam! Powinieneś pamiętać, by nie siadać na wilgotnej trawie, Francis. To mogłoby się skończyć zapaleniem mózgu.

— Niemniej — rzekł Teal — to był dobry pomysł.

— To był poroniony pomysł — powiedział Święty dyskredytująco. — I zawsze taki był. Ale byłem prawie pewny, że tego spróbuje. Wiedziałem o tym już w chwili wysyłania kartki do Francisa. Jestem bardzo zadowolony z twojej obecności, Claud. Naprawdę.

— Dlaczego?

Lemuel wtrącił się. Twarz miał spiętą i zszarzałą.

— Inspektorze, pan zna tego człowieka...

— Znam — powiedział poważnie Teal. — I w tym problem.

— Przyszedł, by mnie szantażować i zrobiłby to, gdyby nie odkrył pańskiej obecności. Teraz chce się z tego wykręcić przy pomocy blefu...

— Nie — powiedział Święty w taki sposób, że nagle zapadła cisza. Nieruchomy, z zamkniętymi oczami, Święty słuchał. Posiadał wyjątkowo czuły słuch. Usłyszał tak długo oczekiwany dźwięk, choć pozostali nic nie mogli usłyszeć. Nawet dla niego był on tak cichy jak brzęczenie daleko przelatującej pszczoły.

Otworzył oczy. Było to jak odsłonięcie dwóch czystych, błękitnych świateł w czystej, opalanej twarzy. Oczy te nie żartowały. Wstał.

— Tak jak on powiedział, znasz mnie Teal — stwierdził. — A teraz powiem ci, co mi wiadomo na temat Francisa Lemuela. Po pierwsze jest on szefem bandy przemycającej narkotyki, którą już od wielu lat usiłujesz nakryć. Nie wiem, jak przemycają towar do kraju, ale wiem, że gdy nie tak dawno pracowałem w charakterze jego osobistego pilota, wrócił z Berlina z wystarczającą ilością śniegu*, by zbudować tor narciarski wokół równika...

— To kłamstwo! Na Boga, odpowiesz mi za to, Templar.

— Gdyby się nad tym zastanowić — mruknął Teal. — Skąd znasz jego prawdziwe nazwisko? Simon zaśmiał się cicho. Brzęczenie pszczoły nie było już tak odległe. Pozostali mogliby je usłyszeć, gdyby tylko chcieli.

* Śnieg — żargonowe określenie narkotyku

— Nie męcz oskarżonego — delikatnie zwrócił uwagę. — Jeśli zaczniesz go przesłuchiwać, od razu się podnieci i zdenerwuje. Poza tym to nie koniec oskarżenia. Jest jeszcze sprawa dziewczyny imieniem Stella Dornford i wielu innych, których nazwisk nie mogę ci teraz podać, bo...

— Następne kłamstwo!

Teal spojrzał na niego ciężkim wzrokiem.

— Jesteś wielkim jasnowidzem — stwierdził krytycznie.

— Na żądanie tego faceta — ciągnął spokojnie Święty — zawiozłem Stellę Dornford do Berlina. Miała rzekomo podpisany kontrakt na występy w kabarecie Jacoba Einsmanna. Miejscem

przeznaczenia nie był jednak kabaret. Nie muszę ci chyba tego mówić. Policja berlińska to potwierdzi...

Lemuel zgrzytnął zębami.

— Poszukują cię za morderstwo Einsmanna.

— Wątpię — rzekł Święty. — Zastrzeliłem go, to prawda. Mogę jednak bardzo łatwo dowieść, że działałem w obronie własnej.

Pszczola była coraz bliżej. Święty zwrócił się do Teala.

— Chciałbym jeszcze coś powiedzieć — dodał — ale wyłącznie tobie.

— Mam prawo usłyszeć — krzyknął roztrzęsiony Lemuel. — Panie inspektorze...

— Oczywiście, że pan usłyszysz, panie Lemuel — rzekł Teal uspakajająco. — Jeśli jednak pan Templar nalega, bym tylko ja usłyszał, to jego sprawa. Pan wybaczy.

— Lemuel trzymając się dla pewności stołu obserwował jak odchodzili. Widział przez okno jak przechadzają się po trawniku. Powietrze przepełnione było teraz brzęczeniem, ale on nie zwrócił na to uwagi.

Mechanicznie ruszył w kierunku stolika, gdzie stały butelka i szklanki, ale butelka była pusta.

Gwałtownie nacisnął dzwonek i czekał niecierpliwie przez pół minuty. Nikt się nie zgłosił. Klnąc ruszył do drzwi i otworzył je.

— Fichy! — krzyknął.

Nadal nie było odpowiedzi. Dom był cichy jak grób. Drżąc ze strachu, nie wiadomo dlaczego,

Lemuel pobiegł wzdłuż hallu i otworzył drzwi służbówki. Nikogo nie było. Na stole zobaczył pomarańczową kopertę i kawałek papieru. Tknięty przecuciem wziął do ręki blankiet i przeczytał.

Przyjedź natychmiast. Czekam. Eileen.

Fitch znajdował się już w drodze do Rye. Święty był dokładny. Gdy Lemuel zmiął z wściekłością telegram, pszczoła buczała bezpośrednio nad jego głową.

ROZDZIAŁ X

Simon Templar w zamyśleniu spojrział w niebo. — Pochmurnie — zauważył. — Prognoza pogody przewiduje na dziś zachmurzenie i chyba po raz pierwszy będzie trafna. Teal spojrział się przez ramię.

— Ten samolot leci całkiem nisko — stwierdził.

— To z powodu chmur — odparł Święty, a detektyw spojrział na niego szybko.

— Co to za pomysł, Święty — spytał. Simon uśmiechnął się.

— Znudziło mi się już ciągłe odpowiadanie na to pytanie — powiedział.

Doszli do grupy drzew na skraju szerokiego trawnika, kilkaset jardów od domu i tu Święty zatrzymał się. Obaj mężczyźni obrócili się.

Samolot rzeczywiście znajdował się nisko, leciał poniżej pułapu 500 stóp. Huk motoru zagłuszał słowa.

— Znam twoje zwyczaje — rzekł Teal z goryczą. — Gdybyś nie był tu ze mną, gotów byłbym pomyśleć, że znajdujesz się w górze, gotowy do przeprowadzenia nielegalnego bombardowania.

— Obserwował samolot zmrużonymi oczami, wyjął świeżą gumę do żucia i spytał. — Czy jeszcze ktoś z twojej bandy umie pilotować samolot?

— Nie ma żadnej bandy — powiedział Święty — i ty powinieneś o tym wiedzieć. Wszystko rozpadło się już dawno temu.

— Zawsze uważałem cię za zdolnego do stworzenia nowej — powiedział Teal.

Simon oparł się o drzewo. Dłonią przesunął po wypukłej korze i znalazł drobny przycisk. Ujął dźwignię detonatora delikatnie pomiędzy palec wskazujący i kciuk. Roześmiał się, łagodnie i leniwie. Teal spojrział na niego.

— Co to za pomysł? — powtórzył. — Nie wiem, o co ci chodzi, ale ty najwyraźniej prowadzisz jakąś dziwną grę. Po co mnie tutaj wyciągnąłeś?

— To nic ważnego — odparł wolno Święty. — Po prostu chciałem... Ale nie mogłem dokończyć tych słów. Nagle rozległ się oszałamiający huk. Niszcząca detonacja zatrzęsała ziemią pod ich stopami, a powiew rzucił nimi o ziemię.

— Dobry Boże! — Głos Teala był ledwo słyszalny poprzez dudnienie w uszach Świętego. Simon wstawał na nogi.

— Chyba coś wybuchło, stary arbuzie...

— F-ZXKA — mruczał Teal — F-ZXKA, F-ZXKA...

Spokojnie, stary! — Simon chwycił detektywa za ramię. — Już po wszystkim. Nie ma powodu krzyczeć.

— Nie krzyczę — warknął Teal. — To znaki identyfikacyjne tego samolotu.

Ruszył w przez trawnik, a Simon podążył za nim. Nie było tam już nic do roboty. Dom Francisza Lemuela był tylko kupą gruzu pod parasolem dymu i osadzającego się kurzu, w którym pierwsze płomienie zaczęły się wznosić do góry. Samolot zniknął we mgle na północy.

Teal obserwował zniszczenia, a następnie spojrzał na tłum, który zaczął się zbierać na drodze.

— Jesteś aresztowany, Święty — powiedział krótko.

Simon wzruszył ramionami.

Pojechali do Tenterden samochodem Świętego, a stamtąd Teal zadzwonił do komendy głównej.

— F-ZXKA — powiedział. — Przekażcie ostrzeżenie wszystkim stacjom i lotniskom.

Zatrzymajcie załogę bez względu na tłumaczenie i zaczekajcie na mój powrót.

— To się nazywa robota — rzekł z uznaniem Święty.

Teal był tak poruszony, że wyszczerzył tylko do niego zęby.

— Teraz dostaniesz to, na co zasłużyłeś — powiedział. To nie była wina Teala, że proroctwo się nie spełniło.

Simon zawiózł go do Londynu z asystą policyjną na tylnym siedzeniu. Prawie u samych drzwi

Scotland Yardu Teal otrzymał wiadomość, że załoga wylądowała w Croydon. Zatrzymani opowiedzieli zupełnie nieprawdopodobną historię i zostali wysłani do komendy głównej policyjnym samochodem.

— Dobrze! — rzekł ponuro Teal i udał się do Cannon Row Police Station, by oskarżyć Świętego o umyślne morderstwo.

— Tego będziesz musiał dowieść — powiedział Święty, gdy przeczytano mu oskarżenie. — Nie. Nie mam zamiaru niepokoić mojego adwokata. I tak za godzinę będę wolny.

— Za osiem tygodni będziesz nieboszczykiem — stwierdził detektyw. Powrócił już do starej pozy znudzonego i bardzo tego potrzebował, ponieważ w pół godziny później samochód policyjny przywiózł zatrzymanych z Croydon i zaczęli zjeżdżać się reporterzy z jeszcze świeżą, po wydrukowaniu wiadomości o wołającym o pomstę do nieba zamachu w Tenterden, farbą drukarską na palcach.

Obaj zatrzymani zostali wepchnięci do biura Teala, filozoficznie nastrojony gentleman w kombinezonie lotniczym i bardzo podniecony gentleman w prążkowanych, kaszmirowych spodniach i białych kamaszach, widocznych spod długiego skórzanego płaszcza.

— To gwałt — wybuchnął podniecony gentleman. — Poskarżę się premierowi! Imbecyle!

Wasza policja, oni mówią, że jestem aresztowany. To obraza, wyśmiewają się ze mnie, traktują mnie jak kryminalistę, mnie! Ale mi za to zapłacicie...

— A kim to niby pan jest? — spytał Teal, leniwie odwijając z papierka następną porcję ulubionych słodkości.

— Ja? To pan mnie nie zna? Pan nie zna Boileau...

Teal nie znał.

— Zdejmijcie tego grzyba z jego twarzy — rozkazał — i zobaczymy, jak on naprawdę wygląda.

Dwóch funkcjonariuszy musiało mocno przytrzymać rozzłoszczonego maniaka za ramiona, a

trzeci pociągnął silnie za brodę. Broda jednak nie drgnęła i po bliższych oględzinach okazało się, że jest autentyczna.

Teal zamrugał oczami, gdy podniecony jegomość, tańczył po drugiej stronie biurka, wymachując gwałtownie rękami.

— *Nom d'un nom**. Nie tylko mnie pan obraził, ale jeszcze napadł i kazał mi oderwać brodę!

Aaach!

Zabrakło mu słów. Zatoczył się na biurko i chwycił za skronie. Teal poluźnił palcem kołnierzyk koszuli, który zrobił się nagle za ciasny.

Wówczas ubrany w kombinezon gentleman o wyglądzie filozofa przemówił.

— Jest tak jak on mówi. To pan Boileau, francuski minister finansów, który przyleciał tu na konferencję...

Teal skinął na jednego z funkcjonariuszy.

— Zadzwoń do ambasady i sprawdź, czy jest ktoś kto mógłby go zidentyfikować — polecił.

— *Merde alors** — wrzasnął podniecony jegomość. — Nie zamierzam czekać! Żądam natychmiastowego zwolnienia!

— Obawiam się, że musimy najpierw ustalić pana tożsamość, sir — powiedział zgnębiony Teal.

* *Nom d'un nom* (fr.) — a to ci

* *Merde alors* (fr.) — przekleństwo

Pan Boileau został oczywiście rozpoznany przez rozhisteryzowanego urzędnika ambasady.

Teal spędził najbardziej nieprzyjemne pół godziny w swoim życiu, usiłując wyjaśnić pomyłkę.

Gdy spotkanie zakończyło się, był całkowicie wykończony, zaś raport przysłany telefonicznie z

Tenterden przez eksperta od materiałów wybuchowych nie przyczynił się do poprawy jego nastroju.

— To była wielka bomba lotnicza, znaleźliśmy jej szczątki. Po Lemuelu nie zostało jednak ani

śladu.

— Czy bomba mogła być odpalona przy pomocy czasowego urządzenia detonującego?

— Nie ma śladów takiego urządzenia, sir. Ale oczywiście, ono również mogłoby ulec zniszczeniu. Gdyby było.

— Czy bomba mogła być zdetonowana elektrycznie?

— Do tej pory nie znaleźliśmy żadnych przewodów, sir. Moi ludzie nadal przeszukują ruiny. Z drugiej strony, sir, jeśli już rozważamy teoretyczne możliwości, to można ją było także zdetonować drogą radiową, a wówczas nic nie znajdziemy.

Teal wpadł na pomysł kilka godzin za późno.

— Przeszukajcie dokładnie teren — powiedział, podając szczegółowe instrukcje.

— Oczywiście, sir. A co z tym samolotem, który przelatował?

— Wiózł on — stwierdził ciężko Teal — francuskiego ministra finansów na konferencję w sprawie odszkodowań.

— No cóż, to nie mógł być on — rzekł ekspert odkrywco, a Teala ogarnął morderczy nastrój.

* * *

Kilka dni później Święty wpadł do Stelli Doraford. Nie widział jej od tamtego ranka, kiedy to podrzucił ją po drodze na Jermyn Street. Ona zaś też się z nim nie kontaktowała.

— Uważa mnie pan za niewdzięcznicę — rzekła. — To chyba banalna wymówka, ale byłam zbyt zajęta, by o tym pomyśleć...

— Wydaje mi się, że jest to najlepsze wytłumaczenie na świecie — odparł Święty i wskazał na jej pierścionek.

— Kiedy?

— Dziesięć dni temu. Ja... wzięłam sobie pana radę do serca i...

Simon roześmiał się.

— Za przyszłych małżonków — zacytował cicho. — W takim razie musisz przyjść na uroczysty obiad. I przyprowadź ze sobą ukochanego. A wujek Simon opowie wam wszystko o życiu małżeńskim.

— Czyżby był pan żonaty?

Potrząsnął głową. Przez chwilę jego promienne, błękitne oczy były wyciszone i zadumane, ale potem powrócił do nich stary ogień przekory.

— Właśnie dlatego mogę o nim wszystko powiedzieć — stwierdził.

Teraz zaś dziewczyna powiedziała:

— Powiedziałam Dickowi jak wiele panu zawdzięczamy. Nigdy tego nie zapomnę. Nie wiem jak panu dziękować...

Święty uśmiechnął się i położył obie dłonie na jej ramionach.

— Naprawdę? — spytał.

CZEŚĆ II

CUDOWNA WOJNA

ROZDZIAŁ I

Republika Pasali znajduje się w Ameryce Środkowej, blisko półwyspu Yucatan, w kierunku północnym. Obejmuje obszar ponad 10 tysięcy mil kwadratowych, co z grubsza odpowiada obszarowi Anglii od Tweed do linii wyznaczonej przez Liverpool i Hull. Zaludnienie wynosi około 18000. Import — nieobliczalny. Eksport — również i składa się on (gdy mieszkańcy na tyle się obudzą, by wykonać niezbędne prace) z kukurydzy, ryżu, trzciny cukrowej, mahoni i... ropy.

— Lepiej się pospiesz i wyśpiewaj wszystko, co wiesz na temat ropy, Archie — rzekł żywo Simon Templar, pół godziny po wylądowaniu w Santa Miranda. — I opuść swoje miłosne przygody z *señoritas**. Pamiętaj jednak, że pod koniec maja mam randkę w Anglii, więc musimy się spieszyć.

Archibald Sheridan poruszył się leniwie w wysokim fotelu i pociągnął whisky z wodą sodową, w szklance zaś kusząco zadźwięczały kostki lodu.

— Wszystko przekazałem ci w listach i telegramach — powiedział. — Ale jeśli chcesz, mogę to jeszcze raz opowiedzieć. Otóż, dokładnie trzy lata temu niejaki McAndrew, szkocki inżynier górnictwa, badał wzgórze położone około 50 mil w głębi lądu. Wszyscy uważali go za szaleńca, dopóki w 6 miesięcy później nie powrócił z wynikami próbných odwiertów. Powiedział, że natknął się na najbogatsze złoża, jakie kiedykolwiek badał, i że leżą one tylko 100 stóp pod powierzchnią. Dostał koncesję głównie dlatego, że władze nie mogły uwierzyć w tę historię, opalikował swój teren i wezwał telegraficznie córkę, by do niego dołączyła. Poczł się bogaty i czekał właśnie na dostawę zamówionych w Nowym Orleanie urządzeń.

— Czy córka się zjawiała? — spytał Templar.

— Jest tutaj — odpowiedział Sheridan. — Ale sam kazałeś mi pozostawić kobiety w spokoju.

Poza tym ona nie odgrywa żadnej roli w tej historii. Następnie pojawił się nie wiadomo skąd

Shannet, półkrwi włóczęga. Najwyraźniej Shannet przeszukiwał teren na długo przed McAndrewem. Nikt go nie lubił i McAndrew, typ donkiszotowskiego idioty, nawiązał z nim współpracę. Wziął go nawet na współnika, by tylko zadać kłam opinii publicznej. Poza tym potrzebował pomocy, a Shannet był częściowo wykwalifikowanym pracownikiem. Obaj wyruszyli w puszcę, by przyjrzeć się tej działce. Shannet wrócił, a McAndrew nie. Shannet twierdzi, że ugryzł go wąż.

Simon Templar sięgnął po następnego papierosa.

— Osobiście uważam, że ten wąż nazywa się Shannet — zauważył Archie Sheridan spokojnie.

— Lilla, córka zaginionego, twierdzi to samo. Szczególnie po przeczytaniu porozumienia podpisanego przez McAndrewa i Shanneta, na mocy którego całość roszczeń przechodzi na żyjącego partnera. Lilla przysięga, że McAndrew, który zawsze myślał przede wszystkim o niej, nigdy by czegoś podobnego nie podpisał. Przyjrzała się dokumentowi i stwierdziła, iż podpis jest podrobiony. Shannet odparł, że McAndrew miał wtedy atak malarii i dlatego podpis złożył drżącą ręką. Dziewczyna podała sprawę do tutejszego sądu, walczyła jak lew, lecz Shannet wszedł w układy z sędzią i sprawę przegrała. Przybyłem tu zaraz po odrzuceniu rewizji od wyroku.

— A co z ciałem McAndrewa?

— Shannet twierdzi, że pochował go na szlaku. Ale tutejsza dżungla jest gorsza niż jakakolwiek inna na świecie. Rośnie niemal na twoich oczach. Grób mógł całkowicie zarosnąć już po tygodniu.

Shannet twierdzi, że nie byłby w stanie go odnaleźć. Wyruszyłem tym samym szlakiem, ale to nic

* *señoritas* (hiszp.) — panny

nie dało. Znalazłem jedynie kulę, która przeszła mój jeszcze dobry kapelusz. Z pewnością została wystrzelona z ukrycia przez Shanneta. O to gotów jestem się założyć.

— Po czym — głośno myślał Simon Templar — Shannet doszedł do wniosku, że sam nie podoła i sprzedał to naszemu londyńskiemu przyjacielowi, panu Hugo Campardowi, riekiniowi,

kanciarzowi, szubrawcowi i założycielowi niezliczonych lipnych spółek...

— Który dzięki temu założył pierwszą prawdziwą firmę w swoim życiu. Pasala Oil Products — dokończył Sheridan. — Akcje nie są w obiegu publicznym, a 60% udziałów jest jego własnością. Simon Templar wyjął z ust papierosa i wydmuchnął długą, cienką smugę dymu w kierunku światła.

— A więc to z tym będziemy mieli do czynienia, Archibaldzie? — mruknął. — No cóż, dobrze... Prawdę mówiąc, wygląda to na zabawny urlop. Odśpiewaj krótki psalm o politykach, synu.

— Są znacznie bardziej skorumpowani niż gdziekolwiek indziej na południe od granicy ze Stanami Zjednoczonymi — stwierdził Sheridan. — To nie prezydent jest tutaj ważny. On jest tylko marionetką ministra spraw wewnętrznych, który uważa, że wygodniej i bardziej bezpiecznie jest pozostawać w cieniu. Nigdy nie strzelają do ministrów spraw wewnętrznych, ale najwyraźniej prezydenci są ich ulubionym celem. Ten człowiek, Manuel Concepcion de Villega, jego poetycka wizytówka, jest właśnie pod skrzydłem Shanneta i będzie prawdopodobnie tak długo, jak długo Shannetowi wystarczy pieniędzy.

Święty wstał i oparł się o poręcz werandy. Był w odpowiednim na upał, białym, płóciennym ubraniu, które nosił z niedbałą elegancją. Jego olśniewająca biel mogłaby zawstydzić nawet śnieg. Wyglądał tak, jakby stwierdził, że piekło, do którego przybył, jest chłodne. Jego ciemne włosy były gładko zaczesane do góry, twarz spalona na zdrowy brąz; niewątpliwie był najbardziej elegancką i nienagannie ubraną osobą, jaką widziano w Santa Miranda w ciągu ostatnich lat. Ten obraz nie zakłóconej doskonałości wprawiał Sheridana w rozpacz. Jego włosy były w nieładzie, białe ubranie wyglądało na zmęczone upałem, a brzydka twarz cała pokryta potem.

— A co z resztą białych, lub prawie białych, mieszkańców? — dopytywał się Święty.

— Rudowłosy Irlandczyk Kelly o donośnym głosie i twardych pięściach — brzmiała

odpowiedź. — I jego żona, to dwoje. Lilla McAndrew, która się u nich zatrzymała (nigdy bym nie pozwolił, by zatrzymała się na dłużej w jakimkolwiek nędznym hoteliku w tym mieście), to trzy. Cztery i pięć to para kupców, mniej lub bardziej notorycznie pijanych i nie wartych chwili uwagi. Sześć — to Shannet. I to wszystko.

Święty odwrócił się i spojrzał w dół. Z werandy bungalowu Sheridana mógł spoglądać na dachy budynków w Santa Miranda, zbiorowisk białych domów w stylu mauretańskim, które stanowiły centrum i skupisko ceglanych chat na peryferiach. Po jego prawej i lewej stronie na wzgórzu ponad miastem, znajdowały się inne bungalowy. A za miastem rozpościerało się morze.

Święty przez chwilę w milczeniu kontemlował widok.

— Wygląda na to, że zrobiliśmy dobry początek — zauważył. — Shannet to płotka, ale i niewątpliwie morderca. Za nim nasz prawdziwy cel, Campard. Miałem przecucie, że nie zmarnuję twojego czasu wysyłając cię tutaj na wiadomość u poparcia udzielonym przez Camparda Pasala Oil Products. Nie podejrzewałem jednak Pasala Oil Products, dopóki nie otrzymałem twojego telegramu. A teraz wszystko mamy jak na tacy. To wszystko wygląda mi na zbyt łatwe — Łatwe? — spytał Shendan sceptycznie. — Miło, że tak myślisz. Z potwierdzonymi roszczeniami Shanneta i koncesją na piśmie w londyńskim biurze Camparda, oddaloną rewizją Lilli McAndrew związkami Shanneta z rządem, armią, policją i całą resztą tej bandy aż do ostatniego gońca, a wszyscy owinięci wokół małego palca dzięki pieniądzom, jakich dostarczył Campard. I on mówi, że to zbyt łatwe. Och, idź do diabła!

Święty wepchnął dłonie głęboko do kieszeni. Wysoki, nienagannie ubrany, o sportowej sylwetce, stał swobodnie, kiwając się nieznacznie, z anielskim uśmiechem na ustach i małym diabełkiem przekory, tańczącym w błękitnych oczach.

— Powiedziałem: łatwe — wycedził. Sheridan ukrył twarz w dłoniach.

— Idź i włóż głowę do wiaderka z lodem — błagał. — To oczywiście skutki słońca, nie jesteś

do niego przyzwyczajony. Zapomniałem o tym.

— Jak liczna jest armia?

— Stan liczebny armii wynosi około 500 osób. Dowodzona jest przez 17 generałów, 25 pułkowników i około 50 pomniejszych oficerów. Jeśli boli cię głowa, połóż się, zamknij oczy i odpocznij. Za godzinę lub dwie poczujesz się lepiej.

— Artyleria?

— Trzy działa transportowane przez muły. A może chciałbyś wziąć aspirynę...

— Marynarka?

— Jeden przerobiony holownik z działkiem szybkostrzelnym kaliber 5.9 i załogą w liczbie 7 osób, dowodzoną przez dwóch admirałów. Nie sądzę, byś mógł teraz mówić. Jeśli chcesz, rozwieszę dla ciebie hamak. Prześpij się godzinę przed lunchem.

— Policja?

— Jedenastu funkcjonariuszy w Santa Miranda, dowodzonych przez 3 nadinspektorów policji.

A w przyszłości nie pij alkoholu przed zachodem słońca.

Święty uśmiechnął się.

— Jestem prawdopodobnie bardziej przyzwyczajony do słońca niż ty — powiedział. — To po prostu zdrowy rozsądek. Co jest kluczem do tej sytuacji? Rząd. To prawda. Nie zamierzamy marnować dobrych pieniędzy na łapówki. Nawet gdyby je wzięli, to i tak by nas zdradzili. Należy ich więc usunąć siłą. I to od razu, bo nie mogę tutaj długo zostać. Niech żyje rewolucja!

— Oczywiście — zgodził się Sheridan bezradnie. — A armia rewolucyjna? To państwo jest jedyne w Ameryce Południowej, gdzie nigdy nie było rewolucji, ponieważ nikt nie jest wystarczająco energiczny, by ją wywołać.

Święty wyłowił papierośnicę.

— My jesteśmy armią rewolucyjną — stwierdził. — Proszę cię, byś pamiętał, że maszerujemy

na naszych żołądkach. A więc wypijmy raz jeszcze, udajmy się na lunch, potem na przechadzkę i spróbujemy skaptować tego szalonego Irlandczyka. Jeśli we trójkę nie damy popalić tym 650 żołnierzom z opery komicznej, wówczas wycofam się z interesu i zajmę się szydełkowaniem i innymi robótkami ręcznymi.

ROZDZIAŁ II

— Mój drogi — pod koniec posiłku Święty nadal wymownie przekonywał — to jest takie proste. Człowiek, który dyryguje rządem tego dwa na dwa podwórka, trzyma w swoich rękach los firmy Pasala Oil Products. W chwili obecnej to Shannet jest tym bystrym chłopcem, który kieruje rządem i szef Pasala Oil Products pozostaje w jego cieniu. My będziemy lepsi. My nie będziemy tylko kierowali rządem. My będziemy rządem. A Pasala Oil Products zatańczy tak, jak im zagramy. Czy może być coś prostszego? — jak spytała aktorka, gdy biskup pokazał jej swą książeczkę czekową.

— Dalej — ośmielał go Sheridan słabym głosem. — Nie dbaj o moje uczucia.

— Jak rzekła aktorka do biskupa wkrótce potem — mruknął Święty. — Błogosławiony stary Archie! Najwyraźniej trzy miesiące, spędzone w tym rozmiękczającym klimacie i towarzystwo Lill McAndrew, obniżyły twoją energię do poziomu tubylców, o których przed chwilą mówiłeś tak pogardliwie. Zgadzam się, że jest to zaskakujące, lecz zarazem jedyne wyjście w naszej sytuacji. Zanim poznałem całą historię, pomyślałem sobie, że byłoby nieźle, gdybyśmy opanowali urząd pocztowy i wysłali do Camparda lipny telegram, rzekomo nadany przez Shanneta, informujący go o wykonaniu rządu i odebraniu koncesji. Jediną zaś w tej sytuacji rzeczą byłoby sprzedanie akcji Pasala Oil Products tak szybko, jak to tylko możliwe. Wówczas nasz stary przyjaciel Roger, siedzący teraz w Londynie, przechwyci te akcje zaraz po rzuceniu ich na rynek,

— A dlaczego to teraz nie wypali?

— Zapominasz o dziewczynie — rzekł Templar. — Ta ropa stanowi naprawdę jej własność,

więc nie wystarczy tylko zmusić Camparda do wyprzedzaży ze stratą i odkupienia po wyższej cenie, kiedy wzburzenie rewolucyjne ucichnie. Koncesja musi zostać cofnięta. Tak więc proponuję usunąć obecny rząd i ustanowić Kelly'ego, twojego szalonego Irlandczyka, nowym ministrem spraw wewnętrznych. Oczywiście, o ile on wyrazi na to zgodę.

— Nie, dziękuję — powiedział wielkodusznie Sheridan. — To nie w moim stylu. Na mnie nie licz.

Święty zapalił papierosa.

— W takim razie Kelly został wybrany przez aklamację — zauważył z rozbijającą prostotą. — Teraz należy ustalić tylko datę początku zamieszania. Brałem już wcześniej udział w rewolucjach południowoamerykańskich, ale były one już dobrze rozkręcone w chwili mojego przyjazdu. Tak więc w mojej edukacji jest luka na temat rozkręcania tego cholernego interesu. Co należy zrobić? Czy mamy po prostu wmaszerować do pałacu prezydenckiego, wyskandować: „Już czas, panowie, czas!” do ucha jego malowanej ekscelencji i poprosić, by po wyjściu zamknął drzwi? Albo co?

— Co prawdopodobnie — rzekł Sheridan — byłoby równie niebezpieczne jak wszystko inne.

Mógłbym cię odizolować z powodu nieczytalności.

Święty westchnął.

— Nie jesteś zbyt mocny, piękny Archibaldzie.

— Gdybyś zechciał poważnie podyskutować...

— Jestem poważny.

Sheridan wytrzeszczył oczy.

— Mówisz poważnie, Święty? — dopytywał się.

— Jak najbardziej — zapewnił go z powagą. — Nawet gdyby tłum rozszedł się przed otwarciem barów. Słodki aniele, czyżbyś myślał, że zamierzam tracić cenny czas na bzdury?

Sheridan spojrzał na niego. Na końcu języka miał ironiczną uwagę, lecz jej nie wypowiedział.

Święty uśmiechnął się. Był to kpiący uśmiech, dotyczący niewiary Sheridana. Nie był to ten rodzaj uśmiechu, który towarzyszy badaniu elastyczności nogi. A w oczach Świętego było światło nie całkiem wesołe.

Archie Sheridan z papierosem w ustach szukał zapalek. Zdał sobie sprawę, że pomylił cień z osobą. Święty nie żartował z rewolucji. To tylko jego poczucie humoru, zbyt wielkie, by nawet rewolucję planować bez postrzegania stron humorystycznych, tak go zmyliło.

Sheridan dotknął zapalką papierosa.

— A więc? — przynaglił Święty.

— Sądzę, że jesteś szalony — powiedział. — Jeśli jednak chcesz popełnić to samobójstwo, prowadź. Archibald będzie u twego boku, wraz z bombami. Chyba nie zapomniałeś o bombach?

Święty uśmiechnął się.

— Musiałem je zostawić — odparł lekko. — Nie pasowały do mojej saszetki. A teraz serio.

Gdzie i kiedy moglibyśmy, twoim zdaniem, zacząć zamieszki?

Siedzieli naprzeciw siebie przy nie nakrytym mahoniowym stole w jadalni Sheridana, a za plecami Świętego były otwarte drzwi, prowadzące na werandę i ukazujące niczym nie zasłonięty widok na drogę prowadzącą do bungalowu.

— Zaczniemy najlepiej tu i teraz, i jak sobie tylko życzysz — powiedział Sheridan, spoglądając ponad ramieniem Świętego w kierunku schodów na werandę.

Simon Templar oparł się leniwie o krzesło, a anielski uśmiech pojawił się na jego twarzy.

— Nazwisko? — spytał lakonicznie.

— Shannet we własnej osobie.

Święty przymknął oczy.

Zaraz skomponuję na jego cześć piosenkę — powiedział. Cień padł na stół, lecz Święty nie od razu się poruszył. Wydawał się śnić na jawie.

— *Buenos dias** Shannet — rzekł Archie Sheridan. — A także możliwie najszybciej *adios**.

Pospiesz się i powiedz, co masz do powiedzenia, zanim stąd cię wykopię.

— Do mnie należy wykopywanie, dziękuję — powiedział ochryple Shannet. — Sheridan, ostrzegam cię po raz ostatni. „Andaluzja” weszła do portu dziś rano, a jutro przy wieczornym odpływie wychodzi w morze. Wystarczająco długo tu węszyłeś. Czy to jasne?

— Jaśniejsze niż twoja paskudna gęba — wycedził Sheridan. — A jakie prawo reprezentujesz? Czyżbyś został wybrany prezydentem?

— Znasz mnie — powiedział Shannet. — Wiesz, że moje słowo tu coś znaczy. Odpłyniesz na „Andaluzji” albo dobrowolnie, albo w kajdanach. To wszystko... A to co?

Święty, przypuszczając, że to o nim mowa, obudził się na tyle, by otworzyć oczy i obrócić głowę w sposób umożliwiający mu obserwowanie gościa.

Zobaczył wysokiego, barczystego mężczyznę w nieokreślonym wieku, ubranego w poplamiony, ongiś biały garnitur, w rozpiętej marynarce ukazującej niechlujną koszulkę trykotową. Shannet z pewnością nie golił się od dwóch dni i chyba również się nie cesał, ponieważ wilgotny, jasny lok spadał mu na prawe oko. Oklapnięty i pokruszony papieros zwisał mu smętnie z dolnej wargi. Święty zamrugał.

— Mój Boże! — rzekł napastliwie. — Czyżby to była istota ludzka? Pięści Shanneta odchyliły marynarkę i spoczęły na biodrach.

— Jak się nazywasz, palancie? — spytał.

Święty strącił popiół z papierosa i delikatnie wstał.

* *buenos dias* (hiszp.) — dzień dobry

* *adios* (hiszp.) — do widzenia

— Benito Mussolini — odparł łagodnie. — Ty musisz być jednym z czyścicieli korporacji. Jak tam śmieciowe interesy? — Łagodne oczy zmierzyły Shanneta od stóp do głów. — Archie, to

chyba musi być pomyłka. Prawdziwy czyściciel jest chory, a ten wspaniały okaz odpadowy go zastępuje. Przykro mi.

— Jeśli ty...

— Powiedziałem, że mi przykro — ciągnął dalej Święty tym samym aksamitnym głosem — ponieważ zazwyczaj starannie dobieram osoby, z którymi walczę i nie chciałbym pobrudzić sobie rąk o takie coś.

Shannet poczerwieniał.

— Nie wiem, kim jesteś — powiedział — i nie dbam o to. Jeśli jednak szukasz walki, możesz ją mieć.

— Szukam walki, skarbie — wycedził Święty. — Prawdę mówiąc, to szukam wielu walk, a ty jesteś pierwszą, jaka się nadarzyła. Palant, ta nazwa całkowicie mi nie odpowiada, ty świński bękarcie.

Słowa te wypowiedział w idiomatycznym hiszpańskim i dodał jeszcze wiele innych, nie nadających się do druku. Shannet zbladł, a następnie poczerwieniał. — Ty...

Stek przekleństw zlał się z lewym sierpowym, wymierzonym w szczękę Świętego, który gdyby dotarł do miejsca przeznaczenia, położyłby od razu kres tej walce. Ale nie dotarł.

Simon Templar odchylił się i cios minął go w odległości kilku cali. Gdy Shannet zachwiał się, Święty sięgnął po stojący na stole kubeł lodowato zimnej wody. Bez widocznego pośpiechu czy wysiłku wylał zawartość wiaderka na kark Shanneta.

Shannet zaatakował ponownie. Święty uchylił się i wysłał przeciwnika na deski druzgocącym ciosem w nos.

— Uwważaj, Święty — ostrzegł nagle Shannet.

— Niedobry — mruknął Święty bez emocji. Shannet klęcząc wyjmował coś z kieszeni.

Święty odbił się i przeskoczył nad głową Shanneta, obracając się przy tym w powietrzu.

Shannet znajdował się jeszcze na kolanach, gdy Święty znalazł się za nim i chwycił swego przeciwnika za gardło i prawy przegub dłońmi, które miały moc prasy. Wykręcił do tyłu rękę Shanneta niemożliwym do odparcia chwytem.

Równocześnie rozległ się stuk upadającej na podłogę broni i okrzyk bólu wydany przez Shanneta. Święty podniósł broń i cofnął się.

— Zdobycz, Archie! — wykrzyknął i rzucił broń do Sheridana. — Pistolety i rewolwery, z których mnie nie trafiono; musi ich być cała szuflada w domu... A więc zacznijmy od początku, słodki Shannecie!

Shannet wypowiedział się za pomocą krzesła, lecz Święty odskoczył i wylądowało ono na przeciwległej ścianie.

Wówczas Shannet ponownie zaatakował pięściami. Każdy jego błyskawiczny cios był wystarczająco silny, by powalić muła, ale Święty zdążył zapomnieć więcej tajników walki ringowej, niż wielu zawodowców kiedykolwiek poznało. Shannet nie mógł go nawet musnąć. Każdy uczyniony przez Shanneta ruch kończył się w powietrzu, podczas gdy jego twarz zawsze zawierała bliższą znajomość z lewym prostym Świętego.

W końcu Święty, lekceważąc całkowicie atak, wsadził ręce do kieszeni i omijał mordercze ciosy Shanneta dzięki rewelacyjnej pracy nóg: cofanie, uchylanie, kucanie, tak jakby tylko demonstrował kroki taneczne, ruszając się przy tym lekko i wdzięcznie jak tancerz, dopóki Shannet nie zatoczył się bezwładnie na ścianę tak całkowicie wykończony, że pot zalewał mu oczy.

Drwiący uśmiech ani na chwilę nie opuścił ust Świętego, zaś jego włosy w dalszym ciągu były gładko przyczesane.

— Chcesz odpocząć? — spytał uprzejmie.

— Gdybyś ruszył do przodu i walczył jak mężczyzna — wysapał ciężko dyszący Shannet —

zabiłbym cię.

— Och, nie bądź idiotą! — powiedział Święty znudzonym głosem, jakby ta sprawa przestała go całkowicie interesować. — A teraz szybko się stąd wynoś. Jestem zajęty.

Odwrócił się, lecz Shannet zatoczył się w jego kierunku.

— Sam się wynoś! — warknął niewyraźnie. — Słyszysz? Teraz pójde na policję i... Święty usiadł.

— Posłuchaj mnie, Shannet — powiedział spokojnie. — Im mniej w mojej obecności mowy o policji, tym lepiej dla ciebie. Jestem głęboko przekonany, że to ty całkiem niedawno zabiłeś faceta nazwiskiem McAndrew i zająłeś jego działkę na mocy sfałszowanej umowy. Teraz czekam tylko na dowód, a wówczas, jeśli to za wiele, by wymagać od władz tej łagodnej republiki, aby powiesiła człowieka, który płaci połowę ich pensji, ja wystąpię w roli sprawiedliwości i powieszę cię na najwyższym napotkanym drzewie.

Przez chwilę cisza, panująca w powietrzu, wydawała się rozbrzmiewać od naładowanych elektrycznie cząstek jak przed burzą, a lodowatobłękitne oczy Świętego tłumiły budzącą się wściekłość Shanneta. Nagle Święty rozluźnił się i roześmiał krótko.

— Ty jesteś tylko pionkiem w tej grze — powiedział z uderzającą beztroską, co jeszcze bardziej uwypuklało bezwzględność poprzedniej jego wypowiedzi. — Nie mamy zamiaru tracić naszego czasu na ciebie. Rezerwujemy go sobie dla ważniejszych klientów, którzy naprawdę coś znaczą.

Zamiast tego posłuchamy epitafium, które właśnie ułożyłem na twoją cześć. *Oddając honory utrapionemu wrzodowi zwanemu Shannet, który obrażał godność tej ziemi. Zaczął on wprowadzić zabawę, ale nim ją skończył, już tego żałował.* Ten, poza tym nieśmiertelny wers, jest nieco skażony błędem gramatycznym, ale nie sądzę, byś się na tym poznał... Drzwi, Archibaldzie!

Archie Sheridan nie miał powodu do kochania Shanneta, więc kopniak, przy pomocy którego wyprosił go do ogrodu, nie był delikatny; jednak nie sprawiło mu to przyjemności.

Powrócił z ponurą miną i zajął miejsce naprzeciw Świętego.

— No cóż — odezwał się. — Zrobiłeś, co chciałeś. Teraz możemy usiąść i napisać swoje testamenty. A może spędzimy nasze ostatnie chwile pijąc i śpiewając?

— Oczywiście, mogą nas zastrzelić — przyznał Święty beznamiętnie. — To nasza sprawa. Jak prędko możemy oczekiwać wojska?

— Nie przed piątą. Teraz śpią i nawet trzęsienie ziemi nie zmusi policjanta z Pasali, by przerwał drzemkę. A tym bardziej żołnierzy, którzy uważają się za coś lepszego. Możemy zaokrętować się na „Andaluzję” — dodał z nadzieją. Święty przyjrzał mu się z miną niewiniątka.

— Najdroższy — rzekł — ten żart uważam za niebyły. Zaczęliśmy, więc musimy brnąć dalej.

Ponieważ nie widzę nic śmiesznego w siedzeniu tutaj i czekaniu, aż nas okrążą, udamy się chyba na rozmowę z Kellym. A kiedy mnie już dokładnie pouczycie o zwyczajach i topografii Santa Miranda, wówczas wyruszymy i zdobędziemy miasto.

— Po prostu ruszymy i co? — dopytywał się oszołomiony Sheridan. Święty wyrzucił papierosa wysoko w powietrze, a gdy opadał, zgrabnie chwycił go wargami.

— Chciałem powiedzieć, że ja zdobędę miasto — poprawił się — podczas gdy ty i Kelly odwróćcie ich uwagę. Obudź się, synku. Weź kapelusz i w drogę.

ROZDZIAŁ III

Niedbałe powiedzenie Świętego, że może po prostu wyruszyć i zdobyć miasto, było nieznaczną przesadą. Prawdę mówiąc, to przygotowania zajęły mu prawie cztery dni.

Należało trochę pokopać i nieco się przygotować, a Święty poświęcił sporo uwagi i pomysłowości opracowywanym szczegółom. Postronny obserwator mógłby uważać jego posunięcia za nieprzemyślane i zbyt gwałtowne, lecz były to pozory; nie skakał do ognia bez uprzedniego sprawdzenia jego temperatury.

Doskonale wiedział, co robi i zabezpieczał się przed niepowodzeniem najlepiej jak potrafił,

ponieważ nawet w najbardziej oddalonych zakątkach świata za nieudaną rewolucję jest tylko jedna kara: śmierć. Święty natomiast nie przejawiał najmniejszej ochoty, by zamienić swoją interesującą biografię w notatkę pośmiertną.

Przedstawił swój plan Kelly'emu i Irlandczyk natychmiast stał się gorącym zwolennikiem Sprawy.

— No jasne. Już od lat myślałem, że byłoby dobrze wyrzucić na zbitą twarz cały ten skorumpowany rząd — powiedział ten sprawiedliwy, dłonią rozmiarów młyńskiego koła mierzwiąc sobie ognistą czuprynę. — Zastanawiam się tylko, dlaczego nigdy sam tego nie zrobiłem.

— Jest to ogromnie ryzykowne — przyznał Simon Templar. — Ale mnie to nie przeraża, jeśli jesteś z nami.

— Siedzę tu już sześć lat — rozmarzył się Kelly, zaciskając potężną pięść — i nigdy jeszcze nie widziałem porządnej rozróby. Z wyjątkiem jednego czy dwóch nieporozumień z tubylcami, którzy dali nogę już po pierwszej rundzie.

Święty uśmiechnął się. Nie mógł nawet marzyć o znalezieniu lepszego sprzymierzeńca.

— Moglibyśmy łatwo wygrać — stwierdził. — W Anglii byłoby to niemożliwe, ale tutaj...

— Geografia nam sprzyja — rzekł Kelly.

Na kawałku papieru naszkicował topografię terenu w celu lepszego zobrazowania swojego punktu widzenia.

Pasala kształtem swoim mniej lub bardziej przypomina klin z podstawą zwróconą w kierunku południowo-wschodnim. Blisko centrum tej podstawy znajduje się Santa Miranda. Wewnątrz tego klina są jeszcze tylko trzy miasta warte wzmianki: Las Flores, Rugio i blisko osi symetrii — Esperanza. Połączone są one drogą bitą, która stanowi rodzaj trasy okrężnej, rozpoczynającej się i kończącej w Santa Miranda, ponieważ w Republice Pasala jeszcze nie zbudowano kolei. Prawdę

mówiąc, nie było to konieczne, ponieważ odległość pomiędzy najbardziej oddalonymi od siebie miastami wynosiła zaledwie 140 mil.

Należałoby przy okazji wspomnieć, że przypominające kształtem klin terytorium Pasala wbijało się brutalnie w obszar Republiki Maduro, kraju znacznie większego i bardziej cywilizowanego.

— Oczywiście, będziemy opierać się głównie na psychologii rewolucji i apatii tubylców — rzekł Święty, gdy skończył omawianie planu kampanii. — Ludność nie jest zainteresowana. Jeśli pokaże im się mężczyznę w ładnym, nowym mundurze i powie, że stoi on u steru władzy, wówczas uwierzą, pójdą do domu i będą się modlili, by nie był gorszy niż jego poprzednik. Jeśli do tego zmniejszymy nieco podatki, czy coś w tym stylu, wówczas od samego początku wszyscy nas poprą. Jestem przekonany, że skarb państwa to wytrzyma. Nie wierzę, by Manuel Concepcion de Viliega brał w tym udział bez odpowiednich zysków.

— To ich ruszy — przytaknął Kelly. — W tej chwili są wyżyłowani przez podatki do granic możliwości.

— Po drugie: armia. Nie jest podobna do jakiegokolwiek innej armii na świecie. Jest posłuszna oficerom, ponieważ nie wpadła na myśl, że można się zachować inaczej. Gdyby stanęła twarzą w twarz z rewolucją, walczyłaby. Tak więc postawimy ją przed faktem dokonanym. Jeśli jest ona taka jak siły zbrojne innych krajów południowoamerykańskich, wówczas będzie dalej istnieć w nowych układach politycznych, dla dobicia targu z premią w wysokości kilku peso na człowieka. Po naradzie dołączyli do Archie'go Sheridana, zajętego dotrzymywaniem towarzystwa Olly McAndrew na werandzie.

Święty miał niewiele czasu na podziwianie jej urody. Była raczej wysoka, jasnowłosa i błękitnooka, o niezwyklej gracji ruchów. Pobyt w tym słonecznym klimacie zabarwił jej skórę na jasny, złoty brąz, który znacznie lepiej do niej pasował niż blady róż, a jej brzoskwiniowa cera była

jeszcze nieskazitelna.

Biedny Archie Sheridan niewątpliwie został śmiertelnie rażony przez Kupidyna, z czego Święty był złośliwie zadowolony.

— Niech pani z nim uważa, panno McAndrew — radził całkiem poważnie. — Znam go od lat i nie uwierzy pani, ile grzechów popełnił w swoim krótkim życiu. A więc... Była Gladys, złotowłosa piękność z pierwszego rzędu chóru Gaiety, Susan, Beryl. Nie, te ostatnie były dwie. Ethel — modelka, Angela, Saddle z Kalifornii i Joan, nie, te też dwie, co ja mówię, trzy...

— Nie wierz mi, Lillo — błagał Archie. — On od samego rana bredzi. Akurat przed obiadem twierdził, że nazywa się Benito Mussolini.

Dziewczyna roześmiała się.

— W porządku — rzekła do Simona. — Nie biorę go poważnie.

— To się nazywa wdzięczność! — poskarżył się Sheridan z goryczą. — Po tym wszystkim co dla niej zrobiłem! Nauczyłem ją nawet mówić po angielsku. Kiedy się tu zjawiała, miała okropny szkocki akcent.

— Archie!

— Haggis — obstawał przy swoim Sheridan. — Obnosiła się ze swoim pibroch, aż zagłodziła go na śmierć.

— Co to jest pibroch? — dopytywał się Święty z ciekawością.

— Czy to się nosi pod kiltem*?

— Czy on naprawdę jest taki niemożliwy? — wykrzyknęła, kiedy doszła do siebie.

— Nie znam pani na tyle dobrze, by zdradzić całą prawdę — rzekł jak najbardziej poważnie Święty. — Ale prawie na pewno mogę panią zapewnić, iż jest pierwszą Lillą w jego życiu.

Chwileczkę, przepraszam, ale czy nie nazywała się tak ta barmanka...

— Idź do diabła! — rzekł niezadowolony Sheridan. — Stojąc w obliczu nagłej śmierci

powinieneś spędzić wolny czas na modlitwie i pokucie. Jeśli jutro o świcie zaprowadzą cię przed pluton egzekucyjny, przejdę przez mury, by przyklasnąć żołnierzom.

Obserwował, jak Kelly i Święty przechodzą na drugi koniec tarasu, potem spojrzął na dziewczynę. Jego zazwyczaj pogodna twarz była niezwykle poważna.

— Lilla — powiedział. — Nie chciałbym cię straszyć, ale sytuacja nie wygląda zbyt wesoło.

Święty śmiałyby się także przed plutonem egzekucyjnym, ale to nie zmniejsza realności niebezpieczeństwa.

Spojrziała na niego trzeźwym wzrokiem.

— A więc ustalone — powiedziała. — Nie pozwolę ci w tym uczestniczyć.

* kilt — spódniczka z tartanu, stanowiąca część narodowego stroju Szkota

Sheridan roześmiał się.

— To nie ze mną powinnaś o tym mówić — odparł — tylko ze Świętym. Nic nie jest w stanie go zatrzymać. Poradzi mi, żebym odpłynął z tobą na „Andaluzji”, jeśli się boję. Wolałbym już raczej zostać rozstrzelany niż to od niego usłyszeć.

Chciała go przekonywać, ale coś w jego głosie nakazało jej milczeć. Wiedziała, że nie są to puste słowa. Nigdy czegoś podobnego nie doświadczyła, ale intuicyjnie wyczuła, rozpoznała heroizm przy pierwszym spotkaniu, ślepą, o nic nie pytającą wierność mężczyzny wobec przyjaciela, bezwzględne posłuszeństwo wobec ukochanego dowódcy. Wiedziała, że każda próba odwiedzenia go od tego postanowienia umniejszałaby ją tylko w jego oczach.

Być może tylko nieliczne kobiety wykazywałyby podobne zrozumienie, ale Lilly McAndrew była właśnie taka.

Uśmiechnęła się.

— Zawsze chciałam zobaczyć rewolucję — powiedziała po prostu.

Minęła długa chwila, zanim Sheridan w pełni pojął ogrom jej sympatii i zrozumienia. Wówczas

wziął ją w ramiona, a jej dłonie pieściły jego włosy.

— Drogi Archie! — powiedziała, nagle pozbawiona oddechu.

— Przyznaję się do każdej dziewczyny, którą wymienił Święty — rzekł przekornie. — I jeszcze do kilku innych. Ale to wszystko nie zmienia faktu, że kocham cię i gdy tylko ta operetkowa rewolucja się skończy, zamierzam cię poślubić.

— Uwierzę ci, gdy to zobaczę — drażniła się z nim, ale serce jej było na ustach, gdy ją całował.

W 10 minut później przerwało im dyskretne kasznięcie Świętego.

— Usiłowałem panią uratować — powiedział Święty, nie odwracając bezwstydnie zdziwionego spojrzenia od dziewczyny, usiłującej dyskretnie uporządkować włosy. — Jest mi niewymownie przykro, że muszę przeszkodzić w pani upadku, ale pani ukochany i ja mamy pracę do wykonania.

Gdyby spojrzała pani w dół na miasto, zobaczyłaby pani zbliżający się główną ulicą oddział, dowodzony przez dwóch konnych, w mundurach komisarzy. Całe siły policyjne Santa Mirandy, o ile mogę się stąd zorientować, wyruszyły, by mnie aresztować za napad i pobicie jednego z najzaciejszych obywateli, oraz by aresztować Archiego za współudział przed, po i w trakcie przestępstwa. Właśnie obudzili się z popołudniowej drzemki i ruszyli do akcji z godną pochwałą szybkością. Czy wybaczy pani, że oddalimy się w pośpiechu?

Podeszli do brzegu tarasu i spojrzeli w dół. W odległości mili leżała zaczynająca budzić się po sjeście skąpana w popołudniowym słońcu Santa Miranda.

Z miejsca, w którym stali, miasto było widać jak na dłoni; białe, nowoczesne domy stojące wzdłuż głównych ulic, pałac prezydencki i beładnie rozrzucone wokół centrum domki z cegły.

Sytuacja rozwijała się zgodnie z oczekiwaniami Świętego.

— Masz jedną minutę na czułe pożegnanie. Archie — rzekł energicznie Święty i Sheridan przytaknął,

Simon Templar wciągnął Kelly'ego do bungalowu.

— Czy nie posiadasz przypadkiem czegoś w rodzaju dobrze wyglądającej farby? — zapytał.

— Mam trochę emalii — odparł zdziwiony Kelly.

Pokazał kilka puszek, a Święty wybrał jedną, wyraźnie zadowolony.

— Mam pomysł — rzekł. — Odpowiedź w sprawie aresztowania.

Kelly był podejrzliwy.

— Nie wydaje mi się, abym mógł dużo zrobić — poskarżył się ponuro. — Zabierasz dla siebie największą część walki. Gdybym mógł decydować, to od razu starłbym się z nimi. Mówię serio.

— I skopałbyś całe przedsięwzięcie — rzekł Święty. — Nie, na to jeszcze za wcześnie. Jeśli zaś twierdzisz, że stanowiąc połowę armii zaczepnej nie masz nic do roboty, to nie mogę się z tobą zgodzić. Jesteś jedną z najważniejszych osób w tym dramacie. Poza tym, jeśli twój autobus nie rozsypie się po drodze, będziesz z powrotem akurat na czas, by wziąć udział w rozgrzewce.

Skorzystasz w każdym razie.

Poprawił kapelusz, ustawiając go na bakier, pod rewolucyjnym kątem i wyszedł, by zabrać ze sobą Archiego Sheridana.

Podali sobie ręce, choć Kelly nadal był niezadowolony. Święty zwrócił się do Lilly McAndrew.

— Przykro mi, że zabieram ze sobą Archiego — powiedział. — Jest on tutaj jedynym człowiekiem godnym zaufania i doskonale zna Morse'a. Właśnie dlatego wysłałem go z Anglii, choć nie zdawałem sobie sprawy, że wydarzenia przybiorą taki obrót. Obiecuję jednak oddać ci go całego i zdrowego. Nie martw się. Tylko najlepsi umierają młodo. Zastanawiam się, jakim cudem udało ci się przeżyć tyle lat, Lilla?

Uśmiechnął się, a kiedy Święty uśmiechał się w ten szczególnie pogodny i czarujący sposób, trudno było uwierzyć, że przedsięwzięcie, w którym bierze udział, mogłoby się nie powieść.

— Archie został oznaczony na tę podróż napisem „ostrożnie — szkło” — rzekł i zszedł tanecznym krokiem po schodach tarasu.

Święty z Sheridanem szli powoli do bungalowu ustalając ostatnie szczegóły przed rozpoczęciem kampanii.

Archie skłonny był podzielić punkt widzenia Kelly'ego, ale Święty krótko rozprawił się z niesubordynacją.

— Zaczynam od najbardziej nudnej części naszej działalności — stwierdził. — Gdybym mógł wykonać twoje zadanie, wówczas bym ci powierzył moje. Ponieważ jednak tak nie jest, zasłużyłem chyba sobie na większą porcję rozrywki. Tak czy inaczej przy odrobinie szczęścia spotkamy się w czwartek i rozpoczniemy nowe życie. A jeśli wymyśliłeś inny plan, co najmniej równie skuteczny, to powinieneś o tym powiedzieć wcześniej. Teraz jest już za późno na dokonywanie zmian.

W bungalowie Święty przygotował się na przybycie policji, wykorzystując niektóre przyrządy do ćwiczeń siłowych, należące do Sheridana. Potem wysłał Sheridana na posterunek, a sam usadowił się z papierosem w ustach w fotelu na tarasie, by oczekiwać tam na przybycie prawa.

ROZDZIAŁ IV

Quinolillas podchodzili po zboczu w bezładnej kupie. Wzgórze było zbyt strome na ich kiepską formę. I chociaż słońce znajdowało się już nisko, zniechęcający upał popołudnia jeszcze nie ustąpił. Te dwie przyczyny sprawiły, że podejście robiło tak przygnębiające wrażenie. Jedynymi członkami oddziału, którzy wyglądali w miarę świeżo, byli obaj komisarze, jadący na wspaniałych, z gracją poruszających się foniach, będących najwyraźniej potomkami zwierząt przybyłych na ten kontynent wraz z oddziałami Cortesa. Święty z zainteresowaniem obserwował wierzchowce, cierpliwie oczekując na powoli gramolącą się delegację.

Palił papierosa i przyglądał się im z obojętnym zainteresowaniem. Była to niechlujnie ubrana i wojowniczo wyglądająca zbieranina, a każdy z nich uzbrojony był niemal po zęby w muszkiet, rewolwer i maczetę. W porównaniu z nimi Święty był prawie bezbronny, a za cały arsenał służył

mu przepięknie zaprojektowany nóż, którym potrafił rzucać precyzyjnie i z dużą szybkością. Nie pochwałał broni palnej, którą uważał za niechlujny, hałaśliwy i barbarzyński wynalazek diabła. Jednak nie niepokoila go demonstracja siły strony przeciwne.. Twierdzenie, że wysłano całe siły policyjne Santa Miranda, by go aresztować, okazało się nieco przesadne. Prawdę mówiąc, za dwoma jeźdźcami w krzykliwych mundurach maszerowało tylko dziesięciu *guardias**. Cała ta grupa zatrzymała się beładnie przed tarasem. *Comisarios** zsiadli z koni i weszli po schodach z imponującym brzęczeniem szabli i ostróg. Obaj byli wąsaci i ważni.

Święty wstał.

— *Buenos tardes**, *señores* — skłonił się kurtuazyjnie.

— *Señor** — powiedział starszy *comisario* poważnie, odwijając papier ozdobiony urzędowymi pieczęciami. — Jest mi niezmiernie przykro niepokoić tak znamienitego gościa, ale otrzymałem rozkaz, by zażądać od waszej dostojności, abyś pozwolił się zaprowadzić do *prevención** w celu doprowadzenia waszej dostojności rankiem przed *tribunal** pod zarzutem ogromnie ciężkiej napaści na *señora* Shanneta.

Schował dokument do kieszeni i ukłonił się przesadnie.

Święty z uśmiechem ukłonił się z jeszcze większą przesadą.

— *Señor polizonte** — odparł. — Bardzo żałuję, ale nie mogę pójść z wami.

Słowo *polizonte*, które oznacza policjanta, nie jest terminem zalecanym przy zwracaniu się nawet do wybuchowych *guardia*, a tym bardziej do pełnych *comisario*. To położyło kres kurtuazji.

Comisario odwrócił się, wykrzyknął rozkaz i eskorta wbiegła po schodach, ustawiając się wzdłuż tarasu.

— Aresztować go!

— Nie mogę zostać — rzekł Święty ze smutkiem. — I nie wyrażam zgody na areszt. *Adiós, amigos**.

- * *guardia* (hiszp.) — strażnik
- * *comisario* (hiszp.) — komisarz
- * *Buenos tardes* (hiszp.) — dobry wieczór
- * *Señor* (hiszp.) — pan
- * *prevención* (hiszp.) — areszt
- * *Tribunal* (hiszp.) — sąd
- * *Polizonte* (hiszp.) — policjant
- * *Adiós amigos* (hiszp.) — żegnajcie przyjaciele

I ulotnił się przez otwarte drzwi jadalni. Święty miał dar nagłego znikania bez okazywania pośpiechu, tak więc zniknął, zanim ktokolwiek zorientował się, że go nie ma.

Wówczas *guardias*, prowadzeni przez dwóch rozgniewanych *comisarios*, udali się w pogoń. Bungalow był mały, z dużym tarasem z jednej i mniejszym z drugiej strony. Trzy pokoje gościnne, będące jego dumą, biegły przez cały dom, a drzwi wychodziły na oba tarasy. Jadalnia była pokojem środkowym i nie miała okien.

Gdy *guardias* ruszyli w pogoń, z bronią gotową do strzału i oficerami wymachującymi rewolwerami, Święty pojawił się w drzwiach prowadzących na tylną werandę. W tej samej chwili Archie Sheridan zaryglował drzwi wychodzące na taras, odcinając im drogę odwrotu.

Święty w każdej ręce trzymał połyskujący, czarny, okrągły przedmiot.

— *Señores* — rzekł wymownie. — Jestem pokojowo nastawionym rewolucjonistą i nie mogę być prześladowany w taki sposób. W rękach trzymam bomby. Jeśli do mnie strzelicie, wówczas one spadną na ziemię i wybuchną. Poddajcie się natychmiast. W przeciwnym razie rzucę je, a wtedy także wybuchną. A więc śmierć czy sława, chłopcy?

Ostatnie słowa wypowiedział w języku angielskim, lecz sytuacja została wcześniej wystarczająco jasno przedstawiona. *Guardias* zatrzymali się niezdecydowani.

Oficerowie, wycofawszy się na strategiczną pozycję na tyłach, zachęcali ludzi do ataku i wybrania śmierci w trakcie pełnienia obowiązków służbowych, jednak Święty uniósł znacząco prawą dłoń i *guardias* uznali ten argument za bardziej przekonujący. Złożyli broń, a osamotnieni *comisarios* podążyli ich śladem z całym wdziękiem, na jaki ich było stać.

Święty polecił wyrzucić broń przez drzwi, wszedł do pokoju i stanął z boku, by im to umożliwić. Archie Sheridan zebrał broń, wyjął z niej zamki i wyrzucił daleko w krzaki. Naboje razem z zawartością ładownic wysypał do dużej torby, również zabranej więźniom. Święty wrócił do drzwi.

— *Hasta la vista!* — mruknął kpiąco. — Do zobaczenia.

I rzucił dwa błyszczące, czarne, okrągłe przedmioty, które do tej pory trzymał w dłoniach.

Rozległ się jęk strachu, wydany przez skazanych na śmierć mężczyzn.

Święty odskoczył, zatrzasnął i zabarykadował drzwi przed nosem spanikowanych funkcjonariuszy. Dwie piłki tenisowe, pokryte emalią, którą dostał od Kelly'ego, odbiły się od głów kryjących się *comisarios*, pozostawiając plamy świeżej farby na wspaniałych mundurach i imponujących wąsach wielkiej dwójki z Santa Miranda.

Święty przeskoczył barierkę tarasu i przebiegł do frontu bungalowu. Sheridan, z torbą naboji na ramieniu, już siedział na jednym z koni, a drugiego trzymał za wodze. Z jadalni dobywały się stłumione okrzyki i przekleństwa uwięzionych mężczyzn, usiłujących wydostać się na zewnątrz.

Święty wskoczył na konia.

— *Vamos!** — krzyknął i uderzył go dłonią po zadzie.

Odgłos kopyt oddalających się koni dotarł do uszu ludzi zamkniętych w pokoju i zwiększył ich wysiłki w ataku na drzwi. Ale mahoń, z którego były wykonane, był gruby i mocno wysezonowany, dlatego udało im się wydostać dopiero po upływie 10 minut. Spieszeni i rozbrojeni, mogli już tylko wrócić do Santa Mirandy i przyznać się do klęski.

Szli więc, ustalając w trakcie drogi relację o rozpaczliwej i niebezpiecznej bitwie, w której stawali za setki i tylko ich bohaterstwo pozwoliło im się przeciwstawić diabelskiemu sprytowi Simona Templara. Najpierw jednak, w celu ukojenia skołatanych nerwów, skonfiskowali trzy butelki whisky, które znaleźli u Sheridana; następnego dnia wszyscy się rozchorowali, ponieważ

* *Vamos* (hiszp.) — jedziemy

Archie Sheridan w przewidywaniu takiego wandalizmu dodał do alkoholu hojną ręką soli Epsom. Ani *guardia*, ani *comisario* nie znali smaku whisky, wypili więc wszystko bez żadnych podejrzeń. Po powrocie do Santa Miranda nie wspomnieli ani słowem o bombach, słusznie dochodząc do wniosku, że ten fragment zdarzenia może ich tylko okryć śmiesznością.

W tym czasie Simon Templar i Archie Sheridan cwałowali w kierunku bungalowu oczekującego ich Kelly'ego. Przygotował on torbę podróżną z rzeczami, o które prosił go Święty. Simon uwiązał ją u siodła.

Sheridan zsiadł z konia. Święty uścisnął mu dłoń i wziął wolnego konia za cugle.

— Wszystko będzie dobrze — powiedział mimochodem. — Czuję to w kościach. Trzymajcie się i do zobaczenia. Zróbcie swoje i... powodzenia.

Uderzył konia piętami i zniknął wesoło kiwnąwszy im ręką. Patrzyli za nim, dopóki nie zasłoniły go drzewa, a potem wrócili do domu.

— Kawałek drewna, płaskie szczypcy, śruby, śrubokręt i drut, Kelly, mój chłopcze — zarządził wartko Sheridan. — Mam jeszcze nieco pracy przed udaniem się na spoczynek. A gdy będę pracował, ty możesz trzymać się w pobliżu, by usłyszeć największy śmiech w czasie trwania tej rewolucji albo opowieść o tym, jak bitwa o Santa Miranda została niemal wygrana na kortach Wimbledonu.

— Wydawało mi się, że nie miałeś zamiaru wracać — powiedziała oskarżycielsko dziewczyna.

— Nie byłem pewien, czy będę mógł wrócić — powiedział bezwstydnie Archie. — Było to

uzależnione od powodzenia planu ucieczki Świętego. Ale czy pożegnałabyś mnie tak wspaniale, gdybyś wiedziała, że wrócę? Nie mogłem się tego wyrzec! I nie bądź taka rozczarowana, że mi się udało. Jeśli tak ci na tym zależy, to pójdę do miasta i poddam się.

Przed zachodem słońca przygalopował do bungalowu szwadron kawalerii. Dowodzący grupą oficer stwierdził, że ma zamiar przeprowadzić rewizję. Kelly zaprotestował.

— Nie ma pan prawa — powiedział, opanowując nieodparte niemal pragnienie zrzucenia tego człowieka ze schodów, by w ten sposób wziąć udział w walce, za którą tęsknił.

— Mam nakaz podpisany przez ministra spraw wewnętrznych *El Supremo é Ilustrimo, Señor Manuel Concepcion de Villega* — odparł oficer, prezentując z werwą dokument.

— *El Disgustando y Horriblísimo Señor* — mruknął Kelly. Oficer wzruszył ramionami i skinął na czekających poniżej ludzi.

— Nie chciałbym być ruszony do użycia siły, *Señor Kelly* — powiedział znacząco i Kelly zaakceptował nieuniknione.

— Ale — rzekł — nie wiem, z jakiego powodu podejrzewacie, że może się tutaj ukrywać.

— Jest pan przyjacielem *Señora Sheridan* — padła zwięzła odpowiedź — a *Señor Sheridan* jest przyjacielem tego człowieka. Szukamy ich obu.

Kelly podążył za oficerem do domu,

— A jak nazywa się człowiek, którego szukacie? — spytał,

— Powiedział *Señorowi Shannetowi*, na którego napadł — odparł oficer — że nazywa się Benito Mussolini.

Oficer nie mógł zrozumieć, dlaczego Kelly nagle wybuchnął stentorowym śmiechem. W końcu się poddał, kładąc to na karb dobrze znanych szaleństw wszystkich *Ingleses*. * Niemniej kawał ten w znacznym stopniu zrekompensował Kelly'emu zniewagę, jaką stanowiła rewizja w jego domu.

Oficer i pół tuzina jego ludzi przeszukali dom niezwykle dokładnie; od podłogi aż po powałę.

Ich uwadze nie umknął nawet najmniejszy szczegół. Nie mogli jednak znaleźć Archie Sheridana, który siedział na dachu po przeciwnej stronie budynku.

* *Ingleses* (hiszp.) — Anglicy

W końcu ostatnia grupa poszukujących wyszła, ponieważ do końca dnia pozostała najwyżej godzina, a oni i tak już zmarnowali wiele cennego czasu.

— Niech pan zapamięta, *señor* Kelly — powiedział oficer, któremu przyprowadzono właśnie wierzchowca — że zarówno Sheridan jak i Mussolini zostali uznani za wyrzutków z powodu stawiania oporu podczas aresztowania i napaści oraz grożeniu życiu *guardias civiles*, którzy usiłowali ich zatrzymać. Rano zostanie to ogłoszone, a *Señor* Shannet, który dowiedział się o takiej znieprawdzie wyrządzonej Prawu, sam osobiście podwoił nagrodę za schwytanie ich żywych lub umarłych.

Oddział wyruszył w drogę i przeszukiwał okolice jeszcze godzinę, dopóki nastanie nocy nie położyło temu kresu. W odległości pięcia mil odnaleźli konie obu *comisarios*, które pasły się na łące, ale po Mussolinim nie było ani śladu. Święty miał dużą przewagę, a to, czego nie wiedział na temat ukrywania się w otwartym terenie nic warte było wzmianki.

Leżał wyciągnięty na gałęzi wysokiego drzewa, znajdującego się w odległości mili od miejsca znalezienia konia, a oddział kawalerii zatrzymał się koło niego, tylko 12 stóp poniżej.

— Nic więcej nie możemy zrobić — powiedział oficer. — Znajdziemy go rano. Bez konia daleko nie zajdzie. A teraz do domu.

W ciemnościach Święty zaśmiał się bezgłośnie.

ROZDZIAŁ V

Tej nocy do Santa Miranda przyszedł *peón**.

Był brudny i nie budził szacunku. Ubranie miał zakurzone, połatane w wielu miejscach i przetarte na wylot tam, gdzie nie przyszyto łąty, włosy długie, zbite bezładnie. Ruchy jego

przypominały powolnych robotników wiejskich.

Gdyby chciał, mógłby ujść nie zauważony wśród podobnie nędznie wyglądających ludzi, ale najwyraźniej nie chciał. Prawdę mówiąc robił ‘ wszystko, by zwrócić na siebie uwagę, co przyszło mu z dużą łatwością, ponieważ wygląd biedaka kłócił się z zawartością jego kieszeni.

Zrobił całkiem przyzwoity obchód po ostatnich kawiarniach miasta, fundował wino każdemu, kto się do niego przysiadł. Oczywiście, wkrótce towarzyszyło mu wiele osób, a ponieważ pił w dwójnasób, nikt nie zdziwił się, że był coraz bardziej pijany.

Szastanie pieniędzmi przez kogoś, kogo trudno by posądzić o posiadanie więcej niż paru centavos, wzbudziło zainteresowanie. Rozpoczęły więc pracę języki, rozluźnione pod wpływem stawianego alkoholu. Szeptano, że jest to bandyta z Sierra Maduro, spoza granic Esperanzy, który przybył do Pasala, by się zabawić i poczekać, aż *rurales* z Maduro znudzą się poszukiwania i będzie mógł bezpiecznie powrócić na swoje tereny. Potem stwierdzono, że na małym palcu nosi sygnet herbowy, i równie autorytatywnie dodano, że jest potomkiem szlacheckiej rodziny meksykańskiej, którego ulubionym zajęciem jest przebywanie z *peónami*, udawanie jednego z nich i obdarzanie ludzi pieniędzmi, gdy uzna to za stosowne. Inni uważali, że jest to *peón*, który zamordował swego pana i ukradł jego pierścień oraz pieniądze.

Peón słyszał te szepty i ze śmiechem je ignorował. Jednak jego sposób bycia zdawał się potwierdzać raczej jedną z dwóch poprzednich hipotez niż tę trzecią. Był on zbyt wysoki na chłopca. Był też bardzo silny, ponieważ widziano, jak uniósł do góry antałek wina, by napełnić kielich, tak, jakby wino nic nie ważyło. Oczy miał niebieskie, co przemawiałoby za szlacheckim pochodzeniem, ponieważ chłopcy są tak wymieszani z tubylcami, że tylko wyjątkowo można spotkać u nich szafirowe oczy. Wiele też wskazywało na bandyckie rzemiosło, z powodu gwałtownego i niespokojnego sposobu bycia, jakby życie ludzkie miał za nic. Liczyła się dla niego tylko chwila obecna. Równie dobrze mógł pić jak walczyć. Miał także repertuar dziwnych i

barbarzyńskich piosenek, których tu nikt nie rozumiał.

— Pijcie, *amigos!* — krzyczał od czasu do czasu — ponieważ wkrótce nadejdą dobre czasy dla Pasali.

Kiedy jednak pytali, co ma na myśli, wykręcał się i zamawiał więcej wina.

Tylko nieliczni z jego świty widzieli podobną noc.

Szedł od domu do domu, śpiewając obce piosenki, z baryłką wina na ramieniu. Czasem jakiś *guardias*, znajdujący się na jego drodze lub słyszący krążące plotki, chciał go zatrzymać do wyjaśnienia, lecz *peón* wlewał w nich wino lub obrzucał pieniędzmi i ustępowali mu z drogi.

Zbliżała się północ, a on, nadal śpiewając, prowadził procesję w kierunku Calle del Palacio.

Tłum podążał za nim, niepewny dokąd idzie i nie dbający o to, bo już zbyt wiele wina się polało.

Na ulicy naprzeciw bramy pałacu, od którego Calle del Palacio wzięła nazwę, *peón* zatrzymał się, postawił na ziemi antałek i wdrapał się na niego. Stał tak, kiwając się nieco, a ludzie skupili się wokół.

— *Viva*! Viva!* — krzyczeli niewyraźnie. *Peón* wznosił do góry ręce prosząc o ciszę.

* *Peón* (hiszp.) — wieśniak

— Obywatele! — krzyknął. — Powiedziałem już wcześniej, że nadchodzą wielkie dni dla Pasali. Teraz zaś powiem wam, dlaczego. Przyczyna jest jedna. Nie będziemy dłużej cierpieć pod panowaniem Manuela Concepcion de Villega. Niech go robaki zjedzą żywcem, tego złodzieja, tyrana i psiego syna! Podatki są już tak zawyżone, że nic wam nie pozostaje. Prezydent jest jego służącym, nic nie znaczącą kukłą, a oni obaj opłacani są przez tego zdrajcę Shanneta, który zamierza zdradzić was dla Maduro. Teraz z tym skończymy.

— *Viva!* — odpowiedziało kilka niepewnych głosów.

— Skończmy z tym niewolnictwem — — krzyczał znowu *peón*. — Zajmijmy pałac, zbudowany za pieniądze zrabowane biednym, w którym kukła-prezydent i ten wieprz de Villega

śpią w luksusach, na które wy pracujecie w pocie czoła! Wyrzucimy ich z łóżek i zabijemy, a potem wrzucimy ich do rynsztoku, skąd pochodzą!

Tym razem nie było słyhać „*Viva!*”. Okropne bluźnierstwa obcego całkowicie otrzeźwiły tłum. To było takie nieoczekiwane, trudne do uwierzenia. Nikt jeszcze nie ośmielił się mówić w taki sposób o prezydencie i jego ministrze, a jeśliby to uczynił, szpiedzy donieśliby do *comisarios* i *guardias* zjawiliby się natychmiast, zabierając bluźniercę daleko, tam, gdzie zdrada jego nie kałałaby uszu wiernych. Oczywiście *peón* mówił prawdę. Ale zdobyć pałac i zabić prezydenta! To było niesłychane! Tego nie można było ot tak sobie robić.

Po pierwszej przemowie obcy zauważył, że straż przy bramie po cichu uciekła, a nad głowami zaskoczonych tłumów zobaczył grupę *guardias*, biegnących ulicą w ich kierunku. Rozległy się gwizdki i tłum zakłósał się zdjęty nagłym strachem.

— *Amigos* — rzekł spieszenie obcy cichszym już głosem. — Godzina wyzwolenia nadchodzi.

Dzisiaj słyszeliście mnie śpiewającego dziwne pieśni. Były to pieśni wolności. Jeśli usłyszcie je znowu, a przemyśleliście słowa, które tu padły, idźcie za śpiewającym je człowiekiem, ponieważ będzie on wysłany, aby doprowadzić was do zwycięstwa. A teraz uciekajcie, byście nie zostali schwytani i ukarani.

Do tego nie trzeba było nikogo zachęcać. Już w trakcie przemówienia wielu ukradkiem zniknęło w ciemnych ulicach. Ostatnie jego słowa jakby ich uwolniły i wszyscy nagle rozbiegli się.

Peón wyprostował się i pogroził pięścią uchodzącym.

— Głupcy! — krzyczał. — Tchórze! Przeklęci! To tak walczyacie? Tak obalacie tyranów?

Ale słuchacze się rozproszyli, zaś z obu stron zbliżali się *guardias* z obnażonymi szablami.

— *Guarro!* — wyzywał go jeden z nich. — O co cały ten krzyk?

— Mówię o wolności! — wrzeszczał *peón*, chwiejający się na tymczasowej trybunie. — Jestem przeciwko prezydentowi, który nie zna imienia swego ojca i przeciwko ministrowi spraw

wewnętrznych, Manuelowi Concepcion de Villega, który powinien się nazywać *Señor Jugo Procedente del Estercolero*, diabelski pomiot, *guarres, pemielos, hijos de la puta adiva...*

Rozległ się potok obelżywych wyzwisk, tak strasznych, że nawet niewrażliwi *guardias* byli przerażeni.

Chwycili go, zaciągnęli na posterunek policji i zamknęli na noc w zarobaczonej celi. Lecz nawet wówczas przeklinał i złorzeczył prezydentowi i ministrowi spraw wewnętrznych, mieszając wyzwiska z niezrozumiałymi fragmentami pieśni, dopóki strażnik nie zagroził mu obiciem, jeśli się nie uciszy. Wówczas zamilkł i poszedł spać.

Kiedy rano doprowadzono go przed sędziego, był trzeźwy, lecz nadal buntowniczy. Spytano go o imię.

— Don Fulano de Tal — odparł, co po hiszpańsku znaczy „Pan taki–a–taki”.

— Jeśli będziesz bezczelny — odpowiedział urzędnik — rozkażę dać ci sto batów.

* *Viva* (hiszp) — niech żyje

— Nazywam się Sancho Quijote — powiedział *peón* niechętnie.

Został oskarżony, a strażnicy pałacu i *guardias*, którzy rozpędzili zebranie, zeznawali na temat jego zdradzieckiej mowy. Przyznali również, na jego obronę, że był pijany jak bela. Zapytano oskarżonego, czy chce coś powiedzieć.

— Nie mam nic do powiedzenia — odparł — poza tym, że pijany czy trzeźwy pluję na prezydenta i jego ministra spraw wewnętrznych do końca dni moich. A jeśli chodzi o pana, *señor jeux*, to nie jest pan lepszy od *guardias*, którzy mnie aresztowali. Jesteście nędznymi narzędziami w ręku tyrana, opłaconymi, by prześladować tych, którzy domagają się sprawiedliwości. Ale niedługo wasza duma zostanie upokorzona.

— On jest szalony — szeptali do siebie strażnicy.

Peón został skazany na siedem lat ciężkich robót, ponieważ wymiar sprawiedliwości w Pasala

nie był niczym ograniczony. Wyrok przyjął bez emocji.

— To i tak nie ma znaczenia — powiedział. — Nie zostanę w więzieniu nawet tydzień. Wkrótce dowiecie się, dlaczego.

Kiedy dotarł do więzienia, poprosił o zgodę na wysłanie telegramu do Ondii, stolicy Maduro.

— Pochodzę z Maduro — wyznał. — Jutro miałem zjawić się w Ondii i muszę uprzedzić żonę o tym zatrzymaniu.

Miał pieniądze na opłacenie telegramu, ale zezwolenie otrzymał dopiero wieczorem. W Ameryce Łacińskiej nikt się nie spieszy.

W dwadzieścia cztery godziny później nadszedł z Ondii telegram adresowany do Manuela Concepcion de Villega, podpisany przez prezydenta Maduro. A oto wolny przekład:

Jak mnie poinformowano, obywatel nazwiskiem Sancho Quijote został uwięziony w Santa Miranda. Jeśli nie zostanie on dostarczony do granicy do środy w południe, wówczas moje wojsko zajmie Pasalę.

Po otrzymaniu tej wiadomości Shannet zamknął się z Villegą w gabinecie; przez dłuższy czas nie mogli dojść, o co chodzi.

— Kto to jest ten Quijote? — spytał. — Co to za dziwne nazwisko? Jest taka książka „Don Quijote” (po angielsku Quixote), w której występuje niejaki Sancho Pansa.

— Znam ją — powiedział Don Manuel i posłał po sędziego. Usłyszał relację o zbrodni *peóna* i wyroku, jaki otrzymał, ale nadal nic nie rozumiał. Był jednak wystarczająco bystry, by oskarżyć urzędnika o brak wątpliwości w sprawie prawdziwości nazwiska Sancho Quijote’a.

— To niemożliwe, powiedział bezradnie de Villega, kiedy odesłali urzędnika. — Do środy w południe. Ledwo zdołalibyśmy dostawić go do granicy nawet, gdybyśmy go natychmiast zwolnili. Kim jest ten człowiek? Robotnik, obcy, którego nikt nie zna, nagle pojawił się w Santa Miranda z takimi pieniędzmi, że nie mógł ich zarobić uczciwie, i wzywa do rewolucji wcześniej spity tłum.

Całkowicie zasłużył na tę karę a jednak prezydent Maduro bez jakiegokolwiek śledztwa żąda jego uwolnienia. To oznacza wojnę.

— On o tym wiedział — stwierdził Shannet. — Sędzia powiedział nam, że się przechwalał, iż nie posiedzi w więzieniu nawet przez tydzień.

Obaj doszli nagle do tego samego wniosku.

— *Agent provocateur*.*

— Pułapka — warknął de Viliega. — I myśmy dali się w nią złapać. To tylko szukany przez Maduro pretekst. Wysłali go specjalnie i dali pieniądze, by dał się aresztować. Absurdalne żądanie, które nie daje nam czasu do namysłu...

* *Agent provocateur* (fr.): prowokator.

— Ale po co to wszystko? — dopytywał się Shannet. — To biedny kraj. Tamci są bogaci i nie mają nic do zyskania.

Don Manuel nerwowo szarpał wąsy.

— Nawet nie możemy się wykupić — stwierdził. — Chyba, że zwrócimy się do *Estados Unidos**...

Shannet wykpił go.

— I zanim pomoc nadejdzie, będzie już po wojnie — powiedział. — Nowy Orlean jest odległy o pięć dni drogi, a oni potrafią postawić ciężkie warunki.

Don Manuel nagle znieruchomiał. Jego niespokojne małe i ciemne oczy spoczęły na Shannecie.

— Teraz wiem — wybuchnął. — To ropa! Ty i twoja cholerna ropa! Wszystko jest jasne! To z powodu ropy kraje stale ze sobą walczą. Do tej pory nam się udawało, ale teraz staliśmy się tacy sami jak inni. Moje ministerstwo zostanie zlikwidowane. Nic wiadomo, kto na nas napuścił Maduro. Zamieszany jest w to ktoś wielki i to on zabierze nam ropę. Będę zrujnowany. Na razie to Anglia za twoim pośrednictwem kontroluje ropę. Być może teraz pora na Amerykę, albo inne

przedsiębiorstwo angielskie? Jestem kompletnie zrujnowany!

— Na litość boską, przestań jęczeć — krzyknął Shinnet. — Jeśli ty jesteś zrujnowany, to ja również. Teraz musimy zastanowić się nad tym, co dalej.

De Villega potrząsnął głową.

— Nie ma się nad czym zastanawiać. Są znacznie silniejsi. Otrzymamy tęgie baty. Mam jednak trochę pieniędzy, a za dwa dni odpływa parostatek. Jeśli uda mi się tak długo bronić, mogę uciec.

Trwało dłuższą chwilę, nim bardziej nieustępliwy Shannet przywrócił ministrowi rozsądek.

Shannet miał odwagę dzikiej bestii, jaką w istocie był. Teraz, zagrożony utratą majątku, myślał tylko o rozpaczliwej walce, jak zagonione w ciemny kąt zwierzę.

Ale nawet wówczas, gdy jęki Don Manuela chwilowo ucichły, nie bardzo wiedzieli, co robić.

Nie mogli się zwrócić do prezydenta, bo ten był tylko marionetką w ręku Shanneta. Podobnie reszta rządu; byli pionkami na szachownicy de Villegi, mianowanymi przez niego z powodu posłuszeństwa, postępowania zgodnie z jego zaleceniami.

— Jest tylko jedna szansa — powiedział de Villega. — Trzeba wysłać *radiógrafa* do Nowego Orleanu. Ameryka przyśle wówczas okręt wojenny, by utrzymać pokój. Wówczas spróbujemy przekonać Maduro, że przybyłem, by walczyć po naszej stronie i wojska Maduro będą musiały odejść. *Estados Unidos* powiemy, że pokój został zawarty przed przybyciem okrętu wojennego i przykro nam, że ich niepotrzebnie niepokoiłimy.

Shannetowi wydało się to bardzo naciągane, było jednak typowe dla prowadzonej przez ministra polityki. Shannet wątpił, by raz poproszona o interwencję Ameryka tak łatwo z niej zrezygnowała. Ponieważ jednak nic lepszego nie wymyślił, nic nie mówił.

Nie mógł czuć z tego powodu zadowolenia, ponieważ amerykańska okupacja oznaczała również amerykańską sprawiedliwość, a Shannet nie miał ochoty z nią się spotkać. Nie widział jednak innego wyjścia. Był w impasie.

— A dlaczego nie zwolnić tego *peóna*? — spytał.

— Czy to nam coś pomoże? — spytał Don Miguel z goryczą. — Gdybyśmy go natychmiast wysłali, mógłby tam dotrzeć na czas. Jednak tamci zawsze mogą twierdzić, że się nie zjawił. Jest oczywiste, że chcą walczyć. Jeśli z takim trudem to namotali, czy teraz ustąpią?

Całkiem osobista myśl skłoniła Shanneta do zadania następnego pytania.

— A ten Sheridan i jego przyjaciel, czy nic o nich nie wiadomo? Są na wolności już drugi dzień.

* *Estados Unidos* (hiszp.) — Stany Zjednoczone

— Czy w tak gorącym czasie mogę zajmować się takimi drobiazgami? — odparł krótko de Villega. — Szwadron kapitana Tomare szukał ich i nie znalazł.

Nie było w tym nic dziwnego, ponieważ poszukiwania prowadzone były poza Santa Monica.

Gdyby przez przypadek zajrzeli do środka, wówczas znaleźliby Simona Templara brudnego i nie ogolonego, tłukącego kamienie na więziennym dziedzińcu, przykutego łańcuchem za kostkę do szeregu innych, brudnych i także nie ogolonych *desperadoes*. Jego tożsamość zagubiła się w aktach więźnia Sancho Quijote numer 475.

Było to pierwsze doświadczenie Świętego z ciężkimi robotami i uznałby je za zabawną przygodę, gdyby nie rozmaite formy życia mikroskopijnej fauny, które nękały więzienie.

ROZDZIAŁ VI

Pewnego ranka do londyńskiego biura Pasala Oil Products Ltd. nadszedł zakodowany telegram.

Generalny dyrektor Hugo Campard rozszyfrował go osobiście, ponieważ nie był to kod powszechnie stosowany, a w trakcie odczytywania twarz jego robiła się coraz bardziej blada. Hugo Campard przestraszył się pojawiającej się treści depechy. Przeczytał ją kilkakrotnie, z ciężkim przecuciem katastrofy.

Maduro zagroziło wojną Pasali, o ile ich absurdalny warunek nie zostanie spełniony.

Podejrzewam celowe działanie Ameryki lub potężnych wrogów. Armia Pasali jest nieliczna. Brak

widoków na zwycięstwo. Villega zwrócił się do Ameryki Pomoc w drodze, ale to oznacza zmianę rządu. Koncesja zagrożona. Sprzedaj zanim wieści dotrą do Londynu i spowodują załamanie się rynku. Shannet.

Tłuste dłonie Camparda drżały, gdy przycinał czubek cygara. Zanim nie wpadł na pomysł niekonwencjonalnego zwiększenia swych dochodów, był niewiele znaczącym urzędnikiem w biurze maklera giełdowego. Przez kilka lat oszczędzał każdego pensa, a następnie z kapitałem w wysokości 500 funtów szterlingów i dogłębną znajomością giełdy wszedł do ważniejszej rozgrywki. Powiodło mu się. Był sprytny, znał pułapki, jakie należało omijać, nie miał ani współczucia, ani skrupułów, a do tego szczęście mu dopisywało. W ciągu 15 lat dorobił się pokaźnego majątku. Powoływał liczne spółki, które tylko inkasowały pieniądze nic w zamian nie dając. Kilkakrotnie był demaskowany i każdy szanujący się makler giełdowy wiedział o jego poczynaniach, jednak prospekty spółek Camparda wydrukowane zawsze z ogromnym artyzmem proponowały tak atrakcyjne warunki, że nigdy nie brakowało małych akcjonariuszy, gotowych wpłacić swoje oszczędności na jego konto.

Mówi się, że w każdej minucie przychodzi na świat ofierma i Campard to wykorzystywał. Wielu jemu podobnych, balansujących na granicy prawa, nie skarżyło się na brak ofiar, zaś Campard miał jeszcze więcej powodzenia niż inni.

Ale najbardziej obiecująca kariera może się załamać. Campard popełnił błąd, który przyniósł mu rozgłos na rozprawie w Sądzie Najwyższym. Udało mu się z tego wykręcić, jednak nie bez dość znacznych strat. Okrzyki protestu, jaki to wywołało, uprzytomniły mu, że jakiś czas powinien poczekać. Czekanie zaś nie leżało w naturze Camparda. Żył rozrzutnie i w końcu wszystko, co posiadał, zostało obciążone długami. Wtedy zaś, gdy stał przyparty plecami do muru, stał się cud: wykupił koncesję od Shanneta, którego zatrudniał wiele lat wcześniej.

Ropa w Pasala była dobra. W ciągu kilku miesięcy działalności jakość i wydobycie były

zaskakujące. Campard zapewnił sobie pomoc kilku swoich dobrych spółek i włożył w to wszystkie swoje oszczędności. Potrzebna była rozbudowa przedsiębiorstwa, zwiększenie liczby pracowników, wykwalifikowanej kadry. Te potrzeby miały być teraz zrealizowane. Dyrektorzy Pasala Oil Products już czuli się milionerami.

I wówczas na pogodnym niebie pojawiła się chmura. Hugo Campard czytał już wcześniej o różnych wyczynach Świętego. Bardzo się wtedy ubawił. W dalszym ciągu śledził w prasie jego przygody, lecz rozbawienie stopniowo ustępowało miejsca coraz silniejszemu niepokojowi. A pewnego dnia otrzymał pocztą kartkę.

Od tego czasu każdego ranka na tacy obok śniadania pojawiała się znajoma kartka, każdego ranka po dotarciu do biura Pasala Oil Products znajdował następne przypomnienie od Świętego. Nie było tam żadnej wiadomości, tylko rysunek. Ale gazety były pełne wiadomości i Hugo Campard się bał...

Nagle, dwa dni temu Święty przemówił.

Campard nie jest w stanie powiedzieć, dlaczego otwierał koperty, w których Święty przysyłał swoje przypomnienia. Być może dlatego, iż za każdym razem żywił nadzieję na wyjaśnienie całej sprawy. Po kilku dniach napięcia, które wymalowało cienie pod oczami z powodu bezsenności i doprowadziło go do stanu psychicznej agonii, otrzymał wyjaśnienie.

W tym dniu pod prymitywnie wyrysowaną postacią ktoś ołówkiem napisał kilka słów:

Za tydzień będziesz bankrutem.

Miał już zapewnioną ochronę policji, co po wypadku z Lemuelem nie było trudne do uzyskania.

Wystarczyło pokazać rysunki. Przez wszystkie noce pod jego domem w St. John's Woods czuwał policjant. W ciągu dnia stał również w korytarzu jego biura. Nie umundurowani detektywi jeździli razem z nim wszędzie. Poza niemożliwą do przewidzenia strategią lub użyciem karabinu maszynowego, ulubionego argumentu gangsterów z Chicago, niemożliwe było, aby Święty mógł

do niego dotrzeć tak, jak do Lemuela.

Teraz zaś jednym pociągnięciem Święty pokrzyżował wszystkie środki ostrożności i niewidzialnie przedarł się przez kordon. W tej kwestii pomoc policji była bezużyteczna.

Za tydzień będziesz bankrutem.

Łatwo tak mówić, trudniej przeprowadzić.

Podczas gdy nadal zastanawiał się, czy to możliwe, nadeszła odpowiedź.

Wpatrywał się w telegram tak długo, aż każda litera wyryła się w jego pamięci niczym wypalona ogniem. Potem postanowił sprawdzić cię szansy.

Zatelefonował na pocztę i stwierdził, że wiadomość nadeszła z Santa Miranda *via* Barbados i Pernambuco. Ale to jeszcze nie wszystko. Zatelegrafował do swojego agenta w Nowym Jorku i polecił mu zdobyć za wszelką cenę autentyczne informacje z Waszyngtonu, by wieczorem otrzymać potwierdzenie opinii Shanneta. USS „Michigan” wyruszył w drogę do Santa Miranda w odpowiedzi na prośbę prezydenta.

A więc wiadomość była prawdziwa. Kodowany telegram Shanneta nie był blefem ani informacją od agenta Świętego w Santa Miranda. To było gorzkie otrzeźwienie.

Ale ta ogromna pieczołowitość! Ta zuchwałość planu! Campard poczuł, że opuszcza go cała siła i chęć walki. Był zdruzgotany pomysłowością Świętego. Stojąc naprzeciw człowieka, który miał za nic wywołanie wojny w celu osiągnięcia prywatnych korzyści, czuł się równie nieważny i bezradny jak dziecko.

Sięgnął po słuchawkę, lecz zrezygnował. Nie ma sensu informować o tym policji. W ten sposób nic nie osiągnie, a poza tym wiadomości dotarłyby do prasy. Wówczas połączone z nazwiskiem Camparda akcje Pasala Oil Products spadłyby na giełdzie na łeb do wartości papieru, na którym zostały wydrukowane.

Przed wyjściem z biura wysłał kodowaną odpowiedź do Santa Miranda:

Uważam, że wojna została zorganizowana przez przestępcę o pseudonimie Święty, który mi groził Zdobądź informacje o obcym Angliku w Pasala lub Maduro. Prześlij opis. Zdawaj relację na bieżąco.

To co Święty wywołał, myślał Campard, Święty może odkręcić. Campard miałby jeszcze szansę, gdyby udało mu się dojść do porozumienia.

Ale wiadomość o wojnie była już w wieczornej gazecie, którą kupił w drodze do domu i Hugo Campard wiedział, że jest za późno.

Tej nocy prawie w ogóle nie spał. Już o godzinie 9.00 rano był w biurze i rozmawiał telefonicznie ze swoim maklerem.

— Chcę, aby pan sprzedał 20 000 moich akcji Pasala Oil Products — powiedział. — Za najlepszą cenę, jaką uda się panu uzyskać.

— Obawiam się, że uzyskanie jakiegokolwiek ceny jest po prostu niemożliwe — rzekł ironicznie makler. — Cała giełda aż huczy od plotek i każdy boi się ich dotknąć. Inni pana wyprzedzili.

— Co pan ma na myśli? — spytał Campard napiętym głosem.

— Wczoraj i przedwczoraj ktoś po cichu wyprzedawał akcje — odparł makler. — Widać miał cynk. Teraz rynek został nimi zarzucony, musi ich być bardzo dużo.

W trakcie tego przedpołudnia inni udziałowcy telefonowali i oskarżali go lub jęczeli, w zależności od usposobienia. Campard postępował z nimi w ten sam sposób.

— Nic na to nie poradzę — mówił. — Mnie to uderzyło znacznie bardziej niż was. To nie moja wina. Spółka była całkowicie pewna i wy też o tym wiecie.

Makler zadzwonił zaraz po lunchu i poinformował go, że udało mu się sprzedać 6 000 akcji za średnią cenę 2 szylingów.

— Po 2 szylingi za dwufuntowe akcje? — Campard niemal jęknął. — Jest pan szalony.

— Niech pan spróbuje sam, panie Campard — odparł zimno makler. — Obecnie rynek już

więcej nie wchłonie. Może przed samym zamknięciem giełdy uda mi się opchnąć jeszcze kilka tysięcy akcji. Może znajdą się ludzie chcący je zatrzymać na pamiątkę. Może jakaś wytwórnia papieru wyrazi chęć nabycia reszty...

Campard rzucił słuchawkę na widełki i ukrył twarz w dłoniach. W tej pozycji zastała go w trzy godziny później sekretarka, która zapukała do drzwi i weszła z ciemnożółtą kopertą w dłoni.

— Następny telegram, panie Campard.

Wziął blankiet i sięgnął bezwładną ręką po książkę kodów.

Rozszyfrował:

Armia Maduro wkroczyła do Pasali. Jedyńą naszą szansą wyprzedaż za każdą cenę.

Odpowiadam na pytanie. Prawie cztery miesiące temu przyjechał mężczyzna...

W nagłym odruchu zniechęcenia Campard porwał telegram na drobne kawałki i wyrzucił do kosza na śmieci. Nie było już czasu na porozumienie się ze Świętym. Nieszczęście stało się faktem.

Kilka minut później nadeszła oczekiwana wiadomość z firmy, która udzieliła mu poparcia w spółce Pasala Oil Products. Chociaż był bogaty, nigdy nie byłby w stanie zdobyć tak dużego pakietu akcji przedsiębiorstwa bez cudzej pomocy. Jak przy swojej reputacji zdołał uzyskać poparcie, pozostanie tajemnicą. Mógł to jednak uczynić na mocy porozumienia z „granicą opłacalności”. Oznaczało to, że w każdej chwili mógł być wezwany do pokrycia 50% spadku wartości akcji w celu zapewnienia granicy opłacalności.

Żądanie to, sformułowane wytwornie lecz stanowczo, zostało mu właśnie wręczone przez specjalnego posłańca. Zdziwił się tylko, że nie nadeszło wcześniej. Wypisał czek, który nie miał pokrycia w banku, i odesłał przez tego samego posłańca.

Wezwał samochód i opuścił biuro. Gazeta poinformowała go o panice związanej z Pasala Oil Products Ltd., a on przeczytał ten artykuł z chorobliwym wprost zainteresowaniem.

Po powrocie do domu zastał list, dostarczony popołudniową pocztą.

Sprzedalem Pasala Oil Products Ltd. i zakonczylem dzisiaj rozliczenie. Zysk wynosi prawie 12 tys. funtow.

Wydatki w tej kampanii byly bardzo wysokie, ale nawet po odliczeniu ich oraz moich 10% za posrednictwo, bede mogl przekazac 9 tys. funtow na dobroczynnosc w pańskim imieniu.

OTRZYMALEM wyzej wymienioną sumę, z podziękowaniem.

Święty.

Do tego została dołączona znajoma karta i jedna akcja Pasala Oil Products.

Tej nocy Hugo Campard zjadł dobry obiad i sam wypił butelkę szampana. Potem z zadowoleniem wypalił papierosa i wypił likier.

Ubrał się. Jego zdaniem wymagała tego okazja. Umysł miał spokojny i jasny, ponieważ znalazł wyjście z sytuacji.

Po skończeniu cygara zdjął marynarkę, założył podomkę i przeszedł do gabinetu. Zamknął za sobą drzwi i przez chwilę spacerował w ciszy tam i z powrotem, ale nikt nie wie, o czym rozmyślał.

Dokładnie o godzinie 22.00 kroki ucichły.

Policjant przed domem usłyszał strzał, ale Hugo Campard już nie.

ROZDZIAŁ VII

Ludzie skazani na ciężkie roboty w więzieniu w Santa Miranda mogli odbywać trzygodzinną sjęstę popołudniową. Nie było to podyktowane humanitaryzmem ani dobrym sercem władz.

Przyczyną takiego stanu rzeczy był fakt, że nic nie mogło zmusić strażników do zapomnienia o popołudniowej drzemce, zgodnej z tradycją tego kraju, a nikt nie wynalazł jeszcze sposobu zmuszenia więźniów do pracy bez czujnego strażnika, poganiającego ospałych.

Po zdjęciu z nóg kajdan wpędzono ich do cel, po 12 do każdej celi, i zamknięto, by odpoczywali, o ile jest to możliwe w duchocie i gorączce pomieszczenia tłumnie nawiedzanego przez muchy, wietrzonego wyłącznie przez małe, zakratowane okienko. Na straży pozostał jeden

strażnik, drzemiący w korytarzu z karabinem w poprzek kolan.

Był to trzeci dzień odosobnienia Świętego i druga godzina sjesty, ale Święty nie spał.

Współlokatorzy celi leżeli na posłaniach lub na podłodze i głośno chrapali. Przestali już zwracać uwagę na muchy. Na zewnątrz drzemał strażnik w rozpiętym kubraku, sombrero przesunęło mu się na tył głowy. Wpadające przez okno promienie słońca przedzierały się przez zaduch celi i padały na przeciwległą ścianę.

Święty siedział przy drzwiach celi, obserwując przesuwającą się plamę światła. Obserwował ją każdego popołudnia, poznając jej obyczaje, mógł więc teraz dzięki niej określić czas. Kiedy plama słońca dotarła do znaku na kamieniu, wiedział, że była godzina czwarta... Czas przez niego wyznaczony.

Po cichu wstał.

Głowa strażnika pochylała się coraz niżej. Każdego popołudnia, jak zauważył Święty, umieszczał on swoje krzesło w określonym miejscu korytarza, gdzie docierał chłodny powiew.

Święty postarał się znaleźć w celi najbliższej tego miejsca.

Oderwał guzik od ubrania i rzucił. Uderzył strażnika w policzek, ten poruszył się i mruknął.

Święty rzucił drugi guzik. Strażnik potrząsnął głową, chrapnął i obudził się, wyciągając ramiona w przesadnym ziewnięciu.

— *Señor* — szepnął Święty.

Mężczyzna odwrócił głowę.

— Skaranie boskie — warknął. — Czemu przerywasz moje rozmyślenia? Połóż się i bądź cicho, w przeciwnym razie cię obiję.

— Chciałbym tylko spytać waszą miłość, czy wolno byłoby mi podarować waszej miłości 50 pesos — rzekł pokornie Święty.

Przykucnął przy prętach drzwi i bawił się kawałkiem słomy. Mijały minuty...

Wreszcie strażnik wstał i podszedł do drzwi celi. Inni więźniowie spali pochrapując spokojnie.

— Zjadaczu rozkładającej się ryby — rozległ się ochryply głos — czy naprawdę słyszałem, jak twoje ordynarne usta mówią do mnie o 50 pesos? Skąd masz pieniądze?

— Prezenty kruszą skały — odparł *peón*, cytując hiszpańskie przysłowie. — Wolałbym, aby już raczej moje prezenty je kruszyły, niż miałbym sam dalej być do tego zmuszany. Mam 50 pesos i chcę uciec.

— To niemożliwe, sam cię przeszukiwałem.

— Są ukryte, mogę dać waszej miłości słowo honoru. Wiem, gdzie można znaleźć wiele pieniędzy, gdyby tylko wasza miłość raczyła mnie uwolnić i pozwoliła się tam zaprowadzić. Czy nie słyszałeś, że od chwili aresztowania stwierdzono, iż w ciągu jednego wieczoru pobytu w tym mieście wydałem tyle, że można by było przeżyć za to cały rok? To dla mnie drobiazg. Jestem bogaty.

Strażnik potarł nie ogolony podbródek.

— Ty diabelskie nasienie — powiedział łagodniejszym już tonem. — Pokaż mi te 50 pesos, a ci uwierzę.

Święty uniósł ręce do potarganych włosów i wysupłał z nich banknot. Strażnik rozpoznał go i jego chciwe oczy rozbłysły.

Wyciągnął przez kraty rękę podobną do szponów drapieżnego ptaka, ale Święty cofnął banknot z jego zasięgu. Twarz strażnika pociemniała.

— Ty psi synu — powiedział. — Nie masz do tego prawa. Zostałeś skazany, a wszystkie twoje dobra przechodzą na skarb państwa. Jako urzędnik państwowy skonfiskuję ten papier, a twoje brudne ręce mi w tym nie przeszkodzą. Sięgnął po klucze, ale Święty uniósł ostrzegawczo rękę do góry.

— Jeśli spróbujesz, *amigo* — będę krzyczał tak głośno, że zbiegną się pozostali strażnicy, by

sprawdzić, co się stało. A kiedy im opowiem, zmuszą cię do podzielenia się z nimi tymi pieniędzmi. Nie powiem ci wówczas, gdzie ukryłem resztę pieniędzy. Dlaczego więc nie uwolnić mnie i nie mieć wszystkiego dla siebie?

— A skąd mogę wiedzieć, że nie kłamiesz?

Święty ponownie uniósł ręce do włosów, a deszcz banknotów 50–pesetowych spadł na podłogę.

Podniósł je i przeliczył pod okiem strażnika. Było ich razem trzydzieści.

— Widzisz? Mam je! — stwierdził. — 1500 pesos to wiele pieniędzy. Otwórz drzwi, a będą twoje.

Oczy strażnika zwęziły się. Czy ten głupiec *peón* naprawdę myśli, że on mógłby uwolnić go za taką nędzną sumę? Najwyraźniej tak.

To nie suma była nędzna, odpowiadała kwocie 200 funtów. Jednak w razie ucieczki więźnia wina spadała na strażnika i prawdopodobnie zostałby za to uwięziony. A taki prostak wyobraża sobie, że wystarczy tylko wyciągnąć gotówkę, by strażnik naraził się na taką karę.

Bardzo dobrze, niech się łudzi. To pójdzie całkiem łatwo. Otworzy drzwi, weźmie pieniądze i strzeli... Wówczas nikt nie będzie mógł zeznawać przeciwko niemu. Wszyscy wiedzieli, że więzień był gwałtownym człowiekiem. Mógłby więc łatwo wymyślić historię, usprawiedliwiającą otwarcie drzwi.

— *Señor peón* — powiedział strażnik. — Teraz widzę, że wasza miłość nie powinna przebywać razem z tym bydłem. Uwolnię waszą miłość za darmo, a wasza miłość da mi pieniądze i będę waszą miłość wspominał w modlitwach.

Wrócił na palcach do krzesła i wziął karabin. Następnie, starając się nie robić hałasu, otworzył drzwi celi i *peón* wyszedł na korytarz.

Inni więźniowie nadal chrapali i nic nie było słyhać poza brzęczeniem much. Rozmowa prowadzona była szeptem, ponieważ w interesie zarówno strażnika, jak i *peóna* leżało, by jak

najpóźniej zaczął się alarm.

— Teraz daj mi pieniądze — szepnął strażnik ochryple.

Święty podał mu plik banknotów tak, że jeden z nich upadł na podłogę. Gdy strażnik pochylił się, by go podnieść, Święty delikatnie wyciągnął mu nóż zza pasa. Kiedy wyprostował się, ramię Świętego zacisnęło się na jego szyi, dławiąc okrzyk strachu, zanim ten zdążył się wydobyć na zewnątrz. Poczł ostrze noża na piersi.

— Oprzyj karabin o ścianę — szepnął mu Święty do ucha. — Jeśli spowoduje to hałas, nigdy więcej nie przemówisz.

Nikt nie mógłby postawić karabinu ciszej.

Święty cofnął nóż, uniósł strażnika do góry i bez najmniejszego dźwięku położył na podłodze, trzymając nogami w chwycie jiu-jitsu tak, że nie mógł się ruszyć.

— Bądź cicho — rozkazał Święty kłując go nożem.

Mężczyzna leżał jak zabity. Święty wykręcił mu ręce i związał rzemieniem od karabinu.

— Kiedy mnie rewidowałeś — rzekł — miałem przy sobie nóż. Co z nim zrobiłeś?

— Mam go przy sobie.

Święty podwinął rękaw strażnika i odpiął pochwę od przedramienia. Z pieczołowitością umocował ją na swojej ręce. Ponieważ posiadał „Annę” od lat, stała się częścią jego samego; mały nóż do rzucania, który towarzyszył mu w rozlicznych przygodach i który wielokrotnie uratował, mu życie. Kochał go jak dziecko i byłby niepokieszony, gdyby go’ stracił.

Teraz z „Anną” ponownie czuł się sobą, choć nikt, kto go znał, by się z tym nie zgodził, ponieważ nigdy w życiu nie wyglądał równie nieporządnie. On, Simon Templar, Święty, człowiek znany ze swej niezmiennej elegancji i prawie nadprzyrodzonych zdolności pozostawania nienagannie ubranym nawet w najbardziej niespokojnych chwilach, w najmniej cywilizowanych zakątkach świata, nie mył się ani nie golił od prawie czterech dni. Takie luksusy były niedostępne

w więzieniu w Santa Miranda. Ubranie wyglądało już wystarczająco okropnie, kiedy Kelly pożyczył je od młodszego ogrodnika. Teraz zaś, po noszeniu go w dzień i w noc w kamieniołomach i brudnej celi, stan jego przeszedł wszelkie wyobrażenie. Jego największym marzeniem było teraz mydło i woda, a czasu na ucieczkę było coraz mniej. Smuga światła na ścianie celi powiedziała mu, że zostało zaledwie pół godziny, zanim Santa Miranda ocknie się ze snu i przystąpi do drugiej połowy dnia pracy. Wkrótce zaczną się pojawiać strażnicy, ziewając i przeklinając, i pogonią więźniów do roboty. Najwyższy czas, by Święty wyruszył w drogę.

Zdjął pas strażnika i związał mu nogi. Potem wepchnął mu chusteczkę do ust i wyprostował się z dłońmi wspartymi na biodrach. Bezsilny strażnik patrzył na niego wybałuszonymi oczami. — Byłbym zapomniał! — wykrzyknął Święty pod nosem i zabrał pieniądze z kieszeni związanego.

Strażnik zaczął się wiercić, a Święty skłonił mu się ironicznie.

— Zostań z Bogiem, moja małpeczko — mruknął. — Teraz nic nie przerwie twoich rozmyślań. Z tymi słowami zniknął.

Przebiegł lekko korytarz i wybiegł na zalany słońcem dziedziniec więzienia. Przemierzył go szybko, zwalniając i zachowując większą uwagę dopiero przy bramie. Na terenie dziedzińca, obok bramy, znajdowała się budka wartownicza, która osłaniała stojącego przy bramie przed słońcem. Ostatnie kilka kroków przeszedł Święty na palcach i delikatnie zajrzał przez drzwi do środka. Wartownik siedział na skrzyni, plecami oparty o ścianę. Nie spał, tylko w skupieniu obserwował wzór, który kreślił czubkiem buta w kurzu. Karabin stał w rogu. Ściany więzienia były zbyt wysokie, by się na nie wspiąć. Jedyne drzwi prowadziły przez bramę.

Postać Świętego nagle zasłoniła światło wpadające do budki wartowniczej i strażnik uniósł się z okrzykiem na ustach. Poczł się jakby strzelał do siedzącego królika, ale stawka była zbyt duża, by

zrobić z tego bardziej sportową walkę. Gdy tylko głowa wartownika uniosła się na odpowiednią wysokość, Święty uderzył go w podbródek z naukową dokładnością i energią. Tak więc okrzyk zamarł mu na ustach.

Święty oparł strażnika o ścianę i nasunął mu na oczy sombrero. Wyglądał, jakby spał, co też w istocie odpowiadało prawdzie. Potem wdrapał się na bramę i zeskoczył w kurz drogi po drugiej stronie muru.

Więzienie Santa Miranda leży na wschód od miasta, blisko morza, w otoczeniu slumsów, które dochodzą do jasnych i szerokich ulic. Święty szybko przeszedł przez miasto, wybierając brudne i wąskie ulice, gdzie jego opłakany stan nie rzucał się w oczy, omijając Calle del Palacio i unikając spotkania z *guardia*, którzy mogliby go pamiętać.

Santa Miranda jeszcze się nie zbudziła. Gdzieniedzie na porośniętych trawą przejściach pomiędzy prymitywnymi chatami robotników bawiły się ubrane w łachmany dzieci. Jednak nie zwróciły na niego uwagi. W drzwiach jednej z chat stał stary i pomarszczony Indianin, przypominający swoim wyglądem jaszczurkę. Poza nim Święty nikogo nie zauważył.

Przemierzał tę gmatwaninę uliczek spokojnie, lecz szybko, kierując się równolegle do Calle del Palacio. Kiedy zaś w pobliżu, ponad niskimi dachami glinianych chat zauważył wysoką, białą wieżę, oświetloną ukośnymi promieniami słońca, zmienił plany.

Należałoby raczej powiedzieć, że kierowany nagłym impulsem postanowił chwilowo zrezygnować z robienia planów. Początkowo miał zamiar udać się do bungalowu Kelly'ego, ogolić się, włożyć czyste ubranie i z papierosem w ustach rozmyślać o najlepszym sposobie opanowania miasta. Do tej pory, mimo zapewnień, nie miał jeszcze rozwiązania tego problemu, wierząc, że w odpowiedniej chwili natchnienie go nie opuści.

Teraz, spoglądając na stanowiącą ozdobny fragment pałacu prezydenckiego wieżę, znajdującą się tuż obok, wpadł na tak oczekiwany pomysł. Do jego realizacji przystąpił natychmiast i

skierował się w kierunku wieży.

Był to jeden z tych wesołych i niespokojnych, awanturniczych i wariackich, całkowicie niemożliwych, a zarazem rozkosznych pomysłów, których Święty nigdy nie był w stanie się wyrzec. Zapierająca dech w piersiach zuchwałość tego planu, przeciwności w drodze do sukcesu, ryzyko, gdzie szansa powodzenia była jak 1:100, opanowanie, jakie było niezbędne, by zamienić tę niepoważną myśl w fakt, stanowiły wyzwanie zbyt wielkie dla jego awanturniczej natury, by mógł je zignorować. Święty podjął rękawicę bez najmniejszego wahania.

W decyzji tej przejawiała się cała jego beczelność.

— A poza tym — szepnął Święty do swojego sekretnego ducha — dlaczego by nie teraz?

Na jego ustach pojawił się w całej swojej okazałości anielski uśmiech, który odsłonił białe zęby.

Szczenie sprzyjało mu bez zastrzeżeń, a to dobrze wróżyło na przyszłość. To był zdecydowanie jego dzień. Czysta ucieczka z więzienia, bez podnoszenia alarmu. A do wysokich murów, otaczających teren wokół pałacu, dotarł nie zauważony, zaś w odległości kilku stóp od muru rosło wysokie drzewo.

Święty z małpią zręcznością wspiął się do dużego, prostego konaru, który znajdował się w odległości 15 stóp od ziemi. Sprawdził odległość i skoczył.

Skok wyniósł go na szczyt muru. Złapał równowagę, po czym ponownie skoczył, 12 stóp w dół do pałacowego ogrodu.

Wylądował na palcach lekko jak pantera i ruszył zygzakami ścieżkami pomiędzy rabatami kwiatów cicho jak Indianin. W ogrodzie nie było nikogo. Nie było nic słyszeć z wyjątkiem brzęczenia pszczół w słońcu i delikatnego szelestu stóp Świętego na trawie.

Przebył opuszczony ogród i po schodach wbiegł na pokryty płytami taras, na który ściany pałacu rzucały cień. Osiem stóp nad ziemią znajdował się niski balkon. Święty zrobił dwa kroki do przodu i skoczył, zawisł przez chwilę na palcach, a następnie podciągnął się szybko i przeszedł

przez balustradę.

Drzwi balkonowe były otwarte, a pokój za nimi pusty. Święty wszedł i ruszył w stronę korytarza.

Nieco zagubiony, gdyż nie znał topografii pałacu, poruszał się ostrożnie, raczej niepewnie i bez najmniejszego dźwięku. Dalej znajdowały się następne drzwi. Już miał je minąć, gdy zobaczył coś, co zmusiło go, by się zatrzymać.

Powrócił na palcach do drzwi i spojrzał w zamyśleniu.

To była łazienka.

Niecały rok wcześniej łazienka ta została wybudowana dużym nakładem środków dla przyjemności Jego Ekscelencji Prezydenta i Ministra Spraw Wewnętrznych. Firma budowlana z Nowego Jorku przysłała specjalną ekipę, która przymocowała piękne, lazurkowe kafelki do ścian i położyła przepiękną, szafirową terakotę na podłodze, zainstalowała bladozieloną, porcelanową wannę z lśniącymi, srebrnymi kurkami, prysznicem i innymi cudёнkami. Z Paryża nadszedł duży, kryształowy pojemnik soli do kąpeli, który stał na parapecie okiennym, a w mydelniczkach leżały nowe kostki drogiego mydła.

Na ten widok oczy Świętego rozblýsły.

To nie była sobota, ale najwyraźniej ktoś zmienił obyczaje pałacu.

Na półeczce nad umywalką znajdował się aparat do golenia, mydełko i pędzel. Na krześle obok wanny leżały śnieżnobiałe ręczniki. Na drugim krześle spoczywało ubranie: nieskazitelna jedwabna koszula, szarfa, szerokie na dole, ozdobione złotem meksykańskie spodnie i buty.

Przez całą minutę Święty patrzył, zaskoczony tym uśmiechem szczęścia. Potem, niespokojny i drżący, wszedł do pokoju i otworzył kurek.

Popłynęła gorąca woda.

Przestał się wahać. Wojna, rewolucja, bitwy, morderstwa i nagła śmierć przestały mieć dla

niego jakiegokolwiek znaczenie. Zamknął drzwi i obrócił klucz w zamku.

Uśmiech losu, podobnie jak nieszczęście, nigdy nie zjawia się samotnie. Za pojemnikiem soli do kąpeli znajdowało się pudełko hawańskich papierosów i zapałki.

Dziesięć minut później już ogolony Święty wyciągnął się wygodnie w wannie, do której wsypał większą część prezydenckich soli do kąpeli, niewinnie bawiąc się gąbką i mydłem w okręty podwodne.

Niedbale palił papierosa i nie zwracał uwagi na cały świat.

ROZDZIAŁ VIII

Archie Sheridan wytarł pokryte potem czoło i gwałtownie uderzył moskita, który zamierzał usadowić się na jego nagim ramieniu.

— Dzięki Bogu, że już wreszcie wróciłeś — powiedział. — To przekłete miejsce przyprawia mnie o dreszcze. Czy coś ustaliłeś?

Kelly usiadł z rozmachem na rozpostartym na ziemi pledzie.

— Załatwiłem armię ofensywną — powiedział. — Czy coś się zmieniło podczas mojej nieobecności?

— Nic ważnego. Jedna lub dwie prywatne wiadomości, które po prostu odebrałem.

Zastanawiam się, co oni tam w Ondii myślą.

— Kiedyś nadejdzie tu ekipa naprawcza — stwierdził Kelly.

— Już drugi dzień linia jest przecięta. W ciągu tygodnia być może się obudzą i wyślą kogoś do naprawy. Która godzina?

Sheridan spojrzął na zegarek.

— 11.15 — powiedział.

Siedzieli pod ogromnym drzewem, na małej polanie w dżungli blisko granicy z Maduro, około 10 mil na wschód od Esperanzy. W odległości mili biegła bita droga, prowadząca od Esperanzy

przez granicę do Maduro i stanowiąca jedyne połączenie drogowe między dwoma państwami. Tam też ford Kelly'ego, którym pokonali większość drogi, czekał ukryty wśród drzew.

Wszystko dookoła wskazywało, że równie dobrze mogliby się znajdować tysiące mil od najbliższego ośrodka cywilizacji. Na skraju niewielkiej polany ogromne drzewa splecione były razem z winoroślą i pnączami owiniętymi wokół nich na kształt gigantycznej palisady. Wysoko nad głowami wznosiły się splecione konary drzew nie dopuszczając światła słonecznego, więc poniżej panował szary półmrok, w którym płonące czerwienie, pomarańcze i purpury tropikalnych kwiatów, rosnących w bagnistej ziemi, kontrastowały ostro z otoczeniem.

Ciszę wielkiej puszczy przerywał jedynie szelest spowodowany przez poruszające się dzikie zwierzę. Pod łapą polującej bestii trzaskały spróchniałe gałązki z hałasem przypominającym odgłos strzału. Czasami rozhisteryzowany wrzask małp przerywał ciszę z zaskakującą przenikliwością, wrażliwego człowieka przyprawiającą o dreszcze. Nigdy nie było tu prawdziwej ciszy, tylko raczej stłumiony, trudny do zdefiniowania i monotony pomruk, z którego wybijał się tępy odgłos ciekącej wody. Powietrze było gorące, parne i nasycone duszącymi zapachami.

— Do tego można się przyzwyczać — powiedział Kelly, spowity oparami fajkowego dymu.

— Dziękuję — odparł Sheridan — ale mi na tym nie zależy. I tak byłem tu o dwa dni za długo.

Dręczą mnie koszmary, w których siedzę w ogromnej wannie, ale gdy tylko kończę mycie, spada na mnie lawina błota i wszystko zaczyna się od początku.

Był to ranek dnia, w którym Święty uciekł z więzienia.

Na głowie Sheridan miał parę słuchawek radiowych. Obok niego na wodoszczelnym pledzie znajdowało się niewielkie urządzenie — nadajnik Morse'a, który pomysłowo wymodelował przed wyruszeniem z Santa Mirandy. Izolowane przewody biegły od niego do lasu.

Linia telegraficzna biegła prawie cały czas wzdłuż drogi, ale w tym miejscu, z trudnego do wytłumaczenia powodu, prowadziła na skróty przez pustkowie. Zdecydowali się tam właśnie

podłączyć, a to z czystej przezorności. Wprawdzie droga na odcinku od Esperanzy do granicy Maduro nie była zbyt uczęszczana, zawsze jednak istniało ryzyko, że ktoś przejeżdżający mógłby ich zauważyć i opowiedzieć o tym u celu swej podróży.

Poprzedniego popołudnia przecięli linię i wysłali do Santa Miranda ultimatum, rzekomo pochodzące od prezydenta Maduro. Od tej chwili dzień i noc jeden z nich siedział ze słuchawkami na uszach, czekając na odpowiedź. Układ był dość skomplikowany, ponieważ Kelly nie znał alfabetu Morse'a, a hiszpański Sheridan pozostawiał wiele do życzenia. Jednak poradzili sobie. Wielokrotnie czuwający Kelly budził Archiego, by ten odebrał wiadomość, która jednak nie miała nic wspólnego z wojną, chyba że z prywatnego lub handlowego punktu widzenia. Brak było jednak oficjalnej odpowiedzi.

Sheridan ponownie spojrzął na zegarek.

— Termin upływa za pół godziny — rzekł. — Co byś powiedział na wysłanie ostatecznego ultimatum? To będzie równie głośne i równie wybuchowe jak podatek obrotowy.

— Oczywiście. Jeśli nie ma innej możliwości, aby się poddali — zgodził się Kelly. — Ale nie możemy dopuścić, aby cokolwiek przeszkodziło tej wojnie.

Wiadomość, którą wysłali, uwzględniała ten punkt widzenia.

Rozumiemy, że odmawiacie uwolnienia Quijote'a. Nasze armie wkroczą do Pasali w południe, zgodnie z zapowiedzią.

W trakcie czekania na godzinę zero Kelly przygotował się do zwinięcia obozu, złożył namiot i zebrał sprzęt do torby. Skończył tuż przed dwunastą i położył się wyprostowany na pledzie.

— Zastanawiam się, co też ten łotr Shannet robi — rzekł. — Mam nadzieję, że nie przegapił wiadomości o moim zainteresowaniu koncesją. Byłbym niepocieszony, gdyby tak się stało.

— Wydaje mi się, że tam będzie — odparł Sheridan. — Kiedy wyruszyliśmy, był w Santa Miranda i prawdopodobnie został tam, by osobiście kierować polowaniem na Świętego.

— Święty to porządny facet — powiedział Kelly. — Szkoda tylko, że to nie Irlandczyk.

Sheridan powachlował się chusteczką.

— Jest jednym z najlepszych ludzi, jacy w ogóle stąpali po tej ziemi — stwierdził. — Gdyby Święty powiedział, że zamierza rozpocząć wojnę z piekłem, zabrałbym gaśnicę i poszedł razem z nim.

Kelly pociągnął z fajki i w zamyśleniu splunął na mrówkę.

— Nie nazwałbym tego twoim obowiązkiem — zauważył. — Prawdę mówiąc, to wcale nie jestem pewny, czy w ogóle powinieneś brać w tym udział. Z taką dziewczyną jak Lilla, która wypatruje twego powrotu i zamartwia swoją śliczną główkę. I z takim pełzającym gadem jak Shannet w pobliżu...

— On próbował ją niepokoić raz czy dwa. Ale gdybym myślał...

— Ja o tym dużo myślałem — powiedział Kelly. — Wcale nie zamierzam cię straszyć. Jednak gdy tylko skończymy nasze zadanie, wrócimy do Santa Miranda tak szybko, jak tylko Tin Lizzie nas dowiezie. Tam jest moja pani i Lilla bez męskiej opieki, a Święty...

Sheridan nagle uniósł dłoń do góry w geście nakazującym ciszę. Napisał szybko coś na kartce, a Kelly pochylił się nad nim, by to przeczytać.

— Co to znaczy?

— Jest wojna! — wrzasnął podekscytowany Kelly. — Don Manuel nie rezygnuje tak łatwo, jak myślałem, albo może nie potrafił znaleźć wyjścia z tej sytuacji. Mamy więc wojnę! Hurra!

Będziemy walczyć! Archie, mój chłopcze, jest wojna!

Chwycił Sheridana w niedźwiedzi uścisk, uniósł go w powietrze, postawił na ziemi i tańczył po polanie wydając dzikie celtyckie okrzyki. Dopiero po kilku minutach oprzytomniał wystarczająco, by przetłumaczyć wiadomość.

Była ona zwięzła i krótka:

Sily zbrojne Pasali będą bronić się przed najazdem aż do śmierci.

Manuel Concepcion de Villega, który nie był wojskowym, uważał to za szczególnie dzielne i szlachetne postępowanie. Prawdę mówiąc, był bardzo zadowolony z tego sformułowania i użył go również na zakończenie przemowy wygłoszonej do armii, kiedy wraz z prezydentem dokonywał przeglądu oddziałów, wyruszających z Santa Miranda na spotkanie obcej armii. Oczywiście, przemówienie powinien był wygłosić prezydent, ale jego ekscelencja nie miał poglądu na ten temat.

W czasie lunchu z Esperanzy przyszły wiadomości, że wróg napadł na miasto.

Chociaż wszyscy byli o tym poinformowani, niewielu mieszkańców wyjechało. Większość wolała zostać, przekonana, że wojna to tylko domena zawodowych żołnierzy i nie ma związku z ludnością, może tylko spowodować pewne ograniczenia.

W mieście stacjonował mały garnizon, który zablokował ulice i zamarł w oczekiwaniu na atak.

Ten nadszedł około godziny 13.

„Armia najeżdżająca”, przygotowana przez Kelly’ego, zaprojektowana została przez Archie Sheridana, który okazał się geniuszem mechaniki.

W lasach po stronie wschodniej, w odległości 300 jardów od linii frontu i zaimprovizowanych fortyfikacji, została sformowana linia fajerek płonącego węgla drzewnego, odległych od siebie o około 20 jardów. Nad każdą fajerką zawieszony był sznur naboju, przywiązanych do linki co kilka cali. Linka ta biegła nad gałęzią drzewa, w które wbite były gwoździe, służące za prowadnice.

Wszystkie te linki były zebrane razem w dwóch pęczkach, po pięć, w punkcie nieco oddalonym i w taki sposób, że jeden człowiek, korzystając z obu rąk, mógł powoli obniżać linki z nabojami równocześnie nad wszystkimi fajerkami i sprawić wrażenie, że strzały były oddawane z odległości 200 jardów. Gdyby mieli nieco ogni sztucznych, mogliby sobie zaoszczędzić wielu kłopotów.

Ponieważ jednak nie dysponowali petardami, Archie Sheridan był dumny z wymyślnego

substytutu.

Sheridan kierował swoją „ofensywną armią”, podczas gdy Kelly leżał nieco dalej za drzewem, ukryty przed zabłąkanymi kulami i ładował karabin. W celu dopełnienia złudzenia konieczne było ukierunkowanie ostrzału.

Sheridan cichym gwizdem zasygnalizował stan gotowości i bitwa się rozpoczęła.

Naboje, opuszczane po kolei na fajerki i tam eksplodujące pod wpływem gorąca, zapewniały realistyczne odgłosy strzelaniny wzdłuż całej linii frontu. Zaś Kelly, strzelający i ładujący swój karabin jak nawiedzony, strzelał do ścian budynków i wzbijał kurz wzdłuż barykad. Starał się przy tym tak celować, aby nikogo nie zranić.

Obrona była energiczna, jakkolwiek nikt się nie dowie, co myślano o celu tej strzelaniny.

Wynikła z tego całkiem ożywiona wymiana strzałów. Następny gwizdek Sheridana poinformował, że amunicja została wyczerpana. Kelly dołączył do niego, obaj podczołgali się do czekającego forda, szybko ruszyli do miasta. Kelly wymachiwał prawie białą flagą.

Samochód został zatrzymany, ale Kelly’ego dobrze tu znano.

— Pozwolili mi przejechać przez swoje linie — wyjaśnił oficerowi garnizonu. — Dlatego właśnie przerwali ogień. Kiedy została wypowiedziana wojna, przebywałem w Ondii i od razu wróciłem.

Poinformował ich również, że znajduje się w drodze do Santa Miranda.

— Niech pan jedzie szybko i nakłoni ich, by nie ociągali się z wysłaniem pomocy — poprosił oficer — ponieważ jest oczywiste, że zostaliśmy zaatakowani przez przeważającą liczbowo armię. Wysłałem już telegramy, ale pan mógłby dokonać więcej, opowiadając im o tym, co pan widział. — Zrobię to — obiecał Kelly i przepuszczono go.

Gdy samochód wyjechał już z miasta, Kelly zatrzymał się i pomógł Sheridanowi wydostać się spod sterty bagażu. Był w dalszym ciągu poszukiwany, więc ukrycie go uznali za rozsądne.

Nieco dalej Sheridan wdrapał się na drzewo i przeciął druty telegraficzne, aby wiadomości o odpartym ataku nie mogły dotrzeć do Santa Miranda na czas i nie umożliwiły odwołania wysłanych oddziałów. Zamiast organizowania „inwazji” mogliby także podłączyć się do linii i wysyłać informacje w imieniu dowódcy garnizonu, opisując postęp działań wojennych i w ten sposób zaoszczędzić sobie wiele pracy i szukania pomysłów. Jednak krótki odcinek drogi między Esperanzą i Las Floras (następne w kolejności miasto) był zbyt uczęszczany, by taki plan wykonać w biały dzień.

Kiedy minister spraw wewnętrznych został poinformowany, że łączność z Esperanzą została przerwana, zrozumiał to jednoznacznie.

— Esperanza została otoczona — powiedział. — Skład liczebny garnizonu nie wynosi nawet 100 żołnierzy. Miasto padnie w ciągu 24 godzin i postępując naprzód oddziały Maduro natkną się na nasze posiłki w Las Floras. Będzie cud, jeśli uda nam się utrzymać najeźdźców z dala od Santa Mirandy przez pięć dni.

— Należałoby zatrzymać tutaj niektóre oddziały — stwierdził Shannet. — Wysłałeś wszystkich żołnierzy stacjonujących w Santa Miranda. Jeśli armia zostanie pokonana, wówczas nikt nie przeszkodzi najeźdźcom w zajęciu miasta.

— Jutro powołam pod broń *peónów* — rzekł Don Manuel. — Trzeba przeprowadzić pobór do wojska. Pasala potrzebuje teraz każdego zdrowego obywatela. Przygotuję dzisiaj proklamację, a prezydent ją podpisze.

Była już prawie piąta, ale żaden z nich nie udał się na sjęstę. Odbyli wiele bezowocnych konferencji w pałacu i znaczący był fakt, że nikt nie kwestionował obecności Shanneta. Prezydent był również; obgryzał paznokcie i nerwowo trącał dywan kółkami ostróg, ale nikt nie zwracał na niego uwagi. Prezydent i de Villega nadal mieli na sobie wspaniałe uniformy, które włożyli z okazji przeglądu wojsk, jaki odbył się rano.

Shannet krążył po pokoju z nieodczynnym, zwiotczalym i nie zapalonym papierosem, przyklepionym do dolnej wargi. Niegdyś białe płócienne ubranie było poplamione i niechlujne. Rzadko zakładał on czyste ubranie, ale nikt nie zdawał się tego zauważać. Włosy jak zwykle opadały mu na prawe oko.

Od poprzedniego dnia Shannet musiał wiele przemyśleć. Zaskakujący telegram od Camparda, przypisujący wojnę gangowi przestępczemu, już dotarł i Shannet odpowiedział podając żądane informacje. Przekazał sugestie swego pracodawcy ministrowi spraw wewnętrznych, zwracając uwagę na niewątpliwie bezprawne zachowanie się Sheridana i tego drugiego. Jednak myśl, że dwóch zwykłych przestępców mogłoby zorganizować wojnę, wydawała się nie do przyjęcia. — To absurd — stwierdził. — Są zwykłymi przestępcami. Dwaj ludzie nie tworzą gangu. We właściwym czasie ich pojmiemy, Sheridan zostanie uwięziony, a Mussoliniego powiesimy.

Shannet, zapytany o nazwisko mężczyzny, który na niego napadł, odparł oburzony: „Powiedział mi, że nazywa się Benito Mussolini!”. Od tamtej pory wielokrotnie usiłował przekonać urzędników, że to nieprawda. Myśl ta zapadła im tak głęboko w pamięć, że Shannet musiał się poddać. Teraz wpadł na pomysł.

— Czy nie należałoby przesłuchać tego *peóna*? — nalegał. — Wyślij po *peóna*, który ściągnął na nas te nieszczęścia i przesłuchajmy go.

— Mam lepszy pomysł — wykrzyknął de Villega podskakując. — Jutro wyślę go na garotę, aby dać dobry przykład innym. Ludziom ten spektakl się spodoba i zachęci do zaakceptowania proklamacji o poborze do wojska. Zrobię święto.

Shannet też wpadł na doskonały pomysł. W nagłym błysku wyniósł się ponad prymitywny i prostacki pomysł posłania po *peóna* oraz zmuszenia go do zeznań. Nie interesowała go sadystyczna wariacja de Villegi na ten sam temat. Teraz dostrzegł lepsze rozwiązanie.

ROZDZIAŁ IX

Shannet szybko przedstawił swój pomysł pozostałym. Był on tak prosty, jak wszystkie wielkie pomysły.

Teraz całkowicie utwierdził się w przekonaniu, że Sheridan i ten Obcy byli przyczyną wszystkich kłopotów. Przekonanie jego zostało jeszcze wzmocnione po stwierdzeniu, że od czasu ich ucieczki nie natknięto się nawet na ich najmniejszy ślad, chociaż zarówno policja, jak i wojsko uczestniczyły w poszukiwaniach. Niektóre słowa, wypowiedziane przez Obcego przed i po ręcznej wymianie argumentów, powróciły do Shanneta z oślepiającą jasnością. Wszystko do siebie pasowało.

W pobliżu znajdował się klucz do pułapki, w jakiej się znalazł. Wiedział, że tylko ten Obcy mógłby zmienić bieg wydarzeń. To był pomysł Camparda, ale Shannet miał większe niż jego pan możliwości wprowadzenia go w życie; odpowiedni argument znajdował się w zasięgu jego ręki.

Lilla McAndrew.

To ona była jego asem. Sheridan, o czym wiedział, był w niej zakochany, a jednocześnie był też ważnym wspólnikiem Obcego. Mając Lillę McAndrew jako zakładniczkę, mógł śmiało dyktować warunki.

— Znam powody! — gwałtownie wyrzucił z siebie Shannet, przeklinający równocześnie swoją ograniczoną znajomość języka hiszpańskiego, która uniemożliwiła mu wbicie swoich pomysłów do tych tępych głów z większą mocą.

— Znam dobrze *Señora* Camparda. Pracuję dla niego od lat. Być może zabrzmiało to fantastycznie, lecz wiem, że nie jest on człowiekiem, którego łatwo można przestraszyć. Gdybym to ja mu zasugerował, że ci dwaj mogli wywołać wojnę, mógłby mnie wyśmiać. Ale to on sam, osobiście mnie o tym poinformował. Najwyraźniej musi wiedzieć coś, o czym my nie mamy pojęcia.

— Wydaje mi się, że wszyscy poszaleli — powiedział de Villega bezradnie. — Ale rób, co

chcesz. Przynajmniej nam to nie zaszkodzi. Ostrzegam cię jednak, że robisz to na własną odpowiedzialność. *Señorita* McAndrew jest brytyjskim poddanym i ktoś może się tą sprawą zainteresować. Wówczas wyprę się jakiegokolwiek wiedzy na ten temat i jeśli władze tego zażądata, zostaniesz im wydany.

Świadczyło to o spadku autorytetu Shanneta od chwili wypowiedzenia wojny, za co de Villega był skłonny go winić, lecz ten nie dbał o to.

— Zaryzykuję — powiedział i zniknął.

Na pałacowym dziedzińcu cierpliwy żołnierz, jeden z tych, co zostali dla ochrony pałacu, trzymał konia za wodze. Shannet wdrapał się na siodło i pogalopował przez otwartą dla niego przez wartownika bramę.

Najpierw udał się do obskurnej kafejki na krańcu miasta, gdzie mógł znaleźć potrzebnych mu ludzi. Wziął dwóch. Nazywali siebie przewodnikami, ale w rzeczywistości byli rzezimieszkami półkrwi, zdolnymi nie tylko do morderstwa. Shannet już wcześniej korzystał z ich usług.

Wyjaśnił, o co mu chodzi, i wyjął pieniądze. Nie było wahania. W dziesięć minut później cała trójka wyjechała z miasta.

Kelly również pomyślał o tej możliwości, lecz za późno; nadal znajdowali się 20 mil od miasta.

W pałacowej łazience prezydenta Święty spokojnie kończył ubierać się w czysty strój, jaki tam znalazł. Ubranie pasowało na niego jak ulał.

Tymczasem opuszczeni przez Shanneta rozmówcy przeżywali niemiłą niespodziankę.

— Na Boga! — grzmiał de Villega. — W jaki sposób ten *peón* zdołał uciec?

— Ekscelencjo — tłumaczył się zmieszany komendant więzienia — to było w czasie sjesty. Ten człowiek upadł jęcząc i wijąc się, jakby miał umrzeć. Strażnik chciał mu pomóc, wówczas on złapał go za gardło tak mocno, że strażnik stracił przytomność, a następnie został związany i zakneblowany. Zaskoczył też wartownika przy bramie i uderzył go na sposób Anglików...

De Villega wykrzyknął.

— Co to znaczy, ty wieprzu, na sposób Anglików?

Komendant zademonstrował opisany przez wartownika cios. Był to w istocie zwykły lewy sierpowy i żaden Latynos tak nie uderzał.

— Jakiego rodzaju człowiekiem był ten *peón*? — dopytywał się Don Manuel, a w jego umyśle zaczęło się budzić zrozumienie.

— Ekscelencjo, jak na *peóna* był wysoki, a do tego był silny jak lew. Gdyby się umył, byłby całkiem przystojny, z arystokratycznym nosem, jakiego człowiek jego stanu nie mógł otrzymać legalnie. Poza tym miał bardzo białe zęby i błękitne oczy...

— Błękitne oczy! — mruknął de Villega oszołomiony, ponieważ dla Latynosów wszyscy Anglicy są niebieskoocy.

Obrócił się do komendanta w nagłym ataku wściekłości.

— *Carajo!** — wrzasnął. — Idioto, ty nawet nie wiesz, komu pozwoliłeś przemknąć między twoimi parszywymi paluchami! Czy nie wiesz, kogo miałeś u siebie przez te trzy dni?

Uderzył pięścią w stół, a komendant zadrżał.

— Czy nie potrafiłeś go rozpoznać, ty zezowata padlino? — skrzeczał. — Czyż nie wiedziałeś, że nie jest on prawdziwym *peónem*! Mój Boże, czy nie słyszałeś o tym banicie Benito Mussolinim, którego *rurales* szukali na próżno, a któremu ty udzieliłeś schronienia w więzieniu tuż pod moim nosem?

— Jestem ślepym robakiem, ekscelencjo — kajał się taktownie komendant, który wiedział, że jakakolwiek próba wytłumaczenia się tylko bardziej rozżłości ministra.

De Villega przechadzał się nerwowo po pokoju. Teraz uwierzył Shannetowi, jego sprytniej i daleko idącej teorii, która z początku wydawała mu się absurdalna. Wiadomość o ucieczce więźnia i wystarczające w opinii Don Manuela dowody jego tożsamości były niepodważalnym dowodem

prawdziwości tej fantastycznej historii.

— Trzeba go natychmiast schwycić! — rozkazał de Villega. — Każdy *guardia* w Santa Mirinda będzie go szukał bez wytchnienia, dzień i noc. Do polowania należy też włączyć *peónów*. Skarb państwa wypłaci nagrodę w wysokości 5000 pesos temu, kto dostarczy go do mnie żywego lub umarłego. A jeśli chodzi o ciebie, fajtłapo — dodał zwracając się z nową falą złości do komendanta więzienia — to jeżeli Sancho Quijete, czy Benito Mussolini, jak sam się nazywa, nie zostanie dostarczony tu w ciągu 12 godzin, to wtrączę cię do więzienia, byś tam gnił do chwili jego odnalezienia.

— Sam osobiście przekażę rozkazy, ekscelencjo — rzekł komendant, zadowolony z pretekstu do ucieczki.

Wycofywał się w ukłonach, a gdy zamknął drzwi, Święty chwycił go od tyłu i pozwolił, by czubek jego małego noża dotknął jego gardła.

— Ani słowa — powiedział i uniósł go do góry.

Komendant, wciąż z nożem na gardle, zanesiony został do sypialni. Święty położył więźnia na podłodze, usiadł na jego głowie i porwał prześcieradło na pasy, którymi go dokładnie związał i zakneblował.

* *Carajo* (hiszp.) — przekleństwo

— Zwolnię cię, gdy tylko rewolucja się skończy — obiecał Święty, kłaniając się z ironią.

Następnie wrócił i wszedł cicho, zamykając za sobą drzwi. De Villega wypisywał ogłoszenie o nagrodzie. To prezydent pierwszy zauważył obecność intruza i wydał okrzyk zaskoczenia.

Don Manuel spojrzał i zaklął. Skoczył na równe nogi, przewracając kałamarz i krzesło, jak gdyby nagle poraził go prąd elektryczny.

— Kim pan jest? — spytał łamiącym się głosem, chociaż domyślał się odpowiedzi.

— Znasz mnie pod nazwiskiem Benito Mussolini lub Sancho Quijote — powiedział Święty. —

Moi przyjaciele i wrogowie czasami nazywają mnie *El Santo*. To ja jestem ojcem rewolucji. Oparł się leniwie o drzwi, odrzucił głowę, ręce oparł niedbale na biodrach. Znowu był sobą, czysty i świeży, ogolony i wykąpany, z włosami gładko zaczesanymi do tyłu. Ubranie zaś, jak ocenił, pasowało doskonale. Święty posiadał bezcenny dar; wyglądał świetnie w każdym ubraniu. Jednak niewiele rzeczy bardziej harmonizowało z jego charakterem i osobowością niż ten strój, który podarował mu przypadek.

Koszula z długimi, obszernymi rękawami, stopniowo rozszerzające się ku dołowi spodnie, czerwona szarfa. Święty nosił ten romantyczny kostium ze wspaniałą piracką miną, poruszał się z niedbałą i agresywną elegancją, z uśmiechem na ustach.

Minęła dłuższa chwila, zanim minister otrząsnął się z transu

— Rewolucja?

De Villega mimowolnie powtórzył to słowo, a Święty się skłonił.

— To ja jestem rewolucją — stwierdził — i właśnie ją rozpocząłem. Dzięki moim staraniom armia opuściła Santa Miranda, a więc nikt nie pozostał do pokonania, oprócz paru urzędników, was i kilku *guardias*. Chociaż jestem wspaniały, nie mógłbym jednak walczyć z całą armią.

— Głupiec! — krzyknął Don Manuel głosem, który z trudem rozpoznawał jako swój własny. — Armia powróci, a wówczas ty zostaniesz rozstrzelany.

— Pozwól mi być innego zdania — rzekł Święty. — Armia powróci, to nie ulega wątpliwości.

Ale u władzy zostanie nowego gubernatora. Armia służy państwu, nie człowiekowi czy rządowi.

Oczywiście, po powrocie żołnierze będą mogli wzniecić nową rewolucję, by obalić rząd, jeśli będą tego chcieli. Ale nie sądzę, by tak postąpili, tym bardziej, że nowy rząd zamierza podnieść im żołd.

Zauważyłeś chyba subtelną różnicę. Próba przekupienia armii z okazji uchwalenia nowej konstytucji jest aktem łaski i wspaniałomyślności, i jako taki zyska uznanie.

— A ludzie? — spytał Don Manuel jakby we śnie.

— Czy będą was opłakiwać? — Nie sądzę. Gnębiliście ich podatkami, my damy im wolność.

Mogliby sami się wyzwolić, ale nie umieli tego rozpocząć. Teraz podążą za naszym przykładem.

Święty wyprostował się. Jego błękitne oczy z ironicznym błyskiem spoglądały to na ministra, to na prezydenta. Prawą dłoń wyciągnął rozkazującym gestem.

— *Señores* — rzekł. — Przyszedłem po waszą rezygnację. Prezydent wstał, ukłonił się i stanął na baczność.

— Moją natychmiast panu wypiszę, *señor* — powiedział spieszenie. — Jest oczywiste, że Pasala mnie dłużej nie potrzebuje.

Była to przemowa Jego życia i Święty złożył mu niski ukłon aprobaty.

— Dziękuję, ekscelencjo — rzekł z ironią.

— Półgłówek! — warknął de Villega za jego ramieniem. — Ja się z tym uporam!

Odsunął na bok prezydenta i obszedł stół.

U jego boku wisiała szpada, a przy pasie paradnego munduru znajdowała się kabura na rewolwer. Stanął przed Świętym, jedna dłoń spoczywała na gardzie szpady, a drugą unosił klapkę, zabezpieczającą kaburę. Jego ciemne oczy spotkały się z kpiącym wzrokiem Simona Templara.

— A więc rewolucja jest faktem? — spytał.

— Ja ją rozpocząłem — stwierdził Templar.

De Villega uniósł lewą dłoń, by pogłodzić wąsy.

— *Señor* — rzekł — całe dzisiejsze popołudnie siedzieliśmy w pokoju, którego okna wychodzą na przedni dziedziniec pałacu. Poza tym, jak panu wiadomo, jest Calle del Palacio. Jednak nie słyszeliśmy żadnego zamieszania. Czy ci ludzie, którzy właśnie zostali wyzwoleni, tak bardzo się cieszą, że zaniemówili?

— Kiedy się o tym dowiedzą — zapewnił Święty — odgłosy świętowania dojdą do waszych uszu.

Oczy de Villegi błysnęły pod czarnymi brwiami.

— A pańscy przyjaciele, *señor*? — dopytywał się. — Pozostali wyzwoliciele? Z pewnością otoczyli pałac, obezwładnili strażę bez alarmu czy jednego wystrzału?

Święty roześmiał się.

— Don Manuelu — rzekł. — Jesteś niesprawiedliwy. Powiedziałem, że jestem ojcem rewolucji.

Czy dziecko może mieć dwóch ojców? Sam tego dokonałem, Don Manuelu, a ty się upierasz, by mówić o moim prywatnym przedsięwzięciu jak o dziele setek ludzi. Czy nigdy mnie nie docenisz?

De Villega cofnął się.

— A więc — rzucił wyzwanie — ludzie nic nie wiedzą. Straże pałacowe nic nie wiedzą. Armia nic nie wie. Może mi powiesz, kto wie?

— My trzej — odparł beznamiętnie Święty. — Jak również moi dwaj przyjaciele, którzy organizowali tę wojnę. I komendant więzienia, którego pochwyliłem, gdy szedł wysłać *guardias* przeciwko mnie. To bardzo proste. Zamierzam przeprowadzić bezkrwawą rewolucję, ponieważ potępiam bezsensowne zabijanie. Wy złożycie tylko rezygnację, wyznaczycie nowy rząd na swoje miejsce i natychmiast wyjedziecie z Pasala, by nigdy tu nie wrócić. W przeciwnym razie spotka was śmierć.

Kabura była otwarta i palce de Villegi wsunęły się pod klapę. — I ty sam tego żądasz?

— Ja — rzekł Święty i skoczył na de Villegę w chwili, gdy ten wyjmował rewolwer.

Prezydent skoczył na pomoc, ale było już po wszystkim. Rewolwer wypalił dwukrotnie nie raniąc nikogo, bo kule trafiły w podłogę, a następnie upadł głośno na podłogę, gdyż uchwyt Świętego stał się zbyt bolesny, by de Villega mógł to wytrzymać.

Święty rzucił go prosto w ramiona prezydenta, a gdy tak leciał do tyłu, jego szpada wysunęła się z pochwy i została w dłoni Świętego. Prezydent sięgnął po rewolwer, gdy Święty przyłożył mu szpadę do piersi.

— Rzuć broń! — rozkazał Simon.

Prezydent posłuchał.

Templar przyparł obu mężczyzn do ściany, szybko się obrócił i przy pomocy szpady podniósł oba rewolwery z podłogi za osłony cynгла. Z rewolwerami nadzianymi na szpadę obrócił się ponownie, by ich powstrzymać.

Przez otwarte okna dochodziły okrzyki straży pałacowej, a odgłos biegnących nóg rozległ się na korytarzu.

Święty błyskawicznie zdjął rewolwery ze szpady i ujął je w obie dłonie. Trzymał w szachu ich właścicieli, pewny, że nie chybi.

Strzały oddane przez de Villegę narobiły dużo szkody. Święty zakładał, że okaże się wystarczająco szybki, by pojmać de Villegę, zanim ten zdąży wyjąć broń z dość nieporęcznej kabury. Jednak nieco się przeliczył. Ale błąd można było jeszcze naprawić.

— Pan, ekscelencjo, do okna! — rozkazał ostro Święty przyciszonym głosem. — Pan zaś, de Villega, do drzwi! Uspokójcie strażę. Powiedzcie, że to prezydent rozładowywał rewolwer, gdy ten nieoczekiwanie wypalił. Prezydent powtórzy to samo strażnikom na dole.

Zniknął z pola widzenia za drzwiami, które zostały gwałtownie otwarte, ale nikt nie wątpił w groźbę użycia broni, nadal skierowanej w obu mężczyzn.

Prezydent już mówił do straży w dole. De Villega, z wściekle bezsilnym spojrzeniem rzuconym na nieprzyjazną broń wymierzoną w jego kierunku, wziął z niego przykład i przekazał zaproponowane przez Świętego wyjaśnienie strażnikom, którzy zgromadzili się w drzwiach.

— Teraz możecie odejść — zakończył. — Nic się nie stało. Ale pozostańcie w pobliżu.

Możemy was potrzebować.

Dodanie końcowego komentarza wymagało odwagi, ale de Villega uważał, że Święty nie zdradzi swojej obecności strzałem, o ile nie zostanie do tego zmuszony. Miał rację. Prezydent

odszedł od okna. Straż oddaliła się przepraszając za nagłe wtargnięcie i drzwi zostały zamknięte.

Święty zasunął zasuwę.

— Mądre zabezpieczenie, Don Manuelu — powiedział. — Chociaż nie sędzę, by to ci w czymkolwiek pomogło.

Wsunął rewolwer za pas i ponownie ujął szpadę. Była ona lepszą bronią do pilnowania obu mężczyzn niż mały nóż i znacznie cichszą niż rewolwery.

— Wasze rezygnacje lub życie, *señores* — powiedział żywo Święty. — Wezmę to, co dacie, ale muszę dostać jedną rzecz od razu.

De Villega usiadł przy stole, ale nie pisał. Rozpiął marynarkę, wyjął paczkę papierosów, zapalił i wypuścił duży obłok dymu. Usta wykrzywił mu ironiczny uśmiech.

— Mam co innego do zaoferowania, *señor* — stwierdził gniewnie — co być może bardziej będzie ci odpowiadać.

— *Es deciñ* — spytał Święty unosząc do góry brew.

De Villega zaciągnął się ponownie z przyjemnością i wypuścił podwójną smugę dymu nosem.

W jego złośliwym spojrzeniu widać było ślady triumfu.

— Jest jeszcze *Señorita* McAndrew — powiedział, a twarz Świętego nagle złagodniała.

— Co z nią?

— To *Señor* Shannet — rzekł de Villega, rozkoszujący się tą chwilą — pierwszy poddał myśl, że to pan za tym wszystkim stoi. Nie uwierzyliśmy mu, lecz teraz przyznaję, że jest on mądrym człowiekiem. Opuścił nas pół godziny temu, by wziąć ją jako zakładnika. Nie dał mi pan szansy wyjaśnić tego, kiedy weszła straż. Kazałem im jednak zostać w pogotowiu nie bez powodu. Mają czekać na moje wezwanie, gdy tylko się poddasz. Teraz moja kolej stawiać warunki. Przerwij tę wojnę i oddaj się razem ze współnikami w ręce sprawiedliwości, a ocalę *señoritę* McAndrew. W przeciwnym razie... — Don Manuel wrzucił ramionami. — Czyż mogę odpowiadać za czyny

Señora Shanneta?

Wstrząsnął nim gardłowy, szatański śmiech i uklonił się znieruchomiątemu Świętemu z gryzącą ironią. — Teraz moja kolej czekać na pańską decyzję, *Señor* — rzekł.

ROZDZIAŁ X

Święty oparł się na szpadzie.

Przeklinał swoją głupotę. Nigdy przedtem nie popełnił takiej gafy. Nigdy by nie uwierzył, że może przeoczyć tak oczywistą możliwość kontraktaku. Teraz umysł jego pracował na najwyższych obrotach, a on rozważał, kalkulował, oceniał i podsumował wszystko w nowym świetle, rzuconym na sprawę przez de Villegę. Twarz jego jednak niczego nie uzewnętrzniała.

— Skąd mogę wiedzieć, że dotrzymasz słowa? — spytał.

— Nie wiesz — odparł cynicznie de Villega. — Wiesz tylko jedno. Jeśli się nie zgodzisz, *señor* Shannet zemści się. Ja oferuję ci nadzieję.

A więc na tym wszystko się opierało. Prawdę mówiąc, ta propozycja nie wydawała się Świętemu zbyt atrakcyjna. Nic mu nie dawała poza możliwością skorzystania z honoru Don Manuela i wspaniałomyślności Shanneta, żadnej z nich nie mógł uznać za szczególnie interesującą. Poza tym dotyczyło to również Kelly’ego i Sheridan, których się nie radził. Oznaczało to również, że ostatecznie wszyscy troje zostaną z całą pewnością rozstrzelani i to niezależnie od tego, w jaki sposób de Villega postąpi z Lillą McAndrew, o którą prawdopodobnie upomni się Shannet i otrzyma w nagrodę za stłumienie rewolucji. Nie...

A gdzie są teraz Kelly i Sheridan? Święty obliczył szybko, biorąc pod uwagę wiek forda Kelly’ego i podły stan dróg między Esperanzą a Santa Miranda. Sprawdzając ponownie swoje kalkulacje doszedł do wniosku, że powinni się tu wkrótce pojawić. Mogą dowiedzieć się o porwaniu...

— A *señora* Kelly? — spytał Święty. — Co z nią?

De Villega wzruszył ramionami.

— Ona się nie liczy.

Tak, zostawią panią Kelly w spokoju, o ile jej nie rozstrzelają. Była osobą w średnim wieku, tęgą i uroda jej już przeminęła. Nikt więc nie chciał jej porywać. Tak więc Kelly i Sheridan dowiedzą się od niej o wszystkim po powrocie do domu.

A wówczas, co do tego nie miał najmniejszej wątpliwości, wówczas najadą na pałac pomimo obecności *guardias* i straży, z chęcią morderstwa w sercach.

Święty wyprostował się, a de Villega spojrział na niego z oczekiwaniem. Ale w postawie Świętego nie było nawet śladu rezygnacji. Zbliżył się do ministra i przyłożył mu szpadę do piersi.

— Powiedziałem, że przyszedłem po wasze rezygnacje — zauważył ze śmiertelnym spokojem.

— Nie rzucam słów na wiatr. A teraz pisz, de Villega, albo umrzesz!

— Głupiec! Głupiec! — wściekał się Don Manuel. — To ci nie pomoże!

— Zaryzykuję — rzekł lodowato Święty. — A ty nie mów tak głośno. Mógłbym sądzić, że chcesz zwrócić na siebie uwagę straży. Pisz!

Pchnął szpadę do przodu o pół cala i de Villega cofnął się z krzykiem.

— Czy chcesz mnie zamordować?

— Z przyjemnością — odparł Święty. — Pisz!

Wówczas zapadła głęboka cisza, wszyscy znieruchomieli i zaczęli nasłuchiwać. W dole na dziedzińcu rozległ się stukot kopyt końskich.

Święty skoczył do okna. Zobaczył tam trzy konie, trzymane przez strażników. Zobaczył

Shanneta i dwóch innych mężczyzn, którzy zsiadali z koni. Zobaczył również Lillę McAndrew ze związanymi rękami zdejmowaną z siodła.

Mógłby sobie głośno pogratulować nieustępliwej postawy. A jednak gdyby się nieco dłużej zastanowił, mógłby łatwo przewidzieć, że dziewczyna zostanie przywieziona do pałacu. Nie była

ofiarą samowoli Shanneta, tylko oficjalnym zakładnikiem. Nawet jeśli tego nie przewidział, stało się i nie mógł marzyć o czymś bardziej korzystnym. Widział, jak wszystkie asy wpadają mu w ręce.

Odwrócił się w porę, by uprzędzić cichy atak de Villegi i wzniesiona ręka ministra opadła.

Święty położył szpadę na podłodze i wyjął rewolwery zza pasa. Po raz drugi tego dnia stanął za otwierającymi się drzwiami. Ujrzał dziewczynę, wepchniętą brutalnie do pokoju, a za nią Shanneta, zamykającego za sobą drzwi.

— Jak to miło się znowu spotkać, złotko! — wycedził Święty, a Shannet obrócił się z przekleństwem.

Święty oparł się o ścianę, z rewolwerami ministra i prezydenta w dłoniach. Na ustach jego gościł szeroki uśmiech.

— Ręce od siebie, Shannet, mój skarbie! — ciągnął Święty, śmiejąc się na głos. — Jesteś na muszce i nawet gdybym nie był zbyt przyzwyczajony do tych zabawek, ciężko by mi było spudłować z takiej odległości. Teraz lepiej. Och, Shannet, ty moja słodka i piękna kreaturo. Jesteś niegrzecznym chłopcem, straszysz to dziecko. Zdejmij więzy z jej rąk, mój aniele. Nie, *señor de Villega*, niech pan nie zbliża się do szpady. Sam mogę za chwilę jej potrzebować. *Gracias!* ... Czy tak ci wygodniej, Lilla, kochanie?

— Och! — wykrzyknęła dziewczyna. — Dzięki Bogu, że pan tu jest! A gdzie Archie?

— W drodze, moja droga, w drodze, jak mawiała aktorka do biskupa — odparł Święty. — Czy dobrze się czujesz?

Zadrzała lekko.

— Tak, wszystko w porządku — rzekła. — Tylko to dotknięcie tych brudnych rąk. Bardzo się bałam...

— Archie coś z tym zrobi, gdy tylko wróci — zauważył Święty. — To jego sprawa i nigdy by

mi nie wybaczył, gdybym się wmieszał. Chodź do mnie, kochanie, i trzymaj się z dala od linii strzału, a ja zaopiekuję się tymi okazami. Nie jestem najlepszym strzelcem i wolałbym nie zwracać uwagi na to, do kogo strzelam.

Skierował ją do bezpiecznego kąta i zwrócił się do Don Manuela.

— Kiedy nam przerwano — rzekł Święty — pan pisał. Przyczyna zakłócenia została usunięta.

Może pan kontynuować, *Señor!*

De Villega powrócił do stołu, cała wojowniczość go opuściła. Nigdy by nie przypuszczał, że może go spotkać tyle nieszczęść na raz. Było to tak zaskakujące, jakby śnił jakiś sen czy może raczej koszmar. Nie było jednak nic nierealnego w wycelowanym w niego rewolwerze. Jedynym zaskakującym elementem tej katastrofy był człowiek, który to wymyślił, sam Święty, w tym niezwykle pożyczonym ubraniu i z szatańskim błyskiem w roześmianych, błękitnych oczach. Była to ostatnia gorzka pigułka, jaką de Villega musiał połknąć. Być może mógłby pokonać człowieka, którego potrafił zrozumieć — przebranego, złowieszczego konspiratora o niezwykle ponurej osobowości. Ale ten roześmiany lunatyk... *Que diablos**. To niemożliwe...

Wówczas na zewnątrz rozległ się wiercący, przenikliwy, metaliczny grzechot, który mógł pochodzić tylko z jednego źródła na świecie.

— Szybko! — rzekł Święty. — Przebiegnij za Mister Shannetem, Lilla, i wyciągnij mu tego gnata z kieszeni. Tak, dobrze... Czy mogłabyś ich trochę popilnować, podczas gdy ja przywołam odwody? Strzelaj do każdego, kto się ruszy.

* *Que diablos!* (hiszp.) — do diabła

Dziewczyna trzymała pistolet Shanneta tak, jakby stanowił przedłużenie jej dłoni. Święty skinął z zadowoleniem i podszedł do okna.

Ford Kelly'ego zatrzymał się na dziedzińcu, a zarówno Kelly, jak i Sheridan też tam byli. Kelly właśnie pozbył się strażnika, który miał czelność wątpić w jego prawo parkowania w tym miejscu.

— Wejdźcie, chłopcy — zawołał do nich wesoło Święty. — Przybyliście na czas, by być świadkami abdykacji rządu.

— Czy nie widziałeś Lilli? — spytał oszalały z niepokoju Sheridan. Święty uśmiechnął się.

— Jest tutaj, bezpieczna, synu.

Za plecami rozległ się wystrzał z pistoletu, który skłonił go do gwałtownego obrotu.

Gdy Święty odwrócił się tyłem, a jego zwycięstwo stało się faktem, Shannet postawił wszystko na jedną kartę, nie wierząc w opanowanie i determinację dziewczyny, która przez chwilę trzymała ich los w swoich małych dłoniach. Podczas gdy uwaga Lilli McAndrew była nieco rozproszona z powodu niepohamowanej chęci usłyszenia Archiego, on podsunął się bliżej, skoczył, by ją złapać i... przeliczył się.

Święty zatrzymał się nad nieruchomą postacią i szybko ją zbadał, potem wyprostował się wzruszając ramionami i ponownie wziął pistolety, gdy pierwszy strażnik wpadł do pokoju.

— Spokojnie, *amigos* — rozkazał. Oni zaś, zobaczywszy nagłą śmierć w jego dłoniach, zatrzymali się.

Po chwili tłum znowu zafalował, ustępując przed oszalałym Archiem Sheridanem, który usłyszał strzał w trakcie wbiegania po schodach. Tuż za nim podążał Kelly, przebijając się jak byk, a jego ognista głowa górowała nad strażnikami.

— Wszystko w porządku, Archie! — zawołał Święty. — To Shannet oberwał.

Ale Lilla McAndrew już znajdowała się w ramionach Archiego Sheridana.

— Tutaj, Kelly — rzucił Święty. — Skończmy z tym. Zabierz broń i zrób porządek ze strażą, a ja pozbędę się rządu.

Kelly odebrał rewolwery, a Święty podniósł szpadę z podłogi. Podszedł do prezydenta i de Villegi, którzy stali jak sparaliżowani obok stołu.

— Czy już napisaliście? — spytał uprzejmie.

De Villega podał mu kartkę papieru. Święty przeczytał ją i zwrócił.

— Zapomniał pan wyznaczyć waszych następców — zwrócił uwagę. — To będzie *señor* Kelly i ludzie przez niego powołani. Napisz raz jeszcze.

— Chwileczkę — rzucił Kelly, z oczami utkwionymi w niespokojnych strażników. — Nie mam ochoty zostać prezydentem, to zbyt ryzykowne. Wolę być ministrem spraw wewnętrznych.

Prezydent może pozostać, jeśli zachowa się odpowiednio.

Prezydent skłonił się.

— Jestem zaszczycony, *señor* — zgodził się natychmiast.

— Więc to napisz — rozkazał Święty, co też zostało zrealizowane.

Święty wziął do ręki dokument i zwrócił się do straży.

— Na mocy tego aktu — powiedział — prezydent zwalnia z obowiązków *señora* Manuela Concepcion de Villega, ministra spraw wewnętrznych, oraz cały gabinet, a na jego stanowisko mianuje *señora* Kelly. Aby to uczynić, *señor* Kelly w ciągu kilku dni ogłosi zniesienie licznych podatków, które was tak bardzo gnębiły. Teraz weźcie ten dokument i wydajcie go w odezwie do wolnych obywateli Republiki Pasala. Dzień jutrzejszy zostanie ustanowiony świętem państwowym, również dlatego, że nie mamy wojny z Maduro. Była to plotka rozpuszczona przez osoby, które miały w tym swój osobisty cel. Dopilnuję, aby do *Estados Unidos* został wysłany *radiógrafa*, który wyjaśni, że mogą już odwołać swój okręt wojenny. A teraz możecie się rozejść, *amigos*.

Przez chwilę panowała cisza: Kiedy zaś pełne znaczenie przemowy Świętego do nich dotarło, w pokoju rozległy się nie milknące okrzyki: *Viva!*

Kiedy Kelly wyprosił wiwatujących strażników na korytarz i zamknął im drzwi przed nosem, Święty przypomniał sobie o czymś, otworzył drzwi i posłał po komendanta więzienia.

Sprowadzono go szybko.

— *Señor* — rzekł Święty. — Proszę przyjąć przeprosiny za sposób, w jaki przed chwilą pana potraktowałem. Było to jednak konieczne. Teraz rewolucja już się skończyła i jest pan wolnym człowiekiem. Proszę nie mieć mi za złe tego, co zrobiłem, chociaż zamierzam nalegać, by pan zdezynfekował swoje więzienie. Wyjaśnił krótko sytuację, a komendant więzienia skłonił się nisko.

— To nic, *ilustrisimo señor* — powiedział. — Gdybym jednak wiedział, kogo mam zaszczyt gościć, wówczas dopilnowałbym, abyś wasza miłość otrzymał odpowiednie pomieszczenie. Może następnym razem.

— Niech Bóg broni — zarzekł się Święty poważnie. Potem odwrócił się i wskazał przerażonego de Villegę.

— Zabierz pan tego człowieka — polecił. — Ma on opuścić Pasala najbliższym statkiem, a do tego czasu ma być pilnie strzeżony. Prawdopodobnie będzie usiłował wywalczyć albo wykupić swoją wolność. Mogę na to powiedzieć tylko jedno. Jeśli nie zostanie mi tu dostarczony na wezwanie, wówczas pan i pańscy ludzie odpowiecie za niego głową.

— To zrozumiałe, *señor*.

Kelly obserwował odejście komendanta i jego więźnia z otwartymi ustami. Kiedy zaś zniknęli, spojrzął na Świętego pytająco.

— Słuchaj — powiedział, jakby nagle uderzyła go ta myśl — a gdzie ta cała walka, jaką mi obiecywałeś?

Święty uśmiechnął się.

— Nie ma walki — powiedział. — Miałem nadzieję, że tak się stanie, że będzie to bezkrwawa rewolucja. Została ona przedsięwzięta w imieniu sprawiedliwości, by wymierzyć karę, której prawo nie mogło wyegzekwować i doprowadzić do bankructwa człowieka, znajdującego się przeszło 6000 mil stąd, w Londynie. On sam zrujnował tysiące ludzi, a prawo było bezsilne.

Postanowiłem więc wziąć sprawę w swoje ręce. Twoim pierwszym obowiązkiem jako ministra spraw wewnętrznych będzie anulowanie starej koncesji i wydanie nowej, uznającej tym razem roszczenia panny McAndrew i jej spadkobierców. Położył rękę na ramieniu Kelly'ego.

— Przykro mi, że cię rozczarowałem, synu, a jeśli masz ochotę na walkę, mogę sam z tobą stoczyć rundę lub dwie przed obiadem. Musiałem jednak tak to rozegrać. Każdy inny rodzaj rewolucji oznaczałby poświęcenie wielu istnień ludzkich, a tego, prawdę mówiąc, chciałem uniknąć.

Przez chwilę Kelly milczał, zaskoczony nagłą powagą Świętego. Potem wzruszył ramionami, roześmiał się i uścisnął dłoń Simona Templara.

— Nie powiem, że wiem, o czym mówisz — rzekł. — I nie bardzo mnie to obchodzi. Wydaje mi się, że warto było. Choćby tylko po to, by ujrzeć paskudną twarz de Villegi, kiedy wysłałeś go do więzienia. A poza tym taki roześmiany diablik, który potrafi działać tak jak ty, zasłużył sobie na to, by przeprowadzić sprawę po swojemu.

— Porządny z ciebie gość! — uśmiechnął się Święty. — Czy pani Kelly nic się nie stało?

— Była trochę przerażona, ale nic złego jej nie zrobili. Przywiązali ją do krzesła i zostawili.

Bała się tylko o Lillę. A to mi przypomina o telegramie, jaki zastałem w domu po powrocie. Jest on dla mnie całkowicie niezrozumiały. Może ty coś z tego zrozumiesz?

Kelly sięgnął do kieszeni i wyjął blankiet. Święty wziął go do ręki, jedno spojrzenie powiedziało mu wszystko.

— To od mojego agenta z Londynu — wyjaśnił. — Nie mógł go wysłać na nazwisko moje czy Archiego, ponieważ w razie wpadki zostałby przechwycony.

Znał prawie bezbłędnie kod i mógł od razu podać rozszyfrowany tekst.

Pops na dnie. Wszedłem na 12 tys...

Święty czytał:

Akcje Pasala Oil Products spadły gwałtownie. Zarobiliśmy 12 tys. funtów. Dziś rano Campard popełnił samobójstwo.

Pod spodem widniał podpis Rogera Conwaya.

— Archie — zawołał Święty w zamyśleniu, a potem powtórzył. — Archie!

— Już dawno dali stąd nogę — powiedział Kelly. — To bardzo miła dziewczyna, ta Lilla McAndrew.

I to było wszystko. Do wieczora.

A o zmierzchu Święty wyszedł i udał się na wędrowkę po licznych kawiarniach. W każdej z nich stawiał wszystkim alkohol. Oni zaś nie rozpoznali go, dopóki nie zaczął śpiewać obcej, barbarzyńskiej pieśni, której nikt nie mógł zrozumieć. Ale pieśń rozpoznali. Słyszeli ją już wcześniej, śpiewaną przez pewnego *peóna*:

„Dzwony Piekła dzwonią dzyń, dzyń,

Dla ciebie, ale nie dla mnie

Bo dla mnie śpiewają anieli w głos,

To dla mnie mają wszystko dobre...”

Po dzień dzisiejszy można usłyszeć wieśniaków Santa Mirandy, śpiewających tę pieśń. Jeśli ich spytasz, dlaczego ją śpiewają, wówczas odpowiedzą ci z uprzejmym zdziwieniem wywołanym twoją niewiedzą: — To, *señor*, jest jedna z pieśni wolności.

CZEŚĆ III

CZŁOWIEK, KTÓRY NIE MÓGL UMRZEĆ

ROZDZIAŁ I

Patrycja Holm uniosła swoją jasną, ładną główkę znad Timesa”.

— Co to znaczy — spytała — *obiter dictum**?

— Jest to odmiana zarazy pyska i racic — odparł Święty wymownie. — *Obiter* to ten, kto

uczestniczy w pamiątkowej uroczystości żałobnej; dictum — gors koszuli. Z łaciny. To bardzo trudne.

— Jesteś niepoważny — odparła dama.

Święty uśmiechnął się i odsunął krzesło. Śniadanie było skończone. Blask letniego słońca wpadał przez otwarte okna do komfortowego pokoju. Pierwszy, najlepszy papieros dnia tkwił pomiędzy uśmiechniętymi wargami Świętego, który był w zgodzie z całym światem,

— A co to za pasjonujące wiadomości? — dopytywał się leniwie. Podała mu gazetę. Jak to zwykle bywa, sprawa, która wywołała to pytanie, była błaha. A jednak zainteresowała ona Świętego. Simon Templar zawsze doprowadzał do rozpaczy swoich przyjaciół, oczekujących z jego strony inteligenckiego komentarza na temat aktualności dnia. Czytanie gazet nie tylko niezmiernie go nudziło, ale często zadawało mu wręcz fizyczny ból. Przerzucał tylko wzrokiem gazetę, kiedy miał na to ochotę. Zazwyczaj też udawało mu się uzyskać więcej informacji od jednego rzutu okiem, niż pilny, systematyczny student wycinków prasowych zdobywa po latach codziennej lektury. Tak było i tego ranka. Był to oczywiście przypadek, ale czy przygoda może być wolna od zbiegu okoliczności? Przypadki zawsze się zdarzają i jest to ich cecha charakterystyczna. Przygoda zaś rodzi się z tego, co człowiek uczyni z takimi przypadkami. Większość ludzi powiedziałyby: „Jakie to dziwne!”.

Simon Templar powiedział:

— No cóż, dobrze.

Tak naprawdę to „The Times” nie miał tego poranka nic ekscytującego do przekazania, zaś z całą pewnością kolumna czytana przez Patrycję była najbardziej trzeźwą ze wszystkich kolumn tej wielce szacownej gazety, ponieważ zamieszczano tam takie wiadomości, jak *Pater familias*, *Pułkownik (w stanie spoczynku)*, *Pro Bono Publico*, *Matka Dziesięciorga Dzieci* do trzeciej i czwartej generacji. Abraham i jego potomstwo zawsze rozpuszczające swoje plotkarskie języki na

całym świecie. Gentleman („konserwatysta”), który włączył do swojej wypowiedzi *obiter dictum*, poruszył temat kierowców. Był to czysty przypadek, że napisał artykuł nawiązujący do ostatniej sprawy związanej z niebezpieczną jazdą, gdzie oskarżonym był człowiek, który właśnie zaczął budzić zainteresowanie Świętego.

— Aha! — stwierdził zamyślony Święty.

— Nie spotkałeś jeszcze chyba tego człowieka, Milesa Hallina? — spytała Patrycja. — Słyszałam, że wymieniłeś jego nazwisko.

— I to wszystko, z czym się do tej pory zetknąłem — odparł Święty. — Ale spotkałem faceta, który nie mówi o nikim innym jak tylko o Milesie. Uważam jednak, że w tym świetle nie jest on tak ekscytujący, jakby się wydawało.

Prawdę mówiąc, spotkał on Nigela Perry dopiero przed dwoma tygodniami. Simon Templar, przebywający w klubie w Piccadilly, który z nieznanego powodu pozwala mu być swoim członkiem, stwierdził, że jest bez chusteczki. Ponieważ było to istotne niedopatrzenie, udał się do odpowiedniego sklepu, nie troszcząc się o zabranie z sobą kapelusza. Reszta historii, stwierdził, to

* *Obiter dictum* (łac.) — nie wążąca opinia sędziego

wina Moyny Stanford. Święty kupił chusteczkę i sprzedawca udał się do kasy, kiedy weszła Moyna Stanford, podeszła do Świętego i spytała, czy mógłby pokazać jej krawaty. Moyna Stanford była osobą, na którą patrzyło się z przyjemnością, zaś w sklepie eksponowano duży wybór krawatów; Święty nie mógł przepuścić podobnej okazji. Zaprezentował jej kilkanaście krawatów. Później powrócił sprzedawca. Było nieco zamieszania. Ostatecznie wspólnie zjedli lunch. Ale bez sprzedawcy krawatów.

Dalszy ciąg historii, opowiedanej Patrycji przez Świętego, był prawdziwy. Spotkał Nigela Perry i polubił go z miejsca. Był to wysoki, ciemnowłosy i pogodny młodzieniec z uśmiechem za milion dolarów i dwucyfrowym kontem bankowym. To ostatnie Simon odkrył nieco później. Z drugiej

strony, to nieco później nie było aż tak bardzo później, ponieważ Nigel Perry nie miał w sobie nic z kompleksu niższości. Z pociągającą prostotą mówił o sobie, swojej pracy i możliwościach, o swoich idolach. Jego idolami w tym momencie były dwie osoby: Moyna Stanford i Miles Hallin. Jest bardzo prawdopodobne, że Simon Templar został do tej listy dołączony i być może ostatecznie zajmował pierwsze miejsce na liście po stronie panów. Jednak w trakcie tego spotkania Miles Hallin dzierżył prym.

Święty znał nazwisko Hallina i zainteresował się historią opowiedzianą przez Nigela Perry, ponieważ takie historie zawsze interesowały Świętego. Przy śniadaniu w cieniu nieistotnego *obiter dictum* Simon wyjaśniał:

— Hallin jest oczywiście znacznie starszy. Nigel miał brata, który był rówieśnikiem Hallina. Wiele lat temu Hallin i starszy Perry byli poszukiwaczami w jakimś przez Boga zapomnianym zakątku pustyni australijskiej. Co więcej, znaleźli tam prawdziwe złoto. W tym samym czasie odkryli, że jedna z baryłek wody przecieka i wody pozostało im tylko tyle, by jeden z nich mógł wrócić do cywilizowanego świata. Rzucali monetę i po raz pierwszy w życiu Hallin przegrał. Uścisnęli sobie dłonie i Perry udał się w drogę. Kiedy Perry dawno już odszedł, Hallin stwierdził, że jeżeli będzie siedział na żyłce złota w oczekiwaniu na śmierć, to zwariuje. Spakował więc swoje manatki i udał się w innym niż Perry kierunku. Oczywiście natknął się na wodę, potem znowu ją znalazł i tak udało mu się wyjść z tej pustyni. Ale Perry nie wyszedł. Po prostu było to szczęście Hallina.

— A co stało się ze złotem?

— Hallin zarejestrował działkę. Kiedy wrócił do Anglii, odszukał młodego Nigela i nalegał, aby ten przyjął połowę udziału. Nie było tego dużo, kilka tysięcy dolarów, jak sądzę. Złoże wyczerpano i kopalnia została zamknięta. Jednak Hallin postąpił uczciwie. Biorąc to wszystko pod uwagę, nie możesz się dziwić, że Nigel go wielbi.

Jednak mówiąc to Święty zmarszczył brwi. Posiadał zawodową próżność i jakaś część tej próżności reagowała niechętnie na Milesa Hallina, którego sensacyjny dziennikarz nazwał kiedyś „człowiekiem, który nie może umrzeć”.

— Czyżbyś był zazdrosny? — droczyła się z nim Patrycja.

Święty skrzywił się.

— Nie wiem — stwierdził.

Ale wiedział doskonale. Miles Hallin pojawił się i Miles Hallin zepsuł ten piękny poranek.

— To mnie drażni — rzekł Święty, a Patrycja od razu pomyślała, że był on absurdalnie drażliwy. — Nikt nie ma prawa posiadać takiej reputacji,

— Nie słyszałam ani słowa przeciwko niemu.

— A czy słyszałaś coś przeciwko mnie?

— Wiele rzeczy.

Simon uśmiechnął się roztargniony,

— Tak, wiem. Ale czy ktoś kiedykolwiek nazywał mnie człowiekiem, który nie może umrzeć?

— Nigdy o tym nie słyszałam.

— Nie jest to kwestia słuchania — stwierdził Święty. — Ten facet Hallin jest czymś w rodzaju instytucji publicznej. Wszyscy wiedzą o jego szczęściu. Gdyby się tak zastanowić, to miałem więcej szczęścia niż ktokolwiek inny i zawsze byłem bardziej znany, niż Hallin będzie kiedykolwiek, a jednak nikt nigdy nie rozpływał się nad moim prawem do nieśmiertelności,

— Można było o tobie powiedzieć wiele innych rzeczy.

Święty westchnął. Był nadal zamyślony.

— Wiem — powiedział. — Ale mam przecucie, kochanie. Pozwól mi na wstępie wyjaśnić; że absolutnie nic nie mam przeciwko Hallinowi. Nigdy nie słyszałem o nim złego słowa czy skierowanego na niego podejrzenia. Nie znam nawet jednego faktu, na którym mógłbym oprzeć

swoje podejrzenie. A teraz powiem ci subtelny kawał do śmiechu. Dlaczego ktoś przechwala się, że nie może umrzeć?

— On się nie przechwala.

— No cóż, zastanawiam się... Ale z pewnością zapracował sobie na to miano i nigdy nie pozwoli, by o tym zapomniano. On na tym bazuje i stara się wykorzystać do końca. A teraz opowiem ci jeszcze subtelniejszy żart Brzmi on następująco: „Bo kto zachowa swoje życie, utraci je...”.

Patrycja spojrzała na niego z ciekawością. Gdyby nie знаła go tak dobrze, byłaby zniecierpliwiona. Ale ona znała go bardzo dobrze. Powiedziała więc:

— A więc posłuchajmy, o czym myślisz, mój chłopcze. Nie rozumiem twoich zagadek.

— A ja nie zawsze mogę dać ci odpowiedź — rzekł Święty. Odchylił się do tyłu wraz z krzesłem, zaciągnął mocno papierosem i spojrzał na sufit poprzez obłok dymu.

— Przeczucie — powiedział Święty — nie daje się łatwo wyjaśnić słowami. Słowa są brutalnie logiczne, a przeczucie to odwrotność logiki. Przeczucie jest więc na swój sposób tajemnicą, na którą nie znamy odpowiedzi. Kiedy już poznamy odpowiedź, nie jest to odpowiedź na zagadkę czy przeczucie. Jest to koniec historii. Nie wiem, czy się wyraziłem dość jasno.

— Nie — stwierdziła Patrycja.

Święty wydmuchnął trzy kółka dymu, tak jakby miał coś przeciwko nim.

— Moim ogromnym nieszczęściem, skarbie — zauważył skromnie — jest to, że jestem całkowicie i przeraźliwie przytomny. A świat, w którym żyjemy, przytomny nie jest. Wszystkie szaleństwa świata martwią mnie ogromnie, bez wyjątku, po jednym w danej chwili. Ale teraz, w podeszłym wieku, jestem bardziej spostrzegawczy. Połowa wiadomości w tej gazecie, której nigdy nie czytam od deski do deski, o czym cię z zadowoleniem informuję, jest prawdopodobnie zamachem na zdrowy rozsądek. Jeśli zaś weźmiesz taki szmatławiec jak „Daily Record”, wówczas

98% materiału drukowanego sprzeczne jest ze zdrowym rozsądkiem. Fakt ten przestał mnie niepokoić. Przysięgam ci, Pat, że mógłbym przeczytać „Daily Record” nie jęcząc na głos więcej niż dwa razy. To moja spostrzegawczość. Kiedy czytam, że jakiś ciemny biolog z Minneapolis twierdzi, iż ludzie mogliby łatwo żyć 300 lat, gdyby spożywali wyłącznie zielone banany i wazelinę, jestem znudzony. Jest to po prostu zamach na zdrowy rozsądek. Kiedy jednak stale słyszę o człowieku, który nie może umrzeć, to mnie niepokoi. To coś więcej niż zamach na zdrowy rozsądek. To odstaje od reszty i zmusza mnie do gapienia się. To tak, jakby zauważyć jedną prostą czarną linię we wspaniałym kolorowym patchworku. A nawet więcej. To tak, jakbyś wybierała się do zwierzyńca i w jednej z klatek spotkała wystawionego człowieka. Po prostu dlatego, że człowiek, który nie może umrzeć, to nie tylko obraza zdrowego rozsądku. To obraza czegoś więcej. To zniewaga wyrządzona ludzkości.

— Dokąd prowadzi cię twoje przeczucie? — spytała praktyczna Patrycja.

Simon wzruszył ramionami.

— Sam chciałbym to wiedzieć — rzekł. Nagle usiadł prosto.

— Czy wiesz — powiedział z nieoczekiwanym gniewem — jestem cholernie bystry i mogę spróbować zmienić ten utrwalony pogląd. Hallin mnie denerwuje. Czy on się o to nie prosi? Czy nie prosi kogoś, by podjął wyzwanie i zobaczył, co się da zrobić w tej sprawie?

Dziewczyna spoglądała na niego ze zdziwieniem.

— Czy myślisz o próbie zabicia go? — spytała głucho.

— Nie — odparł Święty. — Spróbuję zmusić go do życia.

Przez dłuższą chwilę Patrycja spoglądała na niego w milczeniu. Następnie wstała lekko potrząsając głową, na wpół roześmiana, na wpół zaskoczona.

— Zbyt dużo czytałeś G.K.Chestertona — powiedziała. — Dzisiaj i tak nic nie możesz zrobić w tej sprawie. Jesteśmy już mocno spóźnieni.

Święty uśmiechnął się i powoli wstał.

— Jak zwykle masz rację, kochanie — mruknął zgodnie. — Wyprowadzę samochód.

I wyszedł, ale nie zapomniał o Milesie Hallinie. Nigdy nie zapomniał o swoim przeczuciu w sprawie faceta, który nie mógł umrzeć. Przeczucia Świętego były prawie zawsze niezrozumiałe dla wszystkich poza nim. Dla niego były one zawsze bardzo prawdziwe i zrozumiałe. W jednej chwili zdał sobie sprawę, że w przypadku Milesa Hallina będzie miał do czynienia z bardzo dziwną historią. Nie wiedział jednak wówczas, jak bardzo dziwną.

ROZDZIAŁ II

Miles Hallin, jak się Święty uskarżał, był naprawdę czymś w rodzaju instytucji publicznej. Nigdy nie uważano go za zamożnego, ale zawsze mógł się poświęcić swoim nie tak tanim zamiłowaniom bez jakichkolwiek ograniczeń. To te zamiłowania przyniosły mu reputację, która tak bardzo drażniła Simona Templara.

Miles Hallin był postacią tak powszechnie znaną, że gazety nie raczyły nawet o tym wspomnieć. Osoby mniej znane, jak Simon zauważył, zawsze były opisywane. Określenia wówczas stosowane to: słynny krykiecista, powszechnie znany powieściopisarz albo być może w mniej afektowanym stylu, aktor. Simon Templar zawsze odnosił wrażenie, że te wyjaśnienia czynione były jako swego rodzaju ubezpieczenie na wypadek, gdyby omawiana osoba stała się znana i nikt naprawdę nie wiedział dlaczego. Ale Miles Hallin był po prostu Milesem Hallinem. Simon Templar, nawet przy bardzo powierzchownej znajomości gazet, miał niejedną okazję, by zapoznać się z twarzą Hallina, jakkolwiek nigdy w życiu go nie spotkał. Ten kwadratowy podbródek, wojowniczy profil, białe zęby, zmrużone oczy i szeroki uśmiech figurowały na większej liczbie fotografii, niż Święty chciałby pamiętać. Miles Hallin stojący obok wraku swojego furilaca w Le Mans*, Miles Hallin wciągany na pokład holownika po tym, jak jego motorówka Red Lady się wywróciła, Miles Hallin po swojej nieprawdopodobnej ucieczce w

trakcie zawodów lotniczych o puchar królewski, kiedy jego elton „Dragon” zapalił się na wysokości 5000 stóp, Miles Hallin filmujący szarżującego bawołu w Tanganice. Simon Templar znał je wszystkie. Miles Hallin robił wszystko to, co najbardziej wszechstronny sportowiec włączyłby do swojego najbardziej różnorodnego repertuaru, a wszystkie jego wysiłki wydawały się zmierzać tylko do jednego — popełnienia bardzo widowiskowego samobójstwa. Zawsze jednak udawało mu się ująć śmierci, chociaż życie jego często wisiało na włosku. I dlatego zyskał ten przydomek. Nikt nie mógł powiedzieć, że była to wina Milesa Hallina.

Miles Hallin przeżył atak tygrysa, kordelasem zabił wściekłego goryla. Miles Hallin brał udział w walkach byków w obecności króla Hiszpanii. Miles Hallin wszedł do basenu, w którym zmagał się z krokodylem, by zadowolić hollywoodzkiego reżysera filmowego. Miles Hallin robił wszystkie niebezpieczne rzeczy, jakie mogła wymyślić bujna wyobraźnia, a nawet więcej. Do tej pory wiadomo było, że Miles Hallin nie chodzi po linie. Opinia publiczna uważała jednak, że gdyby potrafił po niej chodzić, wybrałby się na spacer po linie rozpiętej nad kraterem Wezuwiusza w ramach porannej rozrywki przed śniadaniem.

Miles Hallin nie dawał spokoju Świętemu przez cały tydzień.

Kiedy Simon Templar o tym opowiadał, a zazwyczaj czynił to w taki sposób, że słuchacze mu współczuli, był tak przewrażliwiony, jak delikatny jest palec nawiedzony przez gościec. Wówczas najlżejsze dotknięcie, przez nikogo nie wyczuwalne, sprawia, że odskakujesz na jard. Wyczuwał nawet najmniejsze anomalie. A kiedy przechwalał się swoim subtelnym wyczuciem, to chociaż zachowywał się niepoważnie, jednak mówił prawdę. Ten dar i nic więcej prowadził go przez połowę jego przygód, ta nieuchwytna umiejętność kreślenia bezbłędnej linii pomiędzy rzeczami po prostu dziwnymi a zdecydowanie nienormalnymi. Zaś Miles Hallin uderzył go w sposób, który nie poddaje się racjonalnym wyjaśnieniom, jako rzecz z gruntu fałszywa.

Zdarzyło się więc, że Święty trafił na tę historię przez czysty przypadek, ten i jeszcze bardziej

nieoczekiwany, który zapoznał go z człowiekiem, którego brat był przyjacielem Hallina. Gdyby

* Le Mans — znany tor wyścigowy Formuły I

nie to zrządzenie losu, to być może po dzień dzisiejszy Święty by się krzywił na samo wspomnienie Milesa Hallina w bezradnym zdziwieniu. Ale ten przypadek nie budził w Świętym najmniejszego zdziwienia. Przyzwyczał się już do kaprysów losu i traktował je jak najbardziej naturalny element swojego życia. Podobnie jak inni ludzie przyjmują obecność gazety na stole w trakcie śniadania z przekonaniem (jeśli się tylko nad tym zastanowią), że widzą tylko końcowy efekt skomplikowanej organizacji, o której działalności nic nie wiedzą, ale której istnienia nikt nie zamierza kwestionować. To było oczywiste.

Na przyjęciu, w którym brał udział w czasie week–endu Święty, zjawił się nieoczekiwany gość. Simon Templar spotkał Teddy Everesta w Kuala Lumpur, a potem wiele lat później w Korfu. To właśnie Teddy Everest był tym nieoczekiwanym gościem. Trzeba jednak przyznać, że nieoczekiwanym wyłącznie dla Świętego.

— Dziś jest mój szczęśliwy dzień — mruknął Simon, spoglądając na przybysza — Szukałem cię po całym świecie. Jesteś mi winien 10 centów. O ile sobie przypominasz, to po festiwalu w Kuala Lumpur trzeba było cię zawieźć do domu, a ja musiałem zapłacić za twoją rykszę. Nie miałeś ani centa przy duszy. Wiem o tym, ponieważ sam osobiście sprawdziłem wszystkie twoje kieszenie. To wynosi 10 centów plus 5 centów jako skapitalizowane odsetki za sześć lat...

— To znacznie mniej niż kwota, jaką ode mnie pożyczyłeś w Korfu — stwierdził pogodnie Everest. — Jak ci leci?

— Moja aureola — rzekł Święty — jest dobrze widoczna, jeżeli za mną znajduje się silne światło... A niech cię! — Święty uśmiechnął się, ściskając rękę tamtego, — To wielkie wydarzenie, Teddy. Oblejmy to.

Od tej chwili przyjęcie nabrało rozmachu.

Teddy Everest był inżynierem górnictwa, a Święty również miał co opowiadać, więc mile spędzali czas. We wtorek zaś, ponieważ Everest musiał udać się do Londynu w interesach, pojechali samochodem Świętego.

Lunch zjedli w Basingsioke, ale jeszcze przed lunchem miał miejsce wypadek, który zamienił niewyczerpaną skarbnicę wspomnień Teddy Everesta w potok, mający ogromny wpływ na dalszy przebieg wydarzeń.

Patrycja i Simon usadowili się w salonie hotelu, zaś Everest samotnie udał się do baru, by nadzorować przygotowanie cocktaili; był koneserem w tych sprawach. Tam w barze spotkał kogoś.

— To dziwne, w jaki sposób spotyka się znajomych — zauważył po powrocie. — Właśnie widziałem faceta, który przypomniał mi prawdziwą opowieść o O’Henrym.

Później przy stole opowiedział im o tym.

— Mam nadzieję, że nie nudzę was szczegółami mojej ostatniej roboty — powiedział. —

Prawdę mówiąc, tylko jedno było w tym interesujące. Jest taka kopalnia złota w Afryce Południowej, gdzie pracowałem przez ostatni rok. Wydobyć jej systematycznie malało i w końcu wysłano mnie, bym spróbował znaleźć tam jeszcze iskrę życia. Traf chciał, że rok wcześniej już tam byłem, wszystko o niej słyszałem i raczej mnie to nudziło. Wszyscy w okolicy wiedzieli, że kopalnia była bezwartościowa. Była to tylko strata mojego czasu. Ponieważ jednak zaoferowano mi dobrą zapłatę, nie mogłem odrzucić propozycji. Od czasu moich ostatnich wakacji niezbyt mi się wiodło i, prawdę mówiąc, dobrze było znowu coś robić, choćby nawet zajęcie to było nudne. Byłem wówczas w pociągu jadącym do Marsylii, gdzie miałem się przesiąść na statek. Tam też spotkałem tego faceta, wybierającego się na luksusowy tydzień na Antyle. A niech go!

Pogadaliśmy sobie i okazało się, że on również wie coś na ten temat. Pamiętam, że powiedziałem mu o tej bezwartościowej kopalni i spytałem, czy ma tam jakieś udziały, ponieważ szmaciarz

mógłby mu dać za nie dobrą cenę. Nie miał tam żadnych udziałów, co raczej zepsuło moje opowiadanie.

— Ponieważ kopalnia nie była bezwartościowa — mruknął Simon, a Everest przytaknął.

— W żadnym razie. Stare odwierty zostały oczywiście wyeksploatowane, ale znalazłem nową żyłę i kiedy złożyłem raport, akcje gwałtownie skoczyły do góry. Właśnie dałem o tym cynk Hallinowi. Wydaje mi się, że na niego zasłużył.

Święty siedział bez ruchu.

To Patrycja Holm zadała pytanie.

— Powiedziałeś, Hallin? — spytała.

— Zgadza się — Everest czyścił właśnie fajkę. — Miles Hallin, ten co się ściga.

Patrycja spojrzała na Świętego, ale potop, którego oczekiwała, nie nastąpił.

— Mój Boże! — powiedział Święty całkiem łagodnie.

Siedzieli właśnie przy kawie w salonie, kiedy Hallin przechodził obok. Simon rozpoznał go natychmiast, zanim ten zamachał do Everesta.

— Jeden z największych szczęściarzy na tym świecie — powiedział Everest, kiedy odgłos samochodu Hallina ucichł w oddali.

— Tak słyszałem — rzekł Święty.

Raz jeszcze Patrycja spojrzała na niego, pamiętając o rozmowie, jaka miała miejsce kilka dni wcześniej. Było to typowe dla Świętego. Nigdy nie zdradzał się z żadną myślą, która zagościła w jego mózgu, żadną tajemnicą, która męczyła go do chwili jej rozwiązania. Wszystko, co brzmiało równie fałszywie, jak Miles Hallin, było dla tego wyjątkowego umysłu ciągłą udręką, podobnie jak nie nastrojony fortepian przyprawiał muzyka o cierpienie. On musiał wszystko sobie obejrzeć z zewnątrz i od środka, poskrobać, dotknąć i poszturchać, aż w końcu dopasuje to do reszty i nie uspokoi się, dopóki wszystko nie zostanie wyjaśnione.

Tego dnia jednak nie wspomniał więcej o Milesie Hallinie.

Nadal nic nie wiedział. Aż do chwili...

Ale są to same fakty dotyczące początku historii.

Opowiedziane są one w sposób typowy dla Świętego; po prostu przedstawione, by broniły się same. Później w świetle wiedzy, jaką zdobył, mógłby dopasować do siebie poszczególne elementy bardziej składowo, bardziej logicznie, ale on tak nie postępował. Opowiadał wydarzenia tak, jak się toczyły.

— Im dłużej żyję — mówił — tym bardziej utwierdzam się w przekonaniu, że nic w moim życiu nie ma końca. Czy też w jakimkolwiek innym. Jeśli prześledzisz najzwyklejsze rzeczy z powrotem do ich źródła, odkryjesz najbardziej niezwykle początki. Jest to jedna ogromna, fantastyczna gra przypadków. Pewnej nocy zdecydujesz się na powrót do domu na piechotę, zamiast wziąć taksówkę, a w 10 lat później ktoś popełnia samobójstwo. Gdybyś pojechał taksówką, być może ten sam człowiek zostałby w 10 lat później milionerem. Twój ojciec zatrzymał się w tym, a nie innym hotelu. I w tym samym mieście w wieku lat 50 zostajesz premierem. Gdyby zatrzymał się gdzie indziej, mógłbyś dokończyć żywota w więzieniu... A ta historia. Gdybyśmy tego dnia nie jedli lunchu w Basingstoke albo gdybyśmy nie udali się na to przyjęcie, albo gdybym nie wyszedł bez chusteczki do nosa, lub gdybym nie wyjechał do Kuala Lumpur, gdybym... Opuśćmy zrządenie losu i życie innych, związanych z tym ludźmi. No cóż, poddałem się i nie próbuję ustalić, w którym roku, w ponurej i odległej przeszłości zdecydowano, że dwie osoby będą musiały umrzeć, by ta historia się wydarzyła.

W tym właśnie miejscu Simon Templar zrobił pauzę, by się przez chwilę zastanowić.

A potem opowiedział, jak w ostatnią sobotę jego uwagę zwróciły nagłówki „Evening Record”.

Coś szepnęło mu, by kupić gazetę, a potem wrócił do domu i opowiedział Patrycji, że Miles Hallin znowu się rozbił w Brooklands, Miles Hallin znowu wyszedł praktycznie bez szwanku, a jego

pasażer Teddy Everest spalił się na śmierć na oczach tłumu.

ROZDZIAŁ III

— Widzi pan — powiedział po prostu Nigel Perry. — Moyna pochodzi z bardzo biednej rodziny.

— Tak. — zgodził się Święty.

— A Miles Hallin jest takim porządnym facetem.

— Tak — powtórzył Święty.

— To wszystko jest okropnie skomplikowane.

— Tak — rozległo się po raz trzeci.

Obaj leżeli wyciągnięci w fotelach, otoczeni kłębamii dymu papierosowego, w sypialni — salonie, który był jedynym domem Nigela Perry. A Perry, opalony i o przejrzystym spojrzeniu po 10-dniowej włóczędze po Hiszpanii, zrzucał z siebie swoje troski.

— Nie widziałeś jeszcze Moyny, prawda? — spytał Święty.

— Powoli, dopiero od paru godzin jestem w domu! Ale ona wpadnie później. Musi zjeść obiad z ciotką, czy coś w tym rodzaju. Przyjdzie, gdy tylko zdoła się urwać.

— A co myślisz o swoich szansach?

Perry przeczesał opalonymi palcami czuprynę.

— Niech mnie kule biją, jeśli wiem, Templar — odparł smutnie. — Ja... ja chciałem do tego podejść bez emocji. Tyle jest spraw do przemyślenia. Gdybym tylko miał trochę forsy.

— Czy sądzisz, że dziewczynie takiej jak Moyna na tym zależy?

— Och, ja wiem! Ale to w porządku. Każda rozsądna dziewczyna prędzej czy później zaczyna się z nimi liczyć. A ona ma do tego prawo. Jeśli zaś jest wystarczająco miła, by sądzić, że pieniądze to nie wszystko... no cóż, nie mogę tego wykorzystać... Wiesz, to właśnie w tych sprawach Miles jest taki porządny. Te pieniądze, które mi wypłacił jako udział mego brata w kopalni... Zrobił

wszystko, by pomóc mi je dobrze zainwestować. „Jeśli chodzi o pieniądze — rzekł — chciałbym, abyś miał dobry start”.

— Pomógł? — spytał Święty,

Perry przytaknął.

— Jestem przekonany, że zrobił wszystko, co tylko w ludzkiej mocy. Nachodził wszystkich swoich przyjaciół, by znaleźć dla mnie pewną inwestycję, przynoszącą około 200% dochodu. I znalazł taką, a przynajmniej tak wówczas sądziliśmy. To śmieszne, ale to również kopalnia złota, tylko tym razem w Afryce Południowej.

— Do diabła! — wykrzyknął Święty.

— Co masz na myśli?

— Do diabła — powtórzył Święty. — A kiedy to było? W zeszłym tygodniu? Młodzieniec spojrzał na niego zdziwiony.

— Och, nie. To było przeszło rok temu... Ale akcje nie poszły w górę zgodnie z oczekiwaniami. Ich wartość powoli spadała. Nie bardzo, ale spadała. Mimo to nie pozbywałem się ich. Miles był całkowicie pewny swoich informacji. A teraz dowiedział się, że się mylił. Czekał na mnie list...

— W którym proponował odkupienie od ciebie akcji w celu zmniejszenia twoich strat.

Perry wytrzeszczył oczy.

— Skąd to wiesz?

— Wiem wszystko — powiedział Święty.

Nagle skoczył na nogi. Jego twarz stała się tak uduchowiona, że Perry zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem piwo... Perry powoli wstał, a na jego ramieniu spoczęła dłoń Świętego.

— Moyna wpadnie wieczorem, nieprawdaż?

— Powiedziałem ci...

— Ja ci powiem więcej. Zamierzasz się oświadczyć, mój chłopcze.

— Co?

— Oświadczyć — wycedził Święty. — Jeśli jeszcze tego nigdy nie robiłeś, to udzielę ci przyspieszonej lekcji. Bierzesz jej małą dłoń w swoje i mówisz ochryłym ze wzruszenia głosem: „Moyna, czy nie sądzisz, że powinniśmy to zrobić?” „Co zrobić?” — spyta. „Pobrać się” — odpowiesz. „Pobrać? — pyta. — Jak?” „Zawrzeć legalny związek” — odpowiadasz. „Moyna” — mówisz i bierzesz ją w objęcia, tzn. trochę na północ od twojego pasa. „Moyna, kocham cię!”
Winien mi jesteś dwie gwinee. Możesz rano posłać mi czek, jak zazwyczaj mawiała aktorka. Była on damą w każdym calu... Na razie!

I Święty złapał kapelusz. Był już w połowie drogi do drzwi, kiedy Perry go dopadł.

— Co to za pomysł, Templar?

Święty odwrócił się z uśmiechem.

— No cóż. Chyba nie chcesz mnie za świadka twojej przemowy?

— Nie musisz jeszcze uciekać.

— Och, tak. Muszę.

— Dokąd?

— Zamierzam odnaleźć Hallina.

— Ale nigdy go przedtem nie spotkałeś.

— Nigdy. Teraz jednak mam taki zamiar. Perry stanął w drzwiach.

— Słuchaj, Templar — rzekł. — Nie możesz tak odejść. Najpierw chciałbym się czegoś dowiedzieć. A niech to. Gdybym nie znał cię tak dobrze, mógłbym pomyśleć, że ci odbiło.

— Czyżby? — spytał delikatnie Święty.

Patrzył na Nigela i przez cały czas się uśmiechał, ale nagle młodzieniec zauważył coś nowego w jego wzroku, coś, czego przedtem nie było, a co przypominało błysk nagiej stali.

— A co byś powiedział — ciągnął Święty dalej bardzo łagodnie, — gdybym cię poinformował,

że zamierzam zabić Milesa Hallina?

Perry cofnął się.

— Jesteś szalony! — szepnął.

— Pewnie — odparł Święty — ale nie tak szalony jak Miles Hallin, kiedy wczoraj zabił mojego przyjaciela.

— Miles zabił twojego przyjaciela? Na Boga, co to znaczy?

— Och, na litość boską!

Święty wzruszył ramionami i wrócił do pokoju. Usiadł na brzegu stołu, ale wiercił się niespokojnie. Ostatnią rzeczą, jaka mogłaby komuś przyjść do głowy było podejrzewanie go o chęć pozostania w miejscu.

— Posłuchaj, a ja ci opowiem kawał — rzekł. — W tych dniach jestem nimi przeładowany...

Dawno, dawno temu żył facet, który nie mógł umrzeć. To kawał.

— Chciałbym, żebyś mi wytłumaczył, o co tu chodzi!

— Gdybym to zrobił i tak byś nie uwierzył.

— Nie, jeśli dotyczy to Milesa.

— Owszem! To jego dotyczy. A więc mamy pierwszorzędną awanturę. I do czego to prowadzi?

Jesteśmy już bardzo blisko. Dlaczego więc tego tak nie zostawić?

— Ale sugerowałeś...

— Oczywiście, je tak — zgodził się ze znużeniem Święty. — A teraz uczynię następne sugestie.

Jeśli musisz, to się wściekaj, Nigel, ale mi obiecaj dwie rzeczy. Że nie pozbędziesz się tych akcji i oświadczysz się wieczorem Moynie. Ona cię przyjmie, gwarantowane. Załączam ucałowania i uściski, na zawsze wasz.

Młodzieniec zacisnął zęby.

— Wydaje mi się, że bredzisz — powiedział. — Teraz mów do końca, co chciałeś powiedzieć o

Milesie.

Westchnienie, jakie tylko on potrafił wyduć, pełne było cierpliwości i cierpienia. Naprawdę bardzo się starał okazać cierpliwość, ale wiedział, że nie ma najmniejszej nadziei na przekonanie Nigela. Święty był o tym głęboko przekonany. Nie był nawet odrobinę zaskoczony nagłym rozwojem wypadków. Takie rzeczy już nieraz się zdarzały. Tak jak tego oczekiwał podświadomie. Przyjął to jak coś najzupełniej normalnego. To wydarzyło się w nieokreślonej przeszłości i poza nim. Tak dawno i daleko poza nim, że przestał nawet myśleć o zbiegu okoliczności. Westchnął.

— Nie mam ci nic do powiedzenia.

— Mówiłeś, że...

— Zapomnij o tym, stary. A teraz, czy spełnisz moją prośbę odnośnie Moyny?

— To mój interes. Dlaczego miałbyś mnie pouczać?

— I te akcje — kontynuował Święty chłodno. — Czy je...

— Po raz ostatni — powiedział ponuro Perry — może mi w końcu wyjaśnisz?

Simon spoglądał na niego znad papierosa i zapalanej zapałki, a potem poprzez unoszącą się smugę dymu. Wzruszył ramionami.

— Dobrze! — zgodził się. — Powiem ci. Ale nie zapomnij, że zgodnie z wcześniejszym ustaleniem jest to tylko strata czasu. Nie uwierzysz mi. Nie ty. Szanuję cię za to, ale równocześnie to robi z ciebie cholernego głupca.

— Dalej.

— Czy pamiętasz tego faceta, który wczoraj został zabity w Brooklands? Jechał razem z Milesem Hallinem.

— Czytałem o tym.

— To mój przyjaciel. Ponad rok temu opowiedział Milesowi o kilku bezwartościowych akcjach. Ty je kupiłeś. Niecały tydzień temu ponownie spotkał Hallina i poinformował go, że te

akcje nie są bezwartościowe. Teraz Hallin chce je od ciebie przejąć. Zabił biednego, starego Tedda, ponieważ ten o wszystkim wiedział, a jednocześnie lubił opowiadać historyjki. Gdyby Miles wiedział, że człowiek, którego widział razem z Teddem, zna ciebie, prawdopodobnie to mój pogrzeb odbyłby się najpierw. Hallin to cholernie porządny facet. „Jeśli chodzi o pieniądze — powiedział — chciałbym, abyś miał dobry start”.

— Na Boga, Templar...

— Bądź cicho... Powracając więc do kawału o innej kopalni złota...

Perry zrobił krok naprzód, twarz mu płonęła.

— To kłamstwo!

— Oczywiście. To już wcześniej ustaliliśmy, jeszcze przed rozpoczęciem naszej rozmowy...

Gdzie to ja przerwałem? A, tak. Powracając więc do kawału...

— Chciałbym, aby Miles to usłyszał — powiedział Perry przez zaciśnięte zęby.

— Ja również — mruknął Święty. — Mówiłem ci już, że chciałbym go znaleźć, jeśli spotkasz go pierwszy, możesz mu o tym powiedzieć. Podaj mu mój adres. — Święty ziewnął. — Czy mogę już sobie teraz iść, skarbie?

Wstał, z papierosem przesuniętym do kącika ust, z rękami w kieszeniach. Perry ustąpił mu z drogi.

— Będzie mi miło, gdy się stąd wyniesiesz — powiedział. — A gdybyś kiedykolwiek miał zamiar wrócić, wyrzucę cię.

Simon przytaknął.

— Przypomnę to sobie, gdy będę potrzebował trochę ruchu — zauważył. A potem uśmiechnął się. Przez moment ścisnął rękę chłopca.

— I nie zapomnij o Moynie — dodał.

Zszedł po schodach, a Nigel obserwował go w milczeniu, stojąc w drzwiach.

Święty schodził powoli. Było mu przykro, lecz wiedział, że było to nieuniknione. A w każdym razie on tak tym pokierował. Zdawał sobie doskonale sprawę z kłopotów, jakich sobie napisał i to na rozmaite sposoby. Nie mógł jednak nic na to poradzić. Ostatecznie...

Był już na samym dole, kiedy mężczyzna, który wbiegł na klatkę, omal go nie potracił.

— Przepraszam — powiedział tamten.

— Nic nie szkodzi — odparł uprzejmie Święty.

I wówczas rozpoznał tego człowieka. Zatrzymał go.

— Jak tam interesy ze śmiercią? — mruknął Święty.

Miles Hailin obrócił się i spojrzał. A potem nagle przypomniał sobie, gdzie przedtem widział tego człowieka. Błysk rozpoznania zaśnił w jego oczach, po czym twarz znowu przybrała wyraz oburzenia.

— Co u diabła ma to znaczyć? — dopytywał się.

Simon westchnął. Ostatnio ciągle mu się to przytrafiało.

— Jestem zmęczony tym pytaniem — westchnął. — Dlaczego więc nie zapytasz o to Nigela?

Może jemu ono tak bardzo się nie znudziło.

Obrócił się i ruszył dalej. Gdy otwierał frontowe drzwi, usłyszał, że Hallin również ruszył, ale już znacznie wolniej. Uśmiechnął się do siebie.

Było już późno, a ulica nie oświetlona i praktycznie pusta. Tuż przed samym domem stał ogromny, błyszczący, dwuosobowy samochód, który mógł należeć tylko do Milesa Hallina.

Przez kilka sekund Święty przyglądał mu się, pocierając w zamyśleniu podbródek, a potem tajemniczy diabełek rozbawienia pojawił się w kącikach jego oczu.

Zszedł szybko po schodach.

W jednej chwili odnalazł skrzynkę z narzędziami, a potem pieczołowicie przystąpił do usuwania nakrętek, zabezpieczających zewnętrzne przednie koło.

Dwie minuty później pozostawiając kołpak koła na swoim miejscu, a nakrętki unosząc w kieszeni, oddalił się spacerkiem w kierunku domu, nucąc sobie i gwiazdom.

ROZDZIAŁ VI

— A więc jest pan! — Nigel Perry otworzył gwałtownie drzwi wiejskiego domku, kiedy samochód Hallina zatrzymywał się. — Zastanawiałem się, co u diabła mam ze sobą począć.

Moyny tu nie ma...

— Jest niedaleko — rzekł Hallin.

Sztywno wygramolił się z samochodu. Perry nie mógł dobrze widzieć jego twarzy w tym mroku, ale coś w głosie Hallina go zastanowiło. Hallin wziął go za ramię ze śmiechem.

— Wejdzmy do środka — powiedział. — Wszystko ci opowiem.

W środku, w oświetlonym pokoju, toporne rysy Hallina wydawały się być ściągnięte i napięte.

Ale oczywiście miał za sobą 160 mil przebytych na złamanie karku.

— Boże, jaki jestem zmęczony!

Usiadł i ręką potarł czoło. Wzrok skierował w stronę karafki na bocznym stoliku i młody człowiek zrozumiał to.

— Dziękuję — odparł Hallin.

— Niepokoiłem się strasznie, Miles! — powiedział Perry po chłopięcemu, dodając wody sodowej do szklanki. — Nie ośmieliłbym się nigdy opuścić tego miejsca na wypadek, gdyby

Moyna tu przyjechała i nikogo nie znalazła, a ja bym nie wiedział, jak się z nią skontaktować.

— A teraz, jak sądzę, zastanawiasz się, dlaczego w ogóle tu jestem.

— Tak.

Hallin wziął szklankę i opróżnił ją jednym haustem do połowy.

— Tak lepiej... No cóż, wszystko, co mogło pójść źle, poszło źle.

— Czy dowiedziałeś się czegoś nowego od lunchu?

— Nic więcej nie wiem. Przecież ci już wszystko opowiedziałem. Moyna zadzwoniła do mnie.

Powiedziała, że ma poważny problem, a twój numer był zajęty. Nie mogła czekać. Musiała natychmiast wyjechać z Londynu. Spytałem ją, dokąd się udaje, ale ona nie wiedziała. Wówczas zaproponowałem jej skorzystanie z mojego domku w Walii, a klucz był u mojego służącego.

— Ale ten klucz mnie dałeś!

— Mam więcej kluczy, idioto! W każdym razie skorzystała z mojej propozycji, a ja obiecałem jej, że cię wyślę pierwszym pociągiem. Dopiero znacznie później, kiedy pomyślałem, że mógłbym ci pomóc niezależnie od rodzaju twoich kłopotów, wsiadłem w samochód i przyjechałem.

Tego w ogóle nie rozumiem! — Perry nie mógł usiąść, nerwy jego były w strzępach z powodu tego zmartwienia. — Dlaczego by Moyna musiała uciekać z Londynu? Nie mogła być przecież zamieszana w żadne przestępstwo... Hallin upił nieco drinka.

— Chciałbym być taki pewny jak ty.

— Miles!

— Och, nie bądź głupi, Nigel. Czy sądzisz, że uwierzyłbym w jej winę? Można być na różne sposoby zamieszany w przestępstwo.

— Co miałeś na myśli, mówiąc, że wszystko poszło źle? Hallin zapalił papierosa.

— W drodze do tego domku coś odkryłem — powiedział.

— Powiedziałeś, że Moyna znajduje się blisko...

— Nie wydaje mi się. A teraz powiem ci, dlaczego tak myślę. Kiedy wjechałem na wzgórze, musiałem zatrzymać się na chwilę, aby przełączyć się na rezerwowy zbiornik paliwa. Gdy wysiadłem z samochodu, usłyszałem kogoś, rozmawiającego obok drogi. Powiedział: „Hallin właśnie przejechał.” A potem: „Zostawię go tobie. Sam zaczekam na Templara...”

— Templara?

— Tak powiedział.

— Ale musiał wiedzieć, że tam byłeś.

— Mógł przypuszczać, że go nie usłyszę. To czysty przypadek, że go usłyszałem. Zrobiłem kilka kroków i już nie było słyhać ani słowa. Coś z echem, jak mi się wydaje. Niemniej ruszyłem w kierunku głosu i prawie przewróciłem się o człowieka. Strzelił do mnie, lecz spudłował. A wówczas ja go chwyciłem. On... zleciał ze zbocza. Pamiętasz, tam jest bardzo stromo.

— Zabiłeś go?

— Oczywiście, że tak — odparł Hallin krótko — chyba że spadł 200 stóp w dół bez skaleczenia się. To była kwestia kto przetrwa, on czy ja. Poza tym był uzbrojony. Wróciłem więc do samochodu i odjechałem. Dalej na drodze jakiś mężczyzna usiłował mnie zatrzymać, ale ja pojechałem prosto na niego. Strzelił do mnie dwa razy, ale nie trafił. To wszystko.

Perry zacisnął pięści.

— Na Boga. Jeśli ten facet naprawdę czekał na Templara...

— A dlaczego nie miał czekać? Pamiętasz, co się wydarzyło. Nie wiemy, o co Templarowi tym razem chodzi, ale znamy jego przeszłość.

— Ale już dawno uzyskał ułaskawienie.

— To nie czyni jeszcze z niego porządnego obywatela. Ktoś taki jak on...

Perry odwrócił się i chwycił Hallina za ramię.

— Na litość boską, Miles! Musimy coś zrobić! Hallin wstał.

— Dlatego po ciebie przyjechałem — oznajmił.

— A co możemy zrobić?

— Wróc do telefonu. Sprawdź, dokąd prowadzi linia.

— Czy mógłbyś odnaleźć to miejsce?

— Zaznaczyłem je.

— Ale ci ludzie, którzy do ciebie strzelali...

— Możemy się tam dostać inną drogą. Znam tutaj wszystkie ścieżki jak własną kieszeń. Czy do mnie dołączysz?

Perry zacisnął zęby.

— Możesz na mnie liczyć. Ale... czy masz może pistolet lub coś w tym rodzaju?

Miles patrzył na niego przez chwilę. Potem podszedł do biurka, otworzył kluczem szufladę i wyjął dwa pistolety automatyczne. Jeden z nich podał Nigelowi, a drugi schował do kieszeni.

— To dobry pomysł — przyznał. — Czy jesteś gotowy?

— Tak, chodźmy.

To Perry pierwszy wyszedł z domku i zapuścił silnik, zanim Hallin usiadł za kierownicą.

Ruszyli z rykiem, Perry pochylił się i krzyknął Hallinowi do ucha.

— Usłyszają nas!

Hallin przytaknął i zdjął nogę z gazu. Warkot motoru ucichł.

— Masz rację — powiedział.

Jechali w dół wzgórza przez ćwierć mili. Niebezpiecznie zarzuciło nimi za zakręcie w prawo.

Potem ruszyli szybko w dół wąską drogą, a duży samochód ocierał się o zarośla po obu stronach drogi.

— Tylko w ten sposób możemy ich obejść — powiedział Hallin.

Silne reflektory oświetliły ścieżkę i zrobiło się jasno jak w dzień. Ale nawet wówczas jazda z taką prędkością po tej drodze była koszmarem. Hallin był jednak doskonałym kierowcą. Teraz ścieżka wydawała się kończyć. Hallin przyhamował, skręcił mocno kierownicą i wyjechali na prostą drogę.

— To już blisko — rzekł Hallin.

Samochód jechał bardzo wolno, podczas gdy Hallin przeszukiwał pobocze drogi. Potem nacisnął hamulec, wyłączył jednocześnie silnik i światła.

— To tutaj.

Podszedł do Nigela, stojącego już na drodze, i od razu poprowadził dalej. Kilka kroków przeszli po trawie, potem zaś ruszyli ścieżką pomiędzy skałami i niskimi krzakami. Po prawej stronie Perry słyszał odległy szum wody. Wówczas Hallin zatrzymał go.

— Jesteśmy na miejscu.

Perry usłyszał odgłos pocieranej zapalniczki. I wówczas zobaczył.

Stali obok nieco wydeptanego miejsca. Z boku znajdowało się nieznaczne wgłębienie, które wyglądało na pozostałość po płaskim odłamku skalnym. W tym właśnie miejscu stał telefon.

Światło zgasło.

— Mam pomysł — powiedział Hallin.

— Jaki?

— Załóżmy, że ty zajmujesz miejsce tego faceta przy telefonie. Odezwiesz się do tego z drugiej strony i opowiesz mu jakąś historię. Ja pójdę wzdłuż przewodów. Sądzę, że tamten nie znajduje się zbyt daleko. Daj mi 10 minut i zaczynaj. W ten sposób odwrócisz ich uwagę i dasz mi szansę wzięcia ich przez zaskoczenie.

— Ale ja chcę sam dopaść tego wieprza.

— I dopadniesz. Musimy jednak od czegoś zacząć. Wiem, że nie jesteś przyzwyczajony do skradania się. Ja mogę ich podejść dwa razy ciszej niż ty.

Perry zawahał się, a potem Hallin usłyszał, jak obmacuje zagłębienie.

— W porządku — doszedł głos młodzieńca z ciemności. — Pospiesz się, Miles, i krzyknij, kiedy już będzie można.

— Oczywiście. Tylko 10 minut, Nigel.

— W porządku. Hallin odszedł.

Nie szedł wzdłuż jakiegokolwiek przewodu. On po prostu wiedział, dokąd idzie.

10 minut później usiadł w kucki obok dobrze izolowanego przewodnika. Obok niego metalowy słup wyciągał się w kierunku gwiazd. Był on jednym z wielu, jakie całkiem niedawno postawiono w całej Anglii, by podtrzymywały długie kable elektryczne doprowadzające światło i moc do każdego zakątka kraju.

Twierdzenie Milesa Hallina, że późno wyjechał z Londynu, było kolejnym kłamstwem. Prawdę mówiąc, znajdował się w tym miejscu już od wielu godzin. Był on specem od spraw elektrycznych, jakkolwiek praca, jaką miał tu wykonać, była prosta. To kopanie zajęło mu tyle czasu...

Był bardzo pomysłowy. Święty byłby naprawdę zachwycony historią, jaką opowiedział Nigelowi. „Jeśli musisz mieć melodramat, podaj go na szpadzie” — głosiła jedna z myśli Świętego i z pewnością Miles Hallin nie wysiłał swej wyobraźni.

W poczynaniach Hallina była pewna pieczołowitość, co sprawiło Świętemu dużą przyjemność, gdy wspominał te wydarzenia po latach. Nawet w morderstwie był on równie dokładny, jak w tworzeniu legendy swojego uroczego życia. Człowiek mniejszego formatu po prostu zepchnąłby Nigela z podręcznej skały.

— Ale nawet wówczas — mógłby stwierdzić Święty — Hallin trzymał się kurczowo myśli, że może mimo wszystko uda mu się z tego wykręcić. Gdyby po prostu zepchnął Nigela ze skały, miałby kłopot z usunięciem ciała. Wykopał więc zgrabny grób i umieścił w nim Nigela, aby ten grzecznie umarł. Wszystko, co potem musiałby zrobić nasz słodki Miles, ograniczałoby się do powrotu, zabrania aparatu telefonicznego i zasypania dołu. Nie można powiedzieć, że tego nie przemyślał.

Hallin nałożył grubą gumową rękawicę, potarł zapalną i osłonił ją w dłoni. Spojrzał na zegarek. Twarz miał całkowicie spokojną, gdy pociągnął za dźwignię przełącznika.

ROZDZIAŁ VII

— Dalej chodźmy pieszo — stwierdził Święty.

Teal przytaknął.

Wydał polecenie kierowcy. Samochód zjechał na pobocze drogi i zatrzymał się.

Detektyw wygramolił się z niego i obserwował szlak przed nimi krytycznym wzrokiem.

— Moglibyśmy dojechać do szczytu wzgórza — powiedział, a Święty roześmiał się niewesoło.

— To niemożliwe — odparł Simon. — Dom Hallina znajduje się właśnie na szczycie wzgórza, a my nie chcielibyśmy anonsować naszego przybycia.

— Chyba nie — rzekł Teal zamyślony.

Kierowca wysiadł z samochodu i dołączył do nich, przynosząc ze sobą elektryczne latarki, które stanowiły część wyposażenia. Teal wziął jedną z nich i sprawdził. Święty zrobił to samo. Spojrzeli na siebie w świetle.

— Wygląda na to, że znasz to miejsce — zauważył Teal.

Święty uśmiechnął się.

— Tydzień temu przyjechałem tu specjalnie z Londynu, aby się nieco rozejrzeć.

Teal mrużył oczy.

— Czy przyniosłeś ze sobą jakieś bomby? — spytał. Simon skierował latarkę na drogę.

— Obawiam się, że tym razem o tym zapomniałem — mruknął. — To co, może nieco popracujemy nad zrzuceniem paru kilogramów, grubasku?

Wyruszyli w głębokiej ciszy. Teal i Święty szli obok siebie, a kierowca zabezpieczał tyły. Kiedy tak szli, Święty zaczął nucić starą balladę o tym „Jak gruba dziewczyna może kochać”, a oddech Teala był chyba głośniejszy, niż wynikałoby to ze stromości wzgórza. Kierowca z tyłu również sapał, jakby miał trudności z chodzeniem.

Potem kroczyli w górę milcząc, każdy zajęty swoimi myślami. W końcu Teal zatrzymał się i przerwał milczenie.

— Czy to nie samochód tam w górze? — spytał.

Wskazał miejsce światłem latarki i Święty spojrzał.

— To rzeczywiście przypomina samochód — przyznał zamyślony Simon. — To dziwne!

Przyspieszył kroku i znalazł się na czele. Kiedy pozostała dwójka do niego doszła, stał nieruchomo kilka jardów od samochodu, a latarką oświetlał tablicę rejestracyjną.

— Jeden z samochodów Hallina — rzekł Święty.

Szybko go obszedł, oświetlając opony. Wszystko było w jak najlepszym porządku. Wskaźnik paliwa wskazywał, że zbiornik jest pełny. Położył dłoń na chłodnicy, była gorąca.

— No cóż — stwierdził Święty.

Teal, stojący obok niego, zaczął oświetlać latarką pobocze drogi.

— A co to pudło tutaj robi? — spytał.

— Nie wiem, mój ty pulchny cherubinie — rzekł Święty.

Ale znalazł się pierwszy przy pustym kanistrze po benzynie. Przewrócił go do góry nogami i potrząsnął nad dłonią.

— Czyżby tutaj tankował? — spytał Teal, lecz Simon potrząsnął głową.

— Kanister jest suchy jak skuteczna akcja prohibicyjna. Jest stary. Powiedziałbym, Teal, że pozostawiono go tutaj dla zaznaczenia miejsca. Spójrz na te ślady na trawie!

Zostawił Teala i sam ruszył wzdłuż drogi, obserwując darń po jednej stronie. Potem wrócił drugą stroną. Jego cichy okrzyk szybko sprowadził Teala.

— Ktoś urządza sobie nocne marsze w terenie — stwierdził Święty. Wskazał.

— Nic nie widzę — rzekł Teal.

— Nie zobaczyłbyś — rzekł z naganą Święty. — Co innego, gdyby pomyśleli o zostawieniu odrobiny popiołu z papierosa, abyś miał co wsadzić pod mikroskop, albo kilka podniecających plam krwi...

Teal zakrztusił się.

— Słuchaj, Templar...

— Teal — rzekł elegancko Święty — nudzisz.

Przeskoczył lekko przez rów i ruszył w ciemność, ignorując pozostałych dwóch, którzy po chwili wahania podążyli za nim.

Pewność, z jaką Święty poruszał się wzdłuż śladu, była zadziwiająca. Policjanci nie mogli zauważyć śladów, które on był w stanie zobaczyć szybko i równie pewnie, jak gdyby szedł wyznaczoną ścieżką. Oni byli jednak mieszczuchami, wyszkolonymi w innego rodzaju tropieniu. Szli tak być może 50 jardów, gdy Święty gwałtownie się zatrzymał. Pozostali podeszli do niego i również się zatrzymali. Światło jego latarki oświetlało miejsce pod nogami, a oni je również oświetlili, chociaż żaden z nich nie zauważył nic szczególnego.

— Która godzina? — spytał Teal.

— Zobaczyłem rękę — powiedział Święty. — Rękę i broń. Zniknęła ona w ziemi. Zgaście latarki!

Nie rozumieli go, lecz usłuchali.

W ciemności Święty skoczył.

Nogą potracił luźny kamień i potknął się. W tej samej chwili usłyszał metaliczny trzask, który dla niego mógł oznaczać tylko jedno: strzelono z pistoletu automatycznego, a ten nie wypalił.

Obrócił się szybko. Trzymając latarkę w wyciągniętej w bok dłoni, zapalił ją ponownie. I wciągnął głośno powietrze.

— Nigel!

Chłopiec siłował się z pistoletem, który prawdopodobnie się zaciął. Teraz odsłonił w świetle zęby.

— Ty świnió! — zawołał.

Święty patrzył na niego.

— Nigel, to ja, Simon Templar.

— Wiem.

Perry załadował ponownie pistolet z trzaskiem i na zimno wycelował. Wówczas w strumieniu światła pojawiła się ręka Teala, która chwyciła przegub Nigela i ostro szarpnęła do góry. Druga dłoń wyrwała mu pistolet.

— Wy diabły!

Perry nagłym zrywem uwolnił swój nadgarstek i potoczył się do dziury, w której uprzednio leżał. Pozbierał się, przycupnął i skoczył do światła. Simon wyciągnął nogę i zgrabnie przewrócił go na ziemię.

— Nigel, nie bądź takim durniem!

W odpowiedzi młodzieniec znowu stanął na nogi i jakby ze szlochem rzucił się do przodu.

Święty odczuł znudzenie.

Zgasił latarkę i uchylił się. Ręką opasał Nigela w pasie, ramię wciśnięte miał w pierś Nigela.

Zdecydowanie wzmocnił uścisk.

— Jeśli nie przestaniesz, Nigel — powiedział — to skręcę ci kark.

Nagle Perry zwiotczał. Prawdopodobnie nie wyobrażał sobie, że można być trzymanym z taką siłą. Ręce Świętego trzymały go niczym stalowe taśmy.

— Co z nim? — dopytywał się leniwie Teal. Simon chrząknął.

— Chyba mu odbiło — mruknął.

Żebra Nigela trzeszczały, gdy usiłował głębiej odetchnąć.

— W porządku — powiedział. — Wiem o tobie wszystko, ty...

— Mam go — stwierdził bez emocji Teal. Święty zwolnił uchwyt i wyprostował się.

W trakcie szamotaniny upuścił latarkę. Teraz schylił się i szukał jej wokół siebie, a kiedy był schylony, pojawił się błysk. Towarzyszył temu dziwny odgłos. Coś jakby niebieska błyskawica.

— A to co? — zdziwił się Teal.

Święty znalazł latarkę i skierował jej światło na miejsce, gdzie przedtem Perry leżał. Ponownie pojawiło się niebieskie światło. Wszyscy je zobaczyli. A wówczas Święty cicho się roześmiał.

— Dobry, stary Miles — wycedził.

— Śmiertelne porażenie, jak na krześle elektrycznym — stwierdził łagodnie Święty.

Zapadła długa chwila milczenia. A potem:

— Porażenie?

Perry odezwał się ochryple, patrząc na dziurę w ziemi, gdzie skoncentrowały się światła trzech latarek.

— Dobry, stary Miles — powtórzył Święty.

Wskazał poczerwiałą i zdeformowany aparat telefoniczny oraz ciemną rysę na skale. Znowu zapadło milczenie. Przerwał je Teal swoim zaspanym głosem.

— Niektórzy głupcy mają szczęście — stwierdził. — Perry, jaką bajeczkę opowiedział ci Hallin, aby cię tu dostać?

— Miles tego nie zrobił...

— Sądzę, że zrobił — Teal skierował światło latarki na swoją twarz.

— Znasz mnie, Perry. Spotkałeś mnie wczoraj. Jestem oficerem policji. A teraz nie mów bzdur.

Jak na Teala była to ostra przemowa.

Perry odezwał się gardłowo.

— W takim razie... gdzie jest Moyna?

— Też chcielibyśmy to wiedzieć — zauważył to Święty. — Zapytamy Milesa. Wróci tu, by zbadać ciało. Zamknijcie buzie i zgaście tę iluminację.

Po kolei latarki gasły. Zapanowała cisza i ciemność. Święty bezgłośnie odszedł w bok. Oparł latarkę o wysoki głaz, a palec trzymał na wyłączniku.

Wówczas usłyszał Hallina.

To znaczy usłyszał delikatny odgłos deptanych kamieni, niepozorny szelest liści... Nic nie widział. To było niesamowite, słuchać jak się skrada. Ale nerwy Świętego były jak stal.

Nagle zapaliła się zapalka, tylko w odległości kilku jardów. Hallin szukał na ziemi.

Wówczas Święty zapalił swoją. Oświetlił Hallina i zostawił latarkę na skale. Simon ostrożnie podszedł do niej.

— Cześć — powiedział Święty z namaszczeniem.

Hallin stał jak wryty. Zapalka dopaliła się do palców i wówczas ją upuścił. Sięgnął gwałtownie do kieszeni...

— Zgniłek — stwierdził chłodno Święty, a głos jego zlał się z następnym strzałem.

Obok rozbłysło światło dwóch latarek i skoncentrowało się na Hallinie. Mężczyzna obrócił się w świetle i wystrzelił ponownie trzy razy. Jedno światło zgasło. Druga latarka upadła i również zgasła, gdy żarówka rozbiła się na ziemi. Wycelował szybko i kula trafiła latarkę Świętego.

— Teal, trafił cię?

Święty szybko poruszał się w ciemnościach. Głos Teala rozległ się za jego ramieniem.

— Nie, ale postrzelił Masona.

Palce Świętego dotknęły płaszcza Teala tak lekko, że detektyw tego nie poczuł. Zsunęły się po rękawie, zeskoczyły na dłoń i zacisnęły na latarce.

— Dzięki — rzekł Święty. — Zobaczymy się później.

W trakcie mówienia wyrwał latarkę i odszedł. Detektyw chciał go złapać, ale Simon uskoczył ze śmiechem. Usłyszał Hallina przedzierającego się w ciemnościach i podążył jego śladem najlepiej, jak potrafił. Za nim również rozległ się odgłos przedzierających się i okrzyk Teala, ale Simon nie czekał.

Święty poruszał się w ciemnościach. Oczy miał jak kot. W każdym razie w tej sytuacji

korzystanie z latarki mogłoby się okazać niebezpieczne... Wówczas przyszło mu na myśl, że mogą tu być jeszcze inne przewody pod napięciem, a jemu nie spieszyło się, by umrzeć w ten sposób.

Zatrzymał się gwałtownie.

W tej samej chwili stwierdził, że już nie słyhać Hallina. Z prawej strony dochodził przytłumiony szum wody, za nim Teal nadal przedzierał się w ciemnościach, beznadziejnie zagubiony. Detektyw zapalał zapałki, ale Święty tego nie widział. Musiało go zasłaniać wzniesienie terenu.

Święty ostrożnie poszukał następnej skaty i zapalił latarkę w taki sam sposób, jak poprzednio.

Wynik go zaskoczył. W świetle ukazała się twarz Hallina, blada i wykrzywiona, i to w odległości niespełna yardu. I ręka Hallina, trzymająca pistolet. Za Hallinem po prostu ziemia się kończyła.

— Najdroższy — rzekł Święty. — Oczekiwałem tego z utęsknieniem.

Rzucił się do przodu niczym zapaśnik, jego ramiona opasały kolana Hallina. Nad jego głową rozległ się wystrzał, ale latarka nie zgasła. Obaj runęli na ziemię.

Święty puścił go i wywinął się jak piskorz. Chwycił prawy nadgarstek Hallina i uderzył dłonią o kamień. Pistolet wypadł.

Simon podniósł go, wstając równocześnie na nogi i jednym machnięciem wyrzucił broń daleko w morze.

Święty zaśmiał się i stanął w świetle.

— W imię Teddy'ego Everesta — powiedział — to nasz bal. Wstawaj, Milesie Hallinie, ty psie!

ROZDZIAŁ VIII

Hallin wstał.

Był niższy od Świętego o 3 lub 4 cale, ale prawie dwukrotnie cięższej budowy, z potężnymi rękami i barami. Ruszył do ataku niczym szarżujący bawół.

Święty ustąpił przed pierwszym atakiem z chłodną precyzją, a jego lewy prosty trafił Hallina

pomiędzy oczy z trzaskiem, przypominającym złamanie kija. Ale Hallin tylko się odwrócił, zamrugał i ponownie ruszył do ataku.

Święty cicho zagwizdał przez zęby.

Nie był przyzwyczajony do ludzi, odbierających takie ciosy ze stoickim spokojem. Kiedy ktoś otrzymywał taki cios, był to zazwyczaj początek końca walki. Jednak Miles najwyraźniej domagał się dokładki, jakby ta dieta bardzo mu odpowiadała. No cóż, może światło było nie najlepsze, pomyślał Święty, a precyzja uderzenia ma ogromny wpływ... I uchylił się jak poprzednio. Zadał cios prawą ręką, ale tym razem sam otrzymał porządny cios po żebrach. Zabolało go, a Hallin zdawał się nic nie odczuwać..

Święty zagwizdał jeszcze ciszej.

A więc mimo wszystko było coś w Hallinie. Ten człowiek walczył w postawie pochylonej, co utrudniało trafienie. Rękami osłaniał ciało, a podbródek trzymał blisko piersi. Nie był łatwym celem.

Święty zatoczył krąg, aby mieć światło za plecami. Hallin ruszył do ataku po raz trzeci. Święty wyszedł mu na spotkanie. Jego ręka wykonała rodzaj pionowego haka i uderzyła Hallina w nos, ten zaś uniósł mimo woli ręce. Wykorzystując to odsłonięcie się, Święty zaatakował tułów, prawy, lewy, prawy. W odpowiedzi usłyszał jęk Hallina i uśmiechnął się.

Doszło do zwania.

Simon wiedział, że do tego dojdzie. Zbyt często to robił. Obrócił się i przyjął cios kolana Hallina na mięśnie uda. W tej samej chwili poderwał drugą nogę Milesa do góry i obaj upadli.

Hallin walczył jak szalony. Był bardzo silny. Kotłowali się tak, oddalając się coraz bardziej od światła i coraz głębiej w ciemność. Dłonie Hallina usiłowały dosięgnąć oczu Świętego... Simon również o tym wiedział. Chwycił palec Hallina i wykręcił. Złamał go z głośnym trzaskiem. Miles krzyknął.

Święty uwolnił się. Usiłował uklęknąć, lecz noga zawisła w powietrzu. Gwałtownie złapał korzenie krzaków, a wówczas Hallin dopadł go ponownie. Ponadludzkim wysiłkiem odsunął się od krawędzi urwiska, a kiedy jego dłoń uniosła się do góry, trzymała grudkę ziemi. Uderzył nią Hallina w twarz.

Walczyli na samej krawędzi urwiska. Święty stracił już rachunek ciosów, jakie otrzymał i jakie wyprowadził. W tych ciemnościach trudno było o dokładność i równie trudno o skuteczną osłonę. Ten, który miał wolną rękę, uderzał wściekle w ciemność, a potem robił to drugi. Czasami trącali, czasami ciosy mijały się z celem. Raz przetoczyli się przez krzaki i gałęzie poraniły twarz Świętego.

Wówczas wyprowadził raz jeszcze potężny cios, który utkwiał w miejscu przeznaczenia, i Hallin legł nieruchomo.

Dysząc ciężko Święty odprężył się...

Gwałtownym ruchem Miles poderwał się pod nim i coś więcej niż pięść trafiło Simona w bok głowy.

Gdyby cios trafił Świętego prosto w głowę, wówczas czaszka pękłaby niczym skorupka jajka, ale Hallin źle ocenił odległość. Kamień otarł się tylko o skroń Świętego, choć i tak miał w sobie moc kopnięcia muła. To wstrząsnęło Świętym bardziej niż cała ta walka i odrzuciło na bok z gwiazdami migającymi przed oczami. Uczuł, jak Hallin wymyka się z jego chwytu, i potoczył się gwałtownie w lewo. Coś otarło się o jego policzek tak blisko, że odczuł powiew, i uderzyło o ziemię z głośnym klapnięciem.

Trafił na następny krzak i oszołomiony przeczołgał się za niego. Schowany, podciągnął się do góry, najpierw na kolana, a potem wstał niepewnie na nogi. Słyszał jak Miles usiłuje go znaleźć w tych ciemnościach, ale potrzebował chwili odpoczynku. Bolał go każdy mięsień, a w głowie huczała cała symfonia.

Wówczas usłyszał trzask gałęzi, ale się nie ruszył.

Wyteżył wzrok. Pewny strumień światła latarki znajdował się w odległości kilkunastu jardów.

Nagle na tym tle zobaczył sylwet Hallina. Hallin również musiał go zauważyć. Simon natychmiast uchylił się, a nad głową przeleciał mu kamień, rzucony przez Milesa. W ułamku sekundy Święty zauważył, że miał on wymiary piłki nożnej.

Hallin skoczył na niego bez chwili wahania. Simon widział go dokładnie. Z trudem zebrał siły i wyszedł na spotkanie ataku lewym prostym, w który włożył całą swoją moc. Hallin był teraz nieostrożny, cios trafił go prosto w usta i rzucił na ziemię.

Święty stał nieruchomo. Tak długo, jak długo mógł utrzymać swoją pozycję, miał przewagę.

Ponownie zauważył sylwetkę Milesa na krótką chwilę, tylko na chwilę. Potem nic. Zdał sobie sprawę, że Hallin również go zauważył...

Zaczął się oglądać powoli, czujnie nastawiony na najmniejszy dźwięk ostrzegawczy. I wówczas zobaczył inne światełko, światło zapałki, która posuwała się w bezpośrednim sąsiedztwie jego latarki. W tej samej chwili dotarł do niego słaby okrzyk Teala.

Bez zastanowienia skoczył Simon w kierunku latarki.

Ponownie odgadł bezbłędnie zamierzenia Hallina. Ten już go obszedł i to dało Świętemu prowadzenie. Ale, kiedy tak biegł, Simon usłyszał za sobą kroki. Dłoń dotknęła jego ramienia, a potem Hallin zaklął i Święty usłyszał odgłos padającego ciała.

Święty chwycił latarkę, zgasił ją i uskoczył w bok. Usłyszał znów biegnącego Hallina, ale ten przebiegł obok niego i nie odwrócił się.

— Gdzie jesteś, Templar?

Głos Teala rozległ się tym razem bliżej. Gdy Święty ruszył w ślad za Hallinem, droga wiodła go w kierunku głosu. Teraz ponownie zapalił latarkę i ukazał się w jej świetle Teal, zarumieniony i spocony.

— Widziałeś go? — wyrzucił z siebie gwałtownie Święty.

— Nie — odparł krótko detektyw. — Nie zabiłeś go?

Simon odpowiedział z cieniem uśmiechu w głosie.

— Niestety, nie udało mi się. Ale mamy na to czas. Musiał przebiec pomiędzy nami. Chodź!

Ruszył przed siebie i Teal musiał podążyć za nim. Kiedy tak biegli, Święty rzekł:

— To zaprowadzi nas do drogi. Na pewno zmierza w tym kierunku. Gdzie Perry?

— Wysłałem go do samochodu — odparł zasapany Teal. — Razem z Masonem.

— Ty głupcze! Przecież tam będzie się usiłował dostać Hallin.

— Perry ma broń.

— Och!... A jak Mason? Nie żyje?

— Nie wiem. Strzał trafił go w płuca. Perry go zaniósł.

— Dowiedziałeś się czegoś od Nigela?

— Niewiele. Nie czekałem.

Poruszali się szybko. Hallina nie było słychać, ale Święty był pewny obranej drogi. Droga może zaprowadzić Milesa gdzie indziej...

Kiedy wyszli z zarośli na równy teren, łatwiej było im się poruszać. Po lewej stronie Święty zauważył światła reflektorów. Pobiegł w tamtym kierunku.

— Uważaj na rów.

Oświetlił detektywa i skoczył. Gdy stopy jego dotknęły drogi, usłyszał wezwanie Nigela.

— Nie ruszaj się!

— Ależ to my — odparł Simon.

Samochód zakręcił i światła reflektorów oświetliły go. Po chwili samochód zatrzymał się obok niego.

— Nie widziałeś Hallina? — spytał Święty.

— Ani śladu.

— A nic nie słyszałeś?

— Tylko ciebie. Sądziłem...

— Do diabła! — powiedział Święty delikatnie. Spojrzał w dół i w górę drogi, nasłuchując uważnie, ale nic nie usłyszał. Wówczas skoczył na listwę przypodłogową.

— Jestem pewny, że musiał gdzieś wyjść na drogę — powiedział zdecydowanie. — Teal, stań z drugiej strony... Czy potrafisz to prowadzić, Nigel?

— Postaram się.

— A więc w drogę.

Teal stanął na listwie z drugiej strony. Samochód ruszył z szarpnięciem i nabierał prędkości.

Kiedy Perry zmieniał biegi, Teal dał upust swemu pesymizmowi.

— Jeżeli jest na drodze, usłyszy nas z odległości mili — rzekł.

— Wiem — rzekł ostro Simon. — A może wolałbyś biec?

Nie chciał przyznać się, jak bardzo ciemne były jego myśli. Był jednak pewny, że Hallin musiał wcześniej czy później dojść do drogi. Jednak równocześnie wiedział, że uwaga Teala jest w pełni uzasadniona. Gdyby chodziło tylko o złapanie zbiega, Simon dawno już by zrezygnował. Była jednak jeszcze inna przyczyna tej obławy. Ta przyczyna dawała również nikłą szansę na sukces. To Perry skłonił Świętego do mówienia na ten temat.

— Powiedział mi, że Moyna jest blisko — rzekł Nigel. — Czy nie wiesz, co chciał przez to powiedzieć?

— To, co powiedział — odparł ponuro Simoh. — Przywiózł ze sobą Moynę, ale nie zabrał jej do domku. Nie wiem, gdzie ją ukrył, ale jestem przekonany, że powiedział prawdę. Ona musi być gdzieś blisko. Perry odezwał się cały spięty.

— Czy nie powinniśmy raczej jej szukać, zamiast uganiać się za nim?

— Obie te rzeczy robimy jednocześnie — odparł spokojnie Święty. — Gdziekolwiek się ona znajduje, tam podąża Miles, który zamierza ocalić swoje życie.

— Ja, ... ja nie mogę w to uwierzyć. Nawet teraz — odezwał się ochryłym głosem młodzieniec.

Ręka Simona spoczęła na jego ramieniu.

— Mam nadzieję, że nie przekonasz się o tym na sobie — powiedział.

— Wiem jednak, że Miles podążył do Moyny.

Teal odchrząknął.

— Niemniej tak daleko nie mógł dojść — zauważył.

— Jak zwykle masz rację — głos Świętego był nienaturalnie spokojny.

— Musiał udać się w dół wzgórza. Nigel, spróbujemy z drugiej strony. Teal zrozumiał i milczał.

Oczywiście Hallin mógł zejść z drogi, pozwalając im przejechać obok. Ale Nigelowi można było tego zaoszczędzić. Teal nie wiedział jednak, jak bardzo Simon trzymał się tej nadziei. Święty sam nie wiedział, dlaczego z takim uporem miał nadzieję, i to wbrew wszelkiemu rozsądkowi, wiara ta jednak nie podlegała dyskusji. Simon nie mógł uwierzyć w takie zakończenie, jakie podejrzewał Teal.

— Z tego miejsca zaczęliśmy — Święty odezwał się do młodzieńca za kierownicą pewnym tonem. — Możemy zgasić silnik i potoczyć się w dół, nieprawdaż? Wówczas nie będziemy robić prawie żadnego hałasu...

Ruszyli więc dalej cicho, towarzyszył im tylko szelest opon. Simon nie musiał mówić o reflektorach. Te zdradzały ich zbliżanie się bardziej nawet niż szum pracującego silnika. Święty jednak gotów był wymyślić cokolwiek, byle tylko podtrzymać Nigela na duchu.

Dotarli do stóp wzgórza i Teal pierwszy zauważył policyjny samochód, stojący na poboczu drogi tam, gdzie go zostawili. Wskazał go, a Perry nacisnął hamulec.

— Tędy również nie przechodził — powiedział Teal. — Gdyby tu był, zabrałby samochód.

— Zastanawiam się, czy go zobaczył — myślał na głos Simon.

Zeskoczył i światłem latarki omiół powierzchnię drogi. Krąg światła poruszał się nieustannie.

Teal odszedł do samochodu i podążył za nim.

— Szukasz odcisków stóp? — spytał ironicznie detektyw, gdy stanął za Świętym. W tej samej chwili ten zgasił latarkę.

— Krwi — odparł bardzo spokojnie Simon.

— To bardzo nieprzyjemne słowo — mruknął Teal.

— Ty uparty ośle! — Święty gwałtownie ścisnął go za ramię. — Nie przeklinam. Mówiłem tylko do ciebie! — odwrócił się. — Nigel, zgaś światła.

Detektyw sięgnął po zapalniczki, ale Simon go zatrzymał.

— W porządku, stary — wycedził. — Twoja zabawka nadal działa. Po prostu uważam, że lepiej zachować ostrożność. Hallin tędy przechodził. Nie zabrał samochodu, bo nie miał dalekiej drogi przed sobą.

— A co z tymi śladami krwi? Użyłeś noża?

— Nie — powiedział Święty, uśmiechając się w ciemnościach. — Trafiłem go w nos.

ROZDZIAŁ IX

Moyna Stanford nie spała już od dłuższej chwili.

Obudziła się chora ze snu głębszego niż kiedykolwiek znała. Dopiero po upływie przeszło pół godziny mogła zebrać myśli na tyle, by się ruszyć.

Kiedy zaś pamięć wróciła, czy może raczej została zmuszona do powrotu, nie była ani o jotę mądrzejsza. Pamiętała spotkanie z Hallinem na stacji w Windsorze. Nalegał, że odwiezie ją do Londynu, a ona z chęcią przyjęła jego zaproszenie. W Slough przyznał się jej do okropnego pragnienia. Zatrzymali się więc w hotelu i tam dała się namówić na filiżankę herbaty. Następnie

wrócili do samochodu.

Nie wie, jak długo spała.

Kiedy się obudziła, panowała ciemność. Leżała na czymś miękkim, a gdy poruszyła się, poznała że leży na łóżku. Wcześniej już zauważyła, że jej nadgarstki są dokładnie związane.

Teraz dowiedziała się kilku nowych rzeczy. Była noc, o czym mogła się przekonać, gdy obróciła się w bok i zobaczyła kwadrat rozgwieźdzonego nieba na ścianie. Ponieważ jednak ręce jej były związane z tyłu, nie mogła sprawdzić na zegarku, która to może być godzina. Leżała cicho, pilnie nasłuchując, jednak żaden odgłos nie przerwał ciszy. Dom był cichy niczym grobowiec.

Nie wiedziała, jak długo tutaj się znajdowała. Nie krzyczała, ponieważ nie było tutaj nikogo, kto mógłby ją usłyszeć. Poza tym nie widziała w tym żadnego sensu. Później odgłos przejeżdżającego samochodu poinformował ją, że znajduje się w pobliżu drogi, wiejskiej drogi, gdyż w przeciwnym razie ruch byłby większy. Taka cisza nie była spotykana w Londynie. Trudno było śledzić upływ czasu. Zsunęła się z łóżka i powoli, z wysiłkiem dotarła do okna. Na zewnątrz panowała głęboka ciemność. Nie widziała nic poza pogrążonym w mroku krajobrazem, pozbawionym jakichkolwiek znaków charakterystycznych, z wyjątkiem postrzępionej Unii horyzontu, jakby utworzonej przez liczne wzgórza. Mogłaby znajdować się w dowolnym miejscu Anglii. Okno było otwarte. Stała tam dłuższą chwilę zastanawiając się, czy następny samochód przejedzie drogą i czy będzie wystarczająco blisko, by ktoś w samochodzie mógł usłyszeć jej krzyk. Jednak żaden samochód się nie pojawił. W końcu pokuśtykała z powrotem do łóżka i położyła się. Było jej ciężko tak stać z ciasno związanymi nogami, z ciągłym szumem w głowie.

Wówczas narkotyk musiał zadziałać ponownie, ponieważ nagle się obudziła, chociaż nie mogła sobie przypomnieć chwili zasypiania. Niebo za oknem wyglądało tak samo. Sądziła, że tylko się zdrzemnęła.

Zadrzała, nawet nie wiedząc dlaczego. Może to dziwne, ale kiedy obudziła się po raz pierwszy,

nie żywiła żadnej obawy. Część mózgu była jakby uśpiona. Teraz zaś zadrżała. Cała była spięta i czekała z uczuciem strachu, ciężko oddychając, pewna, iż to jakiś dźwięk ją obudził.

Kiedy ten dźwięk się powtórzył, chciała krzyknąć, ale gardło miała sparaliżowane. Ktoś wchodził po schodach.

Błady strumień wpadł do pokoju. Pojawił się pod drzwiami, znacząc powolny łuk na podłodze.

Trzeszczenie podłogi na zewnątrz przyprawiło ją o dreszcze. Usta miała suche, a serce waliło jak oszalałe. Teraz kolej na otwarcie drzwi. Czekwała na to z tym samym okropnym napięciem. Było to jak obserwowanie zamku z kart, kiedy wieje na niego przeciąg. Przewidywała, co się musi wydarzyć. Było to nieuniknione, ale niepewność była jeszcze gorsza od rzeczywistego niebezpieczeństwa. Odgłos klucza w zamku przyprawił ją o uderzenie serca, ale trwała w bezruchu, jakby coś trzymało ją w miejscu i to coś zacisnęło się na odgłos tego dźwięku.

Odruchowo zamknęła oczy. Kiedy je otworzyła, Miles Hallin zamykał od środka drzwi na klucz, a pusty pokój oświetlała trzymana przez niego lampa.

Odwrócił się, postawił lampę na prostym, drewnianym krześle i wówczas zobaczyła go w pełnej krasie. Była zaskoczona i przestraszona jego wyglądem. Miał porwane ubranie, bezkształtne i niechlujne. Kołnierzyk koszuli był szeroko otwarty, krawat na wpół poluźniony. Włosy potargane, a twarz brudną i zakrwawioną. — Obudziłaś się? — spytał. Nie mogła odpowiedzieć. Powoli zbliżył się do łóżka, obserwując ją.

— Obudziłaś się. Wróciłem. Powinnaś być zadowolona z mojego powrotu. Niewiele brakowało, żebym zginął.

Usiadł. Na chwilę schował twarz w dłoniach. Później ponownie na nią spojrzał.

— Zginął! — Głos jego był szorstki i drżący. — Jeden z twoich przyjaciół usiłował mnie zabić.

Ten Templar. Niewiele brakowało, a ja też bym go zabił. I zrobiłbym to, gdybym był sam. Byliśmy nad urwiskiem. A tam jest przepaść o głębokości 200 stóp. Czy możesz to sobie wyobrazić?

Leciałby w dół, i w dół, i w dół, na samo dno. Rozbiłby się jak zgniłe jabłko. Ach! — zadrżał nieopanowanie. — To było okropne. Czy kiedykolwiek myślałaś o śmierci, Moyna? To musi być okropne umierać. Ja nie chcę umrzeć!

Dłoń jego spoczęła na jej ramieniu, a ona patrzyła na niego zafascynowana. Jego strach był znacznie gorszy, niż mogła sobie wyobrazić.

— Nie mogę umrzeć! — mamrotał. — Czy ty tego nie wiesz? Tak pisały gazety. Miles Hallin — człowiek, który nie może umrzeć! Jestem duży, silny. Templar nie mógł mnie zabić, a też jest silny. Ja nie mogę znaleźć się tam, w dole i leżeć nieruchomo, zimny i nigdy się nie poruszyć. I gnić. Ciało zawsze gnije, gnije... Tam na pustyni myślałem o tym. Czy słyszałaś o bracie Nigela? Rzucaliśmy losy, kto umrze i on wygrał. Wydawało się, że nie dbał o to. Ja również udawałem, że nie dbam. Szedłem razem z nim kawał drogi, a potem uderzyłem, gdy na mnie nie patrzył. Zabrałem wodę i zostawiłem go. On, on umarł, Moyno. W słońcu. I... skurczył się. On nie żyje, od lat. Czasami go widzę...

Dziewczyna zwilżyła wargi. Nie mogła się ruszyć.

— Od tamtej chwili ja również nie żyłem. Nigdy nie żyłem. Widzisz, nie mogłem o tym nikomu powiedzieć. Gra... cały czas gra. Ja... zawsze byłem sam. Nigdy nie mogłem się nikomu zwierzyć. Nigdy nie byłem z kimś, kto by o tym wszystkim wiedział. Kto, kto byłby równie mocno przerażony jak ja. Dopóki ciebie nie spotkałem. Wiedziałem, że mnie zrozumiesz. Że podzielisz ze mną mój sekret. Chciałem ci o tym powiedzieć. I wtedy Templar odkrył. Nie wiem jak. Może zgadł. On widzi wszystko, jego oczy... Wiem, że będzie próbował cię ode mnie zabrać. Dlatego sprowadziłem cię tutaj. Mam zamiar żyć. Z tobą. On nas tutaj nie znajdzie. Kupiłem to miejsce dla ciebie, dawno temu. Tu jest pięknie. Nie sądzę, aby ktokolwiek tutaj umarł. Moyna! Moyna!

Moyna!

— Tak? — jej głos był bardzo słaby.

— Chciałbym, abyś coś powiedziała. Ja... bałem się, że możesz umrzeć. Musiałem podać ci ten narkotyk. Wiesz, że ci go podałem? Wtedy nie mogłem tego wyjaśnić. Musiałem cię przywieźć tutaj, gdzie będziemy sami. A teraz cię rozwiążę.

Zaczął rozwiązywać więzy, które sam założył. Teraz dłonie jej były wolne, a on uwalniał jej nogi, płacząc przy tym jak dziecko. Próbowwała opanować drżenie.

— Miles, musisz pozwolić mi odejść!

— Właśnie cię uwalniam — pokazał jej zdjęte więzy. — A teraz wszystko będzie dobrze. Tylko ty i ja. Ty będziesz... miła dla mnie, prawda, Moyna?

Objął ją rękami i przycisnął do siebie.

— Miles — zmusiła się do mówienia chłodno, jakkolwiek była słaba ze strachu. — Musisz być rozsądny! Zabierz mnie z powrotem do Londynu. Moja matka na pewno się o mnie niepokoi.

— Do Londynu? — zdawał się nie rozumieć tego słowa. — Dlaczego?

— Wiesz dobrze, że nie mogę tu zostać. Ale możesz wpaść do mnie jutro rano...

Patrzył na nią nie widzącymi oczami.

— Londyn? Jutro? Nie rozumiem. — Nagle znowu ją objął. — Moyna, ty nie mogłabyś uciec!

Nie możesz mnie opuścić. Ja nie mogę jechać do Londynu. Wiesz, że nie mogę. Zabiją mnie.

Zostaniemy tutaj.

W jego rękach była bezradna jak dziecko. Nie słyszał jej słów.

— Moyna, kocham cię. Będę dla ciebie dobry. Będę się tobą opiekować. Powiem ci wszystko.

— Miles — załkała. — Och, pozwól mi odejść.

— Tylko ty i ja. Zostaniemy tutaj. I my nigdy nie umrzemy, nigdy. Nie umrzemy...

— Och, nie.

Nie musisz się bać. Nie mnie. Już niczego nie będziemy się bać. Zostaniemy tu na lata, setki lat, tysiące lat. Moyna, nie musisz się bać. Będzie nam dobrze.

— Zabierz ręce.

— Ale ty mnie kochasz, prawda? I nie zostawisz mnie samego. Jeśli tu będziesz, nie będę się niczego bał. W ciemności mogę zobaczyć Perry'ego, czasami. Ale nie będzie mi to przeszkadzać. Walczyła z nim rozpaczliwie, ale w porównaniu z jego ogromną siłą czuła się słaba jak kocię. Krzyknęła.

Odpowiedział jej dochodzący skądś okrzyk. Usłyszała trzask, a potem ktoś zaczął wbiegać po schodach.

Następny okrzyk.

— Moyna, gdzie jesteś?

Krzyknęła znowu. Hallin ją puścił. Spadła z łóżka i rzuciła się do drzwi. Tam ją złapał.

— Idą — rzekł zaskoczony.

Oczy mu rozbłysły, odepchnął ją od drzwi tak silnie, że upadła. Nagle znalazł się przy niej. Ze strachem spoglądała w jego twarz, bladą i wykrzywioną pod plamami krwi, tylko kilka cali od jej własnej.

— Oni mnie zabiją — dyszał. — Umrę! Moyna, umrę, umrę!... A jeszcze nawet nie żyłem.

Kocham cię.

Uniosła się, ale on rzucił ją z powrotem na łóżko. Poczowała się tak słaba, jakby miała za chwilę zemdleć. Suknia rwała się pod jego rękami, jednak dźwięk ten zdawał się dochodzić z nieskończoności,

Rozległo się walenie do drzwi.

— Otwieraj, Hallin! — krzyczał ktoś. — Nie uciekniesz! Hallin drżał na całym ciele.

— Nie mogą mnie zabić! — chrypiał. — Moyna, ty wiesz o tym, prawda? Mnie nie można zabić. Nikt nie może mnie zabić.

— Głupcze! — rozległ się głos na zewnątrz. — W ten sposób nie wywalisz drzwi. Dlaczego nie

przestrzelić zamka?

Hallin uniósł się powoli z łóżka. Oczy jego przypominały oczy dziecka.

— Przestrzelić zamek — powiedział rozmarzony. — Tak, przestrzelić zamek.

Z ręką uniesioną do ust Moyna Stanford obserwowała, jak idzie przez pokój.

— To okropny sposób umierania — powiedział.

Na podeście na zewnątrz Święty oświetlił latarką drzwi, a Teal przyłożył pistolet do dziurki od klucza.

Zamek został przestrzelony z ogłuszającym trzaskiem i Simon rzucił się do przodu.

W pokoju rozległ się odgłos upadku, zaś drzwi zostały częściowo zablokowane. Wówczas dołączyli Teal i Perry. I weszli.

— Nigel!

Dziewczyna ruszyła i potknęła się. Perry chwycił ją w ramiona.

Ale Teal i Święty spoglądali na człowieka, który leżał na podłodze, bardzo nieruchomy, z dziwną pogodą w twarzy.

— Mimo wszystko nie miał tyle szczęścia — powiedział ze stoickim spokojem detektyw.

Simon potrząsnął głową.

— To nie my go zabiliśmy — stwierdził.

Opadł na kolana obok ciała. Kiedy wstał, jego ręka była czerwona i mokra. Coś trzymał na wyciągniętej dłoni. Teal przyjrzał się. Był to klucz.

— Skąd się tutaj wziął? — spytał.

— Był w zamku — odparł Święty.

ROZDZIAŁ X

W całej krasie krytego jedwabiem cylindra, kołnierzyka, czarnego płaszcza, kamizelki w kwiatki, parasola ze złotą rączką, białych rękawiczek, prążkowanych kaszmirowych spodni z

ostrymi jak nóż kantami i skórzanych trzewików, Simon Templar mógł każdego olśnić swoim wyglądem. Nadinspektor Claud Eustace Teal, który spotkał Świętego na Piccadilly tak wystrojonego, był najwyraźniej zaskoczony.

— Dokąd się wybierasz? — spytał.

— Już byłem — odparł Święty. — Oni to robią w najbardziej nieprawdopodobnych godzinach.

Jeśli chcesz wiedzieć, dzisiaj w poczet społeczności świętego kościoła katolickiego zostało przyjęte dziecko. I ja osobiście sponsorowałem tę uroczystość.

Detektyw był najwyraźniej poruszony.

— Poza tym — dodał Święty — ochrzczono go imieniem Simon. Muszę przyznać, że to ładnie z ich strony.

— A jak uważa Nigel? — dopytywał się Teal. Simon był wstrząśnięty. Przez chwilę szli w milczeniu, a potem Teal rzekł:

— Komisarz czeka na odpowiedź na swój list.

— Rozmyślałem o tym — powiedział Święty. — Prawdę mówiąc, zamierzałem go dziś po południu odwiedzić.

— Co mu powiesz?

Parasol Simona elegancko kołysał się w dłoni. Westchnął.

— Pomysł jest zabawny — mruknął. — Nie mogę jednak wyobrazić sobie, że biegnę po stronie Prawa i Porządku. Jak już wielokrotnie byłeś uprzejmy zauważyć, stary, mój styl został nieco przytłumiony teraz, kiedy wy wszyscy tak dużo wiecie na mój temat. Ale obawiam się, och, Teal, mój ty śliczny. Ogromnie się obawiam, że twoja metoda postępowania nie jest jedyna. Powiniennem być stać się nieprzyzwoicie porządny, zanim ze mną skończyliście. Poza tym jest jeszcze jedna przeszkoda.

— Co takiego?

Święty usunął swoje lśniące nakrycie głowy i odkurzył je miłośnie przy pomocy dużej jedwabnej chusteczki.

— Nie mógłbym nosić melonika — powiedział.

Teal zatrzymał się.

— A więc naprawdę zamierzasz odmówić? — spytał, a Święty przytaknął.

— Zamierzam — odparł ze smutkiem. — To byłoby całkowite nieporozumienie. Poza tym i tak by mnie wylali w ciągu tygodnia. Scotland House zmieniłby się w ogród niedźwiedzi. Najbardziej niesamowite i cudowne historie byłyby opowiadane w Old Bailey. Gentlemani napisaliby do „The Times”... Teal, nie chcę stać się największym rozczarowaniem, ale mógłbym jeszcze potrzebować tej ręki ponownie...

— Templar — powiedział detektyw chmurnie — to najgorsza wiadomość, jaką usłyszałem od długiego czasu.

— Czyżby? — wycedził Święty, wyglądając na zdziwionego. — Sądziłem, że wszyscy o tym wiedzą. Tą ręką unoszę do ust kieliszek.

— Miałem na myśli, że jeżeli naprawdę masz zamiar postępować tak jak kiedyś...

— A, to!

Święty uśmiechnął się promiennie. Spojrzał na zegarek. — Chodźmy na lunch — powiedział — i popłaczmy nad moją przewrotnością. Jestem przecież takim malowniczym czarnym charakterem.

— Westchnął ponownie. — Powiedz mi, Teal, gdzie policjant i pirat mogą bezpiecznie zjeść razem lunch?

— Gdzie tylko chcesz — odparł nieszczęśliwy Teal.

Simon Templar spojrział na plac Piccadilly Circus.

— O ile się nie mylę, to w gmachu sądu jest bardzo dobra restauracja — zauważył. — Jadłem tam kiedyś lunch następnego dnia po tym, jak kogoś zamordowałem. Sprawilo mi to ogromną

frajdę. Teraz jest okazja, by to powtórzyć. Chodź, Algibaldzie, a opowiem ci prawdziwą historię o biskupie i aktorce.